MISTRZOWIE SF I FANTASY

ARTHUR C. CLARKE

KONIEC DZIECIŃSTWA

Jedna z najsłynniejszych powieści największego mistrza SF

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Szczyt zimnej wojny. Oba supermocarstwa — USA i ZSRR — wkraczają w decydującą fazę przygotowań do wysłania człowieka w Kosmos, gdy niespodziewanie na niebie pojawiają się ogromne statki Obcych…

Zwierzchnicy — bo tak zostają nazwani przybysze — przejmują całkowitą kontrolę nad światem, narzucając mu własny porządek. Nie używają przy tym siły — środek perswazji stanowi regularna manifestacja przytłaczającej potęgi technologicznej. W krótkim czasie Ziemia wkracza na drogę pokoju, dobrobytu i ogólnego szczęścia. Nie eliminuje to jednak podstawowych pytań, jakie zadaje sobie ludzkość: kim są Obcy? Skąd i po co przybyli? Kto lub co nimi kieruje? Jakie są ich zamiary wobec Ziemi i jej mieszkańców? I dlaczego cały czas pozostają w ukryciu?

- Arthur C. Clarke
- ZIEMIA I ZWIERZCHNICY
- ZŁOTY WIEK
- OSTATNIE POKOLENIE

Arthur C. Clarke
Koniec dzieciństwa

Powieść

Tytuł oryginalny: Childhood's end
Język oryginalny: angielski
Tłumacz: Królicki Zbigniew Andrzej
Rok pierwszego wydania: 1953
Rok pierwszego wydania polskiego: 1993

ZIEMIA I ZWIERZCHNICY

Wulkan, który z rykiem wyrzucił Taratuę z głębin Pacyfiku spał już od pół miliona lat. „A jednak — pomyślał Reinhold — wkrótce ta wyspa zostanie osmalona płomieniami o wiele gorętszymi niż te, które towarzyszyły jej narodzinom". Spojrzał w stronę stanowiska startowego i jego wzrok wspiął się po piramidzie rusztowań, które wciąż otaczały „Kolumba". Dwieście stóp wyżej dziób statku błyszczał w promieniach zachodzącego słońca. Dla statku nadchodziła ostatnia noc — niebawem będzie się pławił w odwiecznym blasku słonecznym otwartego kosmosu.

Tu, pod palmami, wysoko na skalnym grzbiecie wyspy było cicho i spokojnie. Jedynym odgłosem wskazującym na pracę przy realizacji projektu był dolatujący od czasu do czasu jęk sprężarek lub okrzyk robotnika. Reinhold polubił ten palmowy zagajnik; niemal co wieczór przychodził tutaj, by patrzeć na swoje małe imperium. Smuciła go nieco myśl, że te palmy zostaną rozpylone na atomy, gdy „Kolumb" w huraganie ognia wzniesie się do gwiazd.

„James Forrestal" przecinający ciemne wody milę za pierścieniem raf włączył szperacze. Słońce zaszło już zupełnie i od wschodu szybko nadciągała tropikalna noc. Reinhold trochę sardonicznie zastanawiał się, czy dowódca lotniskowca naprawdę spodziewał się wytropić rosyjskie łodzie podwodne tak blisko brzegu.

Myśl o Rosji, jak zawsze, przypomniała mu Konrada i tamtą okropną wiosnę 1945 roku. Minęło przeszło trzydzieści lat, ale wspomnienie tych ostatnich dni, gdy Trzecia Rzesza waliła się pod naporem Wschodu i Zachodu, było nadal żywe w jego pamięci. Wciąż widział zmęczone, niebieskie oczy Konrada ł złotawą szczecinę na jego policzkach, gdy podawali sobie ręce i rozstawali się pośród ruin pruskiej wioski, a obok nich przepływał nie kończący się potok uchodźców.

Rozstanie to pozostało dla niego symbolem wszystkiego, co od tamtej pory stało się ze światem: rozłamu między Wschodem a Zachodem. Albowiem Konrad wybrał drogę do Moskwy. Wtedy Reinhold uważał go za głupca, ale teraz nie był już tego taki pewien.

Przez trzydzieści lat sądził, że Konrad nie żyje. Dopiero tydzień temu pułkownik Sandmayer, szef wywiadu technologicznego, przekazał mu nowe wiadomości. Nie lubił Sandmayera i był pewien, że tamten odwzajemnia to uczucie. Jednak żaden z nich nie pozwalał, aby szkodziło to ich współpracy.

— Panie Hoffmann — zaczął pułkownik w swoim najlepszym oficjalnym stylu — właśnie otrzymałem pewne alarmujące informacje z Waszyngtonu. Wprawdzie są ściśle tajne, ale postanowiliśmy je

przekazać zespołowi koordynującemu, aby zwrócić uwagę panów na konieczność pośpiechu.

Przerwał dla zwiększenia efektu swoich słów, ale na Reinholdzie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Domyślał się, o co może chodzić.

— Rosjanie prawie nas dogonili. Skonstruowali silnik atomowy, może nawet lepszy od naszego i budują statek na brzegu Bajkału. Nie znamy zaawansowania ich prac, lecz wywiad uważa, że mogą wystartować jeszcze w tym roku. Rozumie pan, co to oznacza.

„Tak — pomyślał Reinhold — rozumiem. Rozpoczął się wyścig i niekoniecznie my musimy go wygrać".

— A wie pan, kto kieruje ich zespołem? — zapytał, właściwie nie oczekując odpowiedzi. Ku jego zdziwieniu pułkownik Sandmayer podsunął mu kartkę maszynopisu. Na pierwszym miejscu zobaczył imię i nazwisko: Konrad Schneider.

— Pan sporo wie o tych ludziach z Penemunde, prawda? — powiedział pułkownik. — To może nam dać pewne pojęcie o ich metodach. Chciałbym otrzymać od pana notatki o tych wszystkich, których pan pamięta: specjalności, najlepsze pomysły i tak dalej. Wiem, że po upływie tylu lat moja prośba nie jest łatwa do spełnienia, ale proszę się postarać.

— Jedynym, który naprawdę się liczy, jest Konrad Schneider — odparł Reinhold. — On był bardzo błyskotliwy, pozostali to po prostu kompetentni inżynierowie. Bóg jeden wie, do czego doszedł w ciągu tych trzydziestu lat. Proszę pamiętać, że zapewne zna wszystkie nasze wyniki, a my nie wiemy nic o jego osiągnięciach. To daje mu zdecydowaną przewagę.

Nie chciał, aby zabrzmiało to jak krytyka wywiadu, ale przez chwilę wydawało się, że Sandmayer zamierza się obrazić. Potem pułkownik wzruszył ramionami.

— Ten medal ma dwie strony, sam pan tak mówił. Swobodna wymiana informacji zapewnia szybszy postęp, nawet jeśli ujawnimy kilka naszych tajemnic. Prawdopodobnie rosyjskie kierownictwo nie ma pojęcia o połowie badań prowadzonych przez ich uczonych. Pokażemy im, że Demokracja pierwsza stanie na Księżycu.

„Demokracja — bzdury!" — pomyślał Reinhold, jednak wiedział, że lepiej nie mówić tego głośno. Jeden Konrad Schneider był wart milion nazwisk na liście wyborców. A czego dokonał przez ten czas, mając do dyspozycji wszystkie zasoby ZSRR? Może właśnie teraz jego statek odrywał się od Ziemi…

Słońce, które zaszło nad Taratuą, stało jeszcze wysoko nad Bajkałem, gdy Konrad Schneider i towarzyszący mu zastępca ministra do spraw energii atomowej wolno opuszczali teren, na którym wznosiła się kratownica prób silnikowych. Wciąż boleśnie dzwoniło im w uszach, choć ostatnie dudniące echa zamarły nad jeziorem

dziesięć minut temu.

— Czemu ta ponura mina? — zapytał nagle Grigoriewicz. — Teraz powinniście być szczęśliwi. Za miesiąc będziemy już w drodze, a jankesi udławią się z wściekłości.

— Jak zwykle jesteście optymistą — powiedział Schneider. — To nie jest takie proste, chociaż silnik działa. Prawda, że nie przewiduję już żadnych poważnych trudności, ale niepokoją mnie raporty z Taratui. Mówiłem wam, jak dobry jest Hoffmann, a on ma do dyspozycji miliardy dolarów. Fotografie jego statku nie są zbyt wyraźne, ale wydaje się, że niewiele mu brakuje, aby zakończyć pracę. I wiemy, że przetestował swój silnik pięć tygodni temu.

— Nie martwcie się — zaśmiał się Grigoriewicz. — To ich czeka wielka niespodzianka. Pamiętajcie, oni nic o nas nie wiedzą.

Schneider przez chwilę zastanawiał się, czy istotnie tak było, lecz uznał, że bezpieczniej nie wyrażać swoich wątpliwości. Mogłoby to popchnąć myśli Grigoriewicza na zbyt zawiłe i kręte tory, a jeśli rzeczywiście gdzieś nastąpił przeciek, jemu samemu trudno byłoby oczyścić się z podejrzeń.

Wartownik zasalutował, gdy ponownie wchodzili do budynku zarządu. Pomyślał ponuro, że jest tu prawie tylu wojskowych, ilu techników. Jednak tacy właśnie byli Rosjanie i jak długo wojskowi schodzili mu z drogi, nie miał powodu do skarg. W sumie, poza irytującymi drobiazgami, wszystko przebiegało zgodnie z jego oczekiwaniami. Tylko przyszłość pokaże, czy Reinhold wybrał lepiej.

Właśnie zabierał się do pisania ostatniego raportu, gdy przerwała mu wrzawa podnieconych głosów. Przez moment siedział za biurkiem bez ruchu, zastanawiając się, jakież wydarzenie mogło być powodem naruszenia surowej dyscypliny obozu. Potem podszedł do okna — i po raz pierwszy w życiu poczuł rozpacz.

Kiedy Reinhold schodził z pagórka, niebo nad jego głową było już pełne gwiazd. Na morzu „Forrestal" wciąż przeczesywał fale świetlistymi palcami, podczas gdy rusztowanie wzniesione na brzegu, wokół „Kolumba" rozbłysło światłami jak wigilijna choinka. Tylko sterczący dziób statku odcinał się czarnym cieniem na tle rozgwieżdżonego nieba.

Z baraków personelu dobiegły dźwięki tanecznej muzyki i Reinhold podświadomie dostosował krok do jej rytmu. Właśnie dochodził do wąskiej drogi biegnącej skrajem piaszczystej plaży, gdy jakieś przeczucie, jakiś zauważony kątem oka ruch kazały mu się zatrzymać. Zaskoczony, popatrzył na morze i ponownie na ląd; dopiero po chwili przyszło mu do głowy, by spojrzeć w górę.

I wtedy Reinhold Hoffmann, w tej samej chwili co Konrad Schneider, zrozumiał, że przegrał swój wyścig. I wiedział, iż przegrał nie o kilka tygodni czy miesięcy, jak się tego obawiał, lecz o

tysiąclecia. Ogromne, bezgłośne cienie przesuwające się na wysokości wielu mil na tle gwiazd, górowały nad jego „Kolumbem" bardziej niż ten nad dłubankami człowieka paleolitu. Przez chwilę, która wydawała mu się wiecznością, Reinhold wraz z całym światem przyglądał się wielkim statkom majestatycznie opadającym ku Ziemi, aż w końcu usłyszał odległy gwizd towarzyszący ich przejściu przez rzadką stratosferę.

Nie czuł żalu, że praca całego jego życia poszła na marne. Trudził się, by poprowadzić ludzi do gwiazd i w godzinie zwycięstwa odległe, obojętne gwiazdy przyszły do niego. Był to moment, gdy historia wstrzymała oddech, a teraźniejszość oddzielała się od przeszłości, tak jak lodowiec odrywa się od zimnych, rodzinnych skał i dumnie odpływa, by samotnie żeglować po morzach. Wszystkie osiągnięcia minionych wieków stały się nagle niczym i w mózgu Reinholda kołatała się jedna, jedyna myśl:

„Ludzka rasa nie jest już samotna".

Sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych stal nieruchomo przy wielkim oknie, patrząc w dół na ożywiony ruch Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Czasami zastanawiał się, czy to słuszne, by jakikolwiek człowiek pracował tak wysoko nad innymi ludźmi. Odrobina dystansu to rzecz pożądana, lecz łatwo może się przerodzić w obojętność. A może po prostu próbował znaleźć racjonalne wytłumaczenie swojej niechęci do drapaczy chmur, nie wygasłej mimo dwudziestu lat pracy w Nowym Jorku.

Za plecami usłyszał odgłos otwierających się drzwi, ale nie odwrócił głowy, gdy do pokoju wszedł Pięter van Ryberg. Nastąpiła nieunikniona pauza, w czasie której Pięter z dezaprobatą spoglądał na termostat; mówiono żartobliwie, że sekretarz generalny lubi żyć w lodówce. Stormgren zaczekał, aż jego zastępca dołączy do niego przy oknie, po czym oderwał wzrok od znajomego, lecz zawsze pasjonującego widoku rozpościerającego się w dole.

— Spóźniają się — powiedział. — Wainwright powinien tu być już pięć minut temu.

— Właśnie otrzymałem wiadomość od policji. Ciągnie za sobą całą procesję i utykają w korkach. Powinien tu być lada chwila. — Van Ryberg przerwał, po czym dorzucił: — Nadal jest pan pewien, że spotkanie z nim to dobry pomysł?

— Obawiam się, że jest już trochę za późno, żeby się z tego wycofać. Przecież mimo wszystko wyraziłem zgodę, chociaż wie pan, że to nie był wcale mój pomysł.

Stormgren podszedł do biurka i zaczął nerwowo bawić się swoim słynnym uranowym przyciskiem do papierów. Nie był zdenerwowany, tylko niezdecydowany. Był nawet zadowolony z tego, że Wainwright się spóźnia, dzięki temu od samego początku będzie miał nad nim

przewagę. Takie drobiazgi odgrywają w ludzkich sprawach ważniejszą rolę, niż mógłby sobie tego życzyć ktoś, kto kieruje się jedynie logiką i rozsądkiem.

— Są! — powiedział nagle van Ryberg, przyciskając twarz do szyby. — Nadchodzą aleją i jest ich chyba ze trzy tysiące.

Stormgren wziął notatnik i dołączył do swego zastępcy. Oddalony o pół mili, mały, lecz zdecydowany pochód wolno podążał w kierunku gmachu'Sekretariatu. Nad tłumem powiewały nieczytelne jeszcze z tej odległości transparenty, lecz sekretarz dobrze wiedział, jaka jest ich treść. W końcu usłyszał górującą nad ulicznym zgiełkiem, złowrogą melodię pieśni śpiewanej przez demonstrantów. Poczuł, jak wzbiera w nim fala niesmaku. Świat na pewno widział już dość maszerujących tłumów i gniewnych sloganów!

Pochód dotarł już do budynku; musieli wiedzieć, że na nich patrzy, bo tu i tam, chociaż bez przesadnego zacietrzewienia, wygrażali pięściami w powietrzu. Gesty te nie były skierowane przeciw Stormgrenowi, choć niewątpliwie chodziło o to, aby je zobaczył. Tak jak krasnale grożący olbrzymowi, tak i oni gniewnie potrząsali kułakami ku niebu, na którym pięćdziesiąt kilometrów wyżej niczym lśniąca, srebrna chmura wisiał flagowy statek floty Zwierzchników.

„I bardzo prawdopodobne — pomyślał Stormgren — że Karellen przygląda się całemu zajściu i pęka ze śmiechu, bo taka demonstracja nie mogłaby się odbyć bez cichego poparcia Kontrolera".

Stormgren po raz pierwszy spotykał się z przywódcą Ligi Wolności. Przestał zastanawiać się, czy mądrze robi, bowiem plany Karellena były często zbyt subtelne, aby mógł je pojąć mózg zwykłego człowieka. Jednak sekretarz nie dostrzegał żadnego zagrożenia związanego z tym spotkaniem. Gdyby natomiast odmówił widzenia Wainwrightowi, Liga ukręciłaby z tego faktu powróz na jego szyję.

Aleksander Wainwright był wysokim, przystojnym mężczyzną po czterdziestce. Stormgren wiedział, że był to człowiek kryształowo uczciwy, a przez to podwójnie niebezpieczny. A jednak oczywista szczerość jego intencji sprawiała, że trudno było nie darzyć go sympatią, niezależnie od tego, jaki miało się stosunek do jego poglądów i niektórych jego zwolenników.

Gdy van Ryberg nieco zbyt ceremonialnie przedstawił ich sobie, Stormgren nie tracił czasu.

— Sądzę — zaczął — iż głównym powodem pańskiej wizyty jest złożenie formalnego protestu przeciw planowi federacji. Czy mam rację?

Wainwright poważnie skinął głową.

— To jest mój główny powód, panie sekretarzu. Jak pan wie, od pięciu lat próbujemy uświadomić rodzajowi ludzkiemu

niebezpieczeństwo, jakie mu zagraża. Zadanie nie należało do łatwych, ponieważ większość ludzi wydaje się zadowolona z tego, że Zwierzchnicy rządzą światem wedle swojej woli. Mimo to, w każdym kraju znaleźli się patrioci, łącznie pięć milionów, którzy podpisali naszą petycję.

— W porównaniu z dwoma i pół miliardami liczba ta nie robi specjalnego wrażenia.

— To liczba, której nie można zignorować. A na każdego, który podpisał, przypada wielu żywiących podobne wątpliwości co do słuszności, nie mówiąc już o legalności planu federacji. Nawet Kontroler Karellen, mimo całej swej potęgi, nie jest w stanie jednym pociągnięciem pióra przekreślić tysiąca lat historii.

— A któż może cokolwiek powiedzieć o potędze, jaką dysponuje Karellen? — odparował Stormgren. — Kiedy byłem chłopcem, Federacja Europejska była tylko snem, a nim dorosłem, stała się rzeczywistością. I doszło do tego przed przybyciem Zwierzchników. Karellen po prostu kończy dzieło, które sami zaczęliśmy.

— Europa była kulturową i geograficzną jednością. Cały świat nią nie jest, na tym polega różnica.

— Zwierzchnikom — odparł sarkastycznie Stormgren — których punkt widzenia, zgodzi się pan ze mną, jest o wiele bardziej dojrzały niż nasz, Ziemia zapewne wydaje się dużo mniejsza niż Europa naszym przodkom.

— Nie oznacza to, że jestem całkowicie przeciwny tworzeniu Federacji, choć większość moich zwolenników może się z tym nie zgodzić. Powinna ona jednak powstać z naszej inicjatywy, a nie być narzucana z zewnątrz. Musimy sami stanowić o swoim losie. Trzeba skończyć z wtrącaniem się obcych w ludzkie sprawy!

Stormgren westchnął. Wszystko to słyszał setki razy i wiedział, że może udzielić tylko jednej, znanej odpowiedzi, której Liga Wolności nigdy nie zaakceptuje. On ufał Karellenowi, oni nie. Na tym polegała podstawowa różnica i nic nie mógł na to poradzić. Na szczęście Liga Wolności także nie miała na to żadnego wpływu.

— Pozwoli pan, że zadam kilka pytań — rzekł. — Czy może pan zaprzeczyć, że Zwierzchnicy dali światu bezpieczeństwo, pokój i dobrobyt?

— To prawda. Jednak odebrali nam wolność. Nie samym…

— …chlebem człowiek żyje. Tak, wiem, ale po raz pierwszy w historii każdy człowiek może być pewny, że go dostanie. W każdym razie, jakąż to wolność utraciliśmy w zamian za to, co dali nam Zwierzchnicy, a czego nie mieliśmy w żadnym okresie naszej cywilizacji?

— Wolność kierowania swoim losem, zgodnie z wolą Bożą.

„No nareszcie — pomyślał Stormgren — doszliśmy do sedna

sprawy. Podłożem konfliktu jest religia, chociaż pozornie wygląda to inaczej. Wainwright nikomu nie pozwoli zapomnieć o tym, że był kiedyś duchownym. Choć nie nosi już koloratki, ma się wrażenie, że wciąż ma ją na szyi".

— W zeszłym miesiącu — powiedział z naciskiem sekretarz — setka biskupów, kardynałów i rabinów podpisała wspólną deklarację potwierdzającą ich poparcie dla zamiarów Kontrolera. Duchowni opowiedzieli się przeciwko wam.

Wainwright gniewnie potrząsnął głową.

— Wielu przywódców to ludzie zaślepieni: Zwierzchnicy przekupili ich. Kiedy pojmą istotę zagrożenia, może już być za późno. Inicjatywa wymknie się nam z rąk i staniemy się rasą niewolników.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. W końcu Stormgren odparł:

— Za trzy dni znów spotkam się z Kontrolerem. Przekażę mu pański sprzeciw, ponieważ jest moim obowiązkiem prezentowanie mu wszystkich poglądów. Jednak mogę pana zapewnić, że to niczego nie zmieni.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział powoli Wainwright. — Mamy wiele zastrzeżeń do Zwierzchników, lecz nade wszystko nie podoba nam się ich tajemniczość. Jest pan jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek rozmawiał z Karellenem i nawet pan nigdy go nie widział. Czy to dziwne, że mamy wątpliwości co do motywów, jakimi się kieruje?

— Mimo wszystkiego, co zrobił dla ludzkości?

— Tak, mimo to. Nie wiem, co budzi w nas większy sprzeciw: wszechmoc Karellena czy jego tajemniczość. Jeśli nie ma nic do ukrycia, dlaczego się nam nie pokaże? Następnym razem, kiedy będzie pan z nim rozmawiał, panie Stormgren, prószy zapytać!

Stormgren milczał. Na to nie miał odpowiedzi; w każdym razie takiej, która przekonałaby rozmówcę. Czasami zastanawiał się, czy udało mu się przekonać samego siebie.

Z ich punktu widzenia była to, oczywiście, operacja na niewielką skalę, lecz dla Ziemi było to największe wydarzenie, jakie kiedykolwiek miało miejsce. Bez żadnego ostrzeżenia z niezbadanych otchłani kosmosu wyłoniła się flota wielkich statków. Ten dzień był opisywany niezliczoną ilość razy w powieściach, lecz tak naprawdę nikt nie wierzył, że kiedykolwiek nadejdzie. Teraz wreszcie nastał: błyszczące, nieruchome obiekty wiszące nad każdym kontynentem symbolizoawały wiedzę, jakiej ludzkość nie miała szans dorównać jeszcze przez stulecia. Przez sześć dni bez ruchu unosiły się nad miastami, niczym nie wskazując, że zdają sobie sprawę z istnienia Człowieka. Nie było to jednak potrzebne: przecież te potężne statki nieprzypadkowo znalazły się właśnie nad Nowym Jorkiem, Londynem,

Paryżem, Moskwą, Rzymem, Kapsztadem, Tokio, Canberrą…

Jeszcze przed upływem tych kilku mrożących krew w żyłach dni, niektórzy ludzie domyślili się prawdy. Dla tej rasy, która rzekomo niczego nie wiedziała o ludziach, nie był to pierwszy kontakt. W tych milczących, nieruchomych statkach mistrzowie psychologii studiowali ludzkie reakcje. Kiedy napięcie dojdzie do zenitu, podejmą działania.

Szóstego dnia Karellen, Kontroler Ziemi, na wszystkich częstotliwościach fal radiowych oznajmił światu swoją obecność. Przemawiał tak doskonałą angielszczyzną, że spory wywołane tym faktem po obu stronach Atlantyku nie wygasły przez długie lata. Jednak treść tej przemowy była jeszcze bardziej wstrząsająca od formy. Niewątpliwie było to dzieło niezrównanego geniuszu dowodzące doskonałej i absolutnej znajomości natury ludzkiej. Nie mogło być wątpliwości, że jego erudycja i wirtuozeria, kuszące wzmianki dowodzące posiadania wiedzy niedostępnej jeszcze człowiekowi były eksponowane celowo, tak by przekonać rodzaj ludzki, że właśnie zetknął się z przytłaczającą potęgą intelektualną. Kiedy Karellen skończył, narody Ziemi wiedziały, że nadszedł kres dotychczasowej niezależności. Lokalne rządy zachowały swą władzę, lecz w kwestiach szeroko pojętej polityki zagranicznej decydujący głos nie należał już do ludzi. Argumenty i protesty były daremne.

Oczywiście, trudno oczekiwać, że wszystkie narody świata pokornie pogodzą się z takim ograniczeniem swojej władzy. Jednak wszelki aktywny opór napotykał nieprzezwyciężone trudności, ponieważ zniszczenie statków Zwierzchników, nawet gdyby było możliwe, pociągnęłoby za sobą zniszczenie miast, nad którymi wisiały. Mimo to, jedno z mocarstw uczyniło taką próbę. Może odpowiedzialni za tę decyzję mieli nadzieję załatwić jednym atomowym pociskiem dwie sprawy, ponieważ ich celem był statek unoszący się nad stolicą sąsiedniego i nieprzyjaźnie nastawionego kraju.

Gdy w tajnym punkcie dowodzenia na ekranie monitora pojawił się obraz ogromnego statku, sercami niewielkiej grupy oficerów i techników musialy targać mieszane uczucia. Jeśli im się uda, jakie działania podejmą pozostałe statki? Czy byli w stanie również je zniszczyć, dając ludzkości możliwość podążania dalej własną drogą? A może Karellen zechce wywrzeć jakąś straszliwą zemstę na tych, którzy go zaatakowali?

Ekran pociemniał nagle, gdy pocisk trafił w cel i natychmiast inna kamera, umieszczona wiele mil dalej w powietrzu, zaczęła przekazywać obraz. W ułamku sekundy, jaki trwało połączenie, powinna była powstać ognista kula płonąca na niebie niczym drugie Słońce.

Jednak nic takiego się nie stało. Wielki statek unosił się na skraju stratosfery nietknięty, pławiąc się w słonecznym blasku. Pocisk nie

tylko nie zdołał go znisz czyć; co więcej, nikt nie był w stanie powiedzieć, co się z nim stało. A ponadto Karellen nie podjął żadnych działań przeciw inicjatorom ataku; nawet nie dał znać, że go zauważył. Zignorował ich pogardliwie, pozwalając im pocić się ze strachu przed zemstą, która nigdy nie nadeszła. Było to skuteczniejsze i bardziej odbierające chęć oporu niż jakiekolwiek represje. Rząd odpowiedzialny za wystrzelenie pocisku upadł wśród wzajemnych oskarżeń kilka tygodni później.

Polityka Zwierzchników napotkała również bierny opór. Zazwyczaj Karellen umiał dać sobie z tym radę, pozwalając przeciwnikom robić swoje, dopóki nie odkryli, że odmawiając współpracy, sami sobie wyrządzają krzywdę. Tylko raz podjął bezpośrednią akcję skierowaną przeciw krnąbrnemu rządowi.

Przez ponad sto lat Republika Południowej Afryki była ośrodkiem napięć spolecznych. Ludzie dobrej woli po obu stronach usiłowali zbudować most, jednak daremnie — obawy i uprzedzenia były zbyt głęboko zakorzenione, by mogła się udać jakakolwiek współpraca. Kolejne rządy różniły się jedynie stopniem tolerancji; Ziemia była zatruta nienawiścią i jadem wojny domowej.

Kiedy stało się jasne, że nie zostaną podjęte żadne wysiłki, aby położyć kres tej sytuacji, Karellen przekazał swoje ostrzeżenie. Po prostu wyznaczył datę i godzinę, nic więcej. Zrozumiano go, lecz niezbyt się tym przejęto, bowiem nikt nie wierzył, że Zwierzchnicy mogą podjąć jakieś działania, które obejmą zarówno winnych, jak i niewinnych.

I nie podjęli. Tyle że Słońce minęło południk Kapsztadu — i zgasło. Pozostała blada, czerwonawa kula nie dająca światła ani ciepła. W jakiś sposób w głębi kosmosu promienie słoneczne zostały spolaryzowane przez nieznane pole siłowe nie przepuszczające żadnego promieniowania. Obszar Ziemi objęty tym zjawiskiem miał średnicę pięciuset kilometrów i kształt idealnego okręgu.

Pokaz trwał trzydzieści minut. Wystarczyło; następnego dnia rząd Południowej Afryki ogłosił, że białej mniejszości zostają przywrócone pełne prawa obywatelskie.

Mirno takich pojedynczych wypadków, rodzaj lucbki zaakceptował Zwierzchników jako część naturalnego porządku rzeczy. W zaskakująco krótkim czasie początkowy szok poszedł w niepamięć i świat ponównie zajął się swoimi sprawami. Największą zmianą, jaką mógłby zauważyć obudzony ponownie Rip van Winkle było przyciszone oczekiwanie, rodzaj wewnętrznego oglądania się przez ramię, z jakim ludzkość czekała, aż Zwierzchnicy wyjdą ze swych lśniących statków i pokażą się publicznie.

Minęło pięć lat i nadal czekano. „Oto — pomyślał Stormgren — przyczyna wszystkich kłopotów”.

Kiedy samochód Stormgrena podjechał do pasa startowego, czekało na niego zwykłe kółko gapiów i przygotowanych kamer. Sekretarz generalny zamienił jeszcze kilka słów ze swoim zastępcą, wziął dyplomatkę i ruszył przez pierścień widzów.

Karellen nigdy nie kazał mu zbyt długo czekać. Tłum wydał nagły okrzyk i na niebie, ponad głowami, z zapierającą dech w piersi szybkością pojawił się srebrny bąbel. Podmuch powietrza szarpnął ubraniem Stormgrena, gdy niewielki stateczek zawisł kilka centymetrów nad ziemią, pięćdziesiąt metrów dalej, jakby obawiał się zetknięcia z nieczystą planetą. Idący wolno przed siebie Stormgren dostrzegł znajome wybrzuszenie powłoki statku wykonanej bez jednego spawu i po chwili ukazał się przed nim otwór, który tak intrygował najlepsze naukowe umysły Ziemi. Sekretarz wszedł do jedynej, oświetlonej miękkim światłem kabiny promu. Wejście zasklepiło się, jakby nigdy nie istniało, odcinając obraz i dźwięk.

Otworzyło się po pięciu minutach. Mimo że Stormgren nawet nie poczuł, że leci. wiedział, iż znajduje się już na wysokości pięćdziesięciu kilometrów, wewnątrz statku Karellena. Przebywał w świecie Zwierzchników; wszystko wokół tętniło ich tajemniczymi sprawami. Zbliżył się do nich bardziej niż jakikolwiek człowiek na świecie, ale wiedział o nich nie więcej niż te miliony ludzi na dole.

Mały pokój konferencyjny na końcu korytarza nie był umeblowany, jeśli nie liczyć pojedynczego fotela i stolika pod ekranem wizyjnym. Zgodnie z zamierzeniami projektantów, wnętrze nie mówiło nic o ich naturze. Ekran wizyjny, jak zawsze, był pusty. W snach Stormgren czasem widział, jak ekran ożywa, ujawniając mu tajemnicę dręczącą cały świat. Jednak ten sen nigdy się nie ziścił; ciemny prostokąt krył całkowitą zagadkę. Jednak była tam jeszcze potęga i mądrość, ogromne, tolerancyjne zrozumienie ludzkiej psychiki i najbardziej ze wszystkiego nieoczekiwane i nie pozbawione ciepłego humoru uczucie do tych małych stworzeń kłębiących się na planecie pod nimi.

Z ukrytego głośnika przemówił dobrze znany, spokojny, niespieszny głos, który Ziemia słyszała tylko raz. Jego barwa i ton mówiły coś o fizycznym wyglądzie Karellena; sprawiały wrażenie czegoś przytłaczająco wielkiego. Karollen musiał być okazałym osobnikiem — może dużo większym od człowieka. Jednak prawdą było też to, że niektórzy naukowcy po przeanalizowaniu nagrań jego jedynego przemówienia sugerowali, iż mógł to być głos maszyny. Jednak w coś takiego Stormgren absolutnie nie wierzył.

— Tak, Rikki, przysłuchiwałem się waszemu spotkaniu. I cóż poczniesz z panem Wainwrightem?

— To człowiek uczciwy, nawet jeśli wielu jego zwolenników nie można tak nazwać. A co z nim zrobimy? Liga jako taka nie jest

niebezpieczna, ale niektórzy ekstremiści w jej szeregach otwarcie opowiadają się za użyciem siły. Zastanawiałem się, czy nie powinienem postawić przed swoim domem straży. Jednak mam nadzieję, że obejdzie się bez tego.

Karellen zmienił temat, co niekiedy czynił, irytując nieco rozmówcę.

— Za miesiąc zostaną przekazane opinii publicznej szczegóły dotyczące Federacji Światowej. Czy można spodziewać się istotnego wzrostu siedmioprocentowej grupy tych, którzy się ze mną nie zgadzają lub dwunastoprocentowej tych, którzy „nie wiedzą"?

— Na razie nie. Jednak nie to jest ważne: niepokoi mnie powszechne uczucie, i to żywione nawet przez pańskich zwolenników, że nadszedł czas, by się pan ujawnił.

Westchnienie Karellena było doskonałe technicznie, chociaż zdawało się, że brakuje mu wewnętrznego przekonania.

— Czy pan podziela to uczucie? Ponieważ pytanie było w zasadzie retoryczne, Stormgren nie trudził się odpowiedzią.

— Zastanawiałem się — kontynuował z powagą — czy pan naprawdę rozumie, jak bardzo obecny stan rzeczy utrudnia mi pracę.

— Nie ułatwia to również mojej pracy — odparł żywo Karellen. — Chciałbym, aby ludzkość przestała o mnie myśleć jako o dyktatorze i pamiętała o tym, że jestem jedynie urzędnikiem próbującym dobrze zarządzać kolonią, ale nie mającym żadnego wpływu na kształtowanie polityki kolonialnej.

Stormgren pomyślał, że to odpowiednie porównanie. Zastanawiał się, ile było w nim prawdy.

— Czy nie może pan w końcu podać jakiegoś powodu, dla którego pan się ukrywa? Nie możemy tego zrozumieć, więc to nas irytuje i jest źródłem nie kończących się plotek i spekulacji.

Karellen wybuchnął głębokim, basowym śmiechem, nieco zbyt dźwięcznym jak na ludzki głos.

— A więc, czym według nich jestem? Czy teoria o robocie wciąż jeszcze ma zwolenników? Wolałbym już raczej być kupą lamp elektronowych niż czymś podobnym do stonogi… O, właśnie widziałem ten komiks we wczorajszej „Chicago Times". Myślę, że chciałbym mieć jeden egzemplarz.

Stormgren zacisnął usta. „Chwilami — pomyślał — Karellen traktuje sprawy zbyt lekko".

— To poważna sprawa — powiedział z naganą w głosie.

— Mój drogi Rikki — odparł Karellen — udaje mi się zachować resztki mojego, niegdyś całkiem znośnego zdrowego rozsądku tylko dlatego, że nie traktuję ludzi zbyt poważnie.

Sekretarz nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

— Jednak nie jest to nastawienie, które pomaga mi w pracy,

nieprawdaż? Muszę wrócić tam, na dół. i przekonać moich braci, że chociaż im się pan nie pokaże, nie ma pan nic do ukrycia. Nie jest to łatwe zadanie. Ciekawość jest jedną z największych ludzkich wad. Nie może jej pan ignorować w nieskończoność.

— Ten problem jest najpoważniejszy ze wszystkich, jakie napotkaliśmy tu, na Ziemi — przyznał Karellen. — Zaufałeś naszej mądrości w wielu sprawach, zaufaj nam i teraz.

— Ja wam ufam — odparł Stormgren — ale Wainwright nie, i jego zwolennicy również. Nie może ich pan winić za to, że błędnie interpretują waszą niechęć do pokazania się nam.

Na chwilę zapadła cisza. I wtedy Stormgren usłyszał niewyraźny dźwięk (jakby trzask?), który mógł zostać wywołany lekkim poruszeniem się Zwierzchnika.

— Pan wie, dlaczego Wainwright i jemu podobni obawiają się mnie, prawda? — zapytał Karellen. Jego głos, głęboki i mroczny, przypominał odgłos wielkich organów, przetaczający się echem pod sklepieniem wysokiej katedry. — Takich jak on znajdzie pan wśród zwolenników każdej religii na świecie. Oni wiedzą, że my reprezentujemy naukę i wiedzę i jakkolwiek pewni są swojej wiary, boją się, iż obalimy ich bogów. Niekoniecznie nawet celowo, ale w sposób znacznie subtelniejszy. Nauka może zniweczyć religię, po prostu ignorując jaj takie działanie może być równie skuteczne, jak obalanie religijnych dogmatów. O ile dobrze wiem, że nikt nie udowadniał, że nie istnieje Zeus czy Thor, a mają oni teraz niewielu wyznawców. Tacy jak Wainwright lękają się i tego, że możemy znać prawdę o korzeniach ich religii. Zastanawiają się, od jak dawna obserwujemy ludzkość. Czy byliśmy świadkami tego, jak Mahomet rozpoczynał Hegirę albo czy widzieliśmy Mojżesza wręczającego Żydom przykazania? Czy wiemy, ile też fałszu kryje się w historiach, w które wierzą?

— A wiecie? — szepnął Stormgren, na poły do siebie.

— To właśnie, Rikki, jest źródłem ich lęków, nawet jeśli otwarcie się do tego nie przyznają. Proszę mi wierzyć, niszczenie wiary nie jest dla nas powodem do satysfakcji, ale wszystkie religie świata nie mogą być słuszne, i oni o tym wiedzą. Wcześniej czy później człowiek musi poznać prawdę, lecz ten czas jeszcze nie nadszedł. Co się zaś tyczy naszej tajemniczości, to ma pan rację, że komplikuje nam ona sprawy, jednak to nie zależy od nas. Jest mi przykro tak samo jak panu z powodu tego ukrywania się, lecz są ku temu ważne powody. Mimo to postaram się uzyskać od moich przełożonych zgodę na wydanie oświadczenia, które pana usatysfakcjonuje i, być może, uspokoi Ligę Wolności. A teraz może wrócimy do porządku obrad i zaczniemy od początku.

— No i co? — spytał niecierpliwie van Ryberg — Udało się?

— Nie wiem — odparł zmęczony Stormgren, rzucając akta na biurko i opadając na fotel. — Teraz Karellen naradzi się ze swoimi przełożonymi, kimkolwiek lub czymkolwiek oni są. Właściwie niczego mi nie obiecał.

— Proszę posłuchać — odezwał się nagle Pięter. — Właśnie coś przyszło mi do głowy. Czy istnieje jakiś powód, dla którego mielibyśmy wierzyć, że w ogóle istnieje ktoś ponad Karellenem? Przypuśćmy, że wszyscy Zwierzchnicy, jak ich nazywamy, są tu, na Ziemi, w tych swoich statkach. Może nie mają się gdzie podziać i ukrywają przed nami ten fakt?

— Ciekawa teoria — Stormgren uśmiechnął się szeroko. — Jednak koliduje ona z tymi kilkoma drobiazgami, które wiem albo wydaje mi się, że wiem: o pozycji Karellena ł o nim samym.

— A co pan wie?

— No cóż, mimochodem, ale często napomyka o tym, że jego funkcja tutaj jest tylko czasowa i przeszkadza mu w zajęciu się prawdziwą pracą, która, jak sądzę, wiąże się z matematyką. Kiedyś zacytowałem mu Aktona, o władzy, która korumpuje i o władzy absolutnej, która korumpuje w stopniu absolutnym. Chciałem przekonać się, jak na to zareaguje. Wybuchnął tym swoim grzmiącym śmiechem i powiedział: „Takie niebezpieczeństwo mi nie grozi. Ponieważ im prędzej zakończę moją misję tutaj, tym prędzej wrócę do domu znajdującego się o wiele mil świetlnych stąd. A po drugie, nie posiadam władzy absolutnej, jakkolwiek na to nie patrzeć. Jestem tylko Kontrolerem". Oczywiście, mógł mnie oszukiwać.

— Jest nieśmiertelny, prawda?

— O tak, według naszych norm tak, choć jest coś takiego w przyszłości, czego się obawia. Jednak nie mogę sobie wyobrazić, co też to może być. I to już wszystko, co o nim wiem.

— Niewiele można z tego wywnioskować. Mam pewną teorię, według której ich flota zgubiła się w kosmosie i szuka nowej ojczyzny. Oni nie chcą, abyśmy wiedzieli, ilu ich jest. Może te wszystkie pozostałe statki są automatycznie sterou/ane i nie ma w nich nikogo. Są po prostu fasadą, za którą nic się nie kryje.

— Wie pan co — rzekł Stormgren — czytuje pan zbyt wiele książek fantastyczno-naukowych. Van Ryberg uśmiechnął się nieśmiało.

— „Inwazja z Kosmosu" przebiegła nieco inaczej niż tego oczekiwano, nieprawdaż? Jednak moja teoria wyjaśniałaby, dlaczego Karellen nigdy się nie pokazuje. Nie chce, abyśmy się dowiedzieli, że nie ma innych Zwierzchników.

Stormgren z pewnym rozbawieniem przecząco potrząsnął głową.

— Jak zwykle, pańskie wyjaśnienie jest zbyt skomplikowane, aby było prawdziwe. Za Zwierzchnikami musi stać potężna cywilizacja, i

to taka, która zna ludzkość od bardzo dawna, chociaż obu tych rzeczy możemy się tylko domyślać. Sam Karellen zajmuje się nami od wielu stuleci. Proszę bardzo, dowodzi tego choćby jego znajomość angielskiego. On mnie uczył idiomów!

— Czy kiedykolwiek stwierdził pan, że on czegoś nie wie?

— Ależ tak, wiele razy, chociaż zawsze były to jakieś drobiazgi. Przypuszczam, że on posiada pamięć absolutną, lecz pewne rzeczy nie są dla niego dość ważne, aby je zapamiętać. Na przykład angielski jest jedynym językiem, jaki opanował w doskonałym stopniu, mimo iż w ciągu ostatnich dwóch lat na tyle poznał fiński, żeby mnie drażnić. A przecież nie można się szybko nauczyć fińskiego! Potrafi z pamięci cytować całe fragmenty Kalewali, podczas gdy ja, co wyznaję ze wstydem, znam tylko parę linijek. Zna również biografie wszystkich żyjących polityków i czasem udaje mi się zidentyfikować źródła, na których się opiera. Jego znajomość naszej historii i nauki wydaje się dogłębna; nie ma pan pojęcia, ile już się od niego dowiedzieliśmy. Rozpatrując poszczególne jego talenty, nie przypuszczam, aby wszystkie wykraczały poza granice ludzkich możliwości. Jednak bardzo możliwe, że żaden człowiek nie zdołałby osiągnąć tyle co on w tak wielu dziedzinach.

— Domyślałem się tego — pokiwał głową van Ryberg. — Możemy rozmawiać o Karellenie bez końca, ale zawsze wracamy do tego samego pytania: dlaczego ten diabeł nie chce się pokazać? Dopóki tego nie uczyni, będę nadal snuł przypuszczenia, a Liga Wolności będzie wciąż protestować. — Buntowniczo spojrzał w sufit. — Mam nadzieję, panie Kontrolerze, iż nadejdzie taki dzień, że jakiś wścibski reporter doleci rakietą do pańskiego statku i kuchennymi drzwiami wpakuje się do środka. Ależ to byłaby sensacja!

Jeśli nawet Karellen to słyszał, to wcale nie zareagował. Choć, rzecz jasna, zawsze tak postępował.

W ciągu pierwszego roku po przybyciu Zwierzchników wydarzenie to miało mniejszy wpływ niż można się było tego spodziewać. Zwierzchnicy byli wszechobecni, ale ta obecność nie była przytłaczającym ciężarem. Jakkolwiek nad mało którym z wielkich miast Ziemi nie unosił się jeden z tych srebrnych, lśniących statków, wkrótce ich obecność stała się czymś równie oczywistym, co istnienie słońca, księżyca czy chmur. Większość ludzi prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, że stale podnoszący się poziom życia zawdzięczali Zwierzchnikom. Kiedy jednak zaczynali się nad tym zastanawiać, co nie zdarzało się często, uświadamiali sobie, że te nieruchome statki są gwarantem pokoju, jaki po raz pierwszy w historii zapanował na całym świecie. Wtedy czuli wdzięczność.

Były to jednak korzyści wynikające z zaniechania pewnych działań, a więc mało spektakularne, i niebawem o nich zapomniano.

Zwierzchnicy trzymali się na uboczu, kryjąc swe oblicza przed rodzajem ludzkim. Karellen potrafił budzić respekt i szacunek, ale jak długo kontynuował politykę pozostawania w cieniu, tak długo nie mógł liczyć na żadne cieplejsze uczucia ze strony ludzi. Właściwie trudno było nie czuć niechęci do tych mieszkańców Olimpu przemawiających do ludzkości za pomocą telefaxu zainstalowanego w siedzibie Sekretariatu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tego, o czym rozmawiali ze sobą Karellen i Stormgren, nigdy nie podawano do publicznej wiadomości, zaś sam Stormgren często zastanawiał się, dlaczego Kontroler uważa ich spotkania za konieczne. Możliwe, że czuł potrzebę bezpośredniego kontaktu przynajmniej z jednym człowiekiem, a może zdawał sobie sprawę z tego, jak potrzebny jest Stormgrenowi ten rodzaj poparcia. Jeśli tak, to dla Stormgrena był to wystarczający powód; nie miał nic przeciw temu, że Liga Wolności nazywała go obraźliwie „gońcem Karellena".

Zwierzchnicy nie zawierali żadnych układów z poszczególnymi państwami i rządami; zaakceptowali Organizację Narodów Zjednoczonych, wydali polecenie zainstalowania niezbędnych urządzeń radiowych i przekazywali rozkazy ustami sekretarza generalnego. Delegacja radziecka nieraz wykazywała w długich przemówieniach, zresztą całkowicie zgodnie z prawdą, że takie postępowanie kłóciło się z postanowieniami Karty ONZ. Nie robiło to żadnego wrażenia na Karellenie.

Było zaskakujące, że wraz z pojawieniem się obcych zniknęło tak wiele nadużyć, szaleństw i zła. Po przybyciu Zwierzchników narody dowiedziały się, że już nie muszą obawiać się siebie nawzajem i odgadły, jeszcze zanim się o tym przekonały, że istniejące uzbrojenie było zupełnie nieskuteczne przeciwko cywilizacji potrafiącej pokonać przestrzenie międzygwiezdne. Tak więc za jednym zamachem została usunięta największa przeszkoda na drodze do szczęścia ludzkości.

Zwierzchnikom w zasadzie były obojętne formy rządów w poszczególnych krajach, dbali jedynie o to, żeby nie były one reżimowe i skorumpowane. Na Ziemi istniały zatem nadal demokracje, monarchie, łagodne dyktatury, komunizm i kapitalizm. Wywoływało to spore zaskoczenie u wielu naiwnych, którzy byli przeświadczeni, że ich styl życia jest jedynym możliwym. Inni uważali, że Karellen po prostu czeka na właściwy moment, aby wprowadzić system, który zmiecie wszelkie istniejące ustroje społeczne i dlatego nie interesują go kosmetyczne reformy polityczne. Jednak były to, podobnie jak i inne spekulacje dotyczące Zwierzchników, tylko domysły. Nikt nie znał ich motywów i nikt nie wiedział, ku jakiej przyszłości wiodą ludzkość.

Stormgren źle sypiał, co było dość niezwykłe, gdyż wkrótce miał

na zawsze pozbyć się trosk związanych ze swoim urzędem. Od czterdziestu lat służył ludzkości, a od pięciu jej panom i niewielu ludzi, patrząc wstecz na swoje życie, mogło tak jak on powiedzieć, że udało im się zrealizować większość swoich planów. Być może, na tym właśnie polegał jego problem; w nadchodzących latach, ile by mu ich nie zostało, nie będzie kolejnych celów do osiągnięcia, co nadawałoby życiu jakiś sens. Od czasu gdy Marta umarła, a dzieci pozakładały własne rodziny, więzy łączące go ze światem wyraźnie osłabły. Może spowodował to fakt, że zaczął identyfikować się ze Zwierzchnikami i w ten sposób odizolował się od innych ludzi.

To była jeszcze jedna z tych niespokojnych nocy, podczas których jego umysł pracował bez przerwy jak silnik samochodu, którego kierowca wysiadł tylko na chwilę. Wiedział, że próby zmuszenia organizmu do snu skazane są na niepowodzenie, więc niechętnie podniósł się z łóżka. Narzuciwszy szlafrok, wyszedł na spacer do ogrodu znajdującego się na dachu przed jego skromnym mieszkankiem. Wśród podlegającego mu personelu nie było nikogo, kto nie mieszkałby w bardziej komfortowych apartamentach, ale taki standard w zupełności wystarczał Stormgrenowi. Zresztą pozycja, jaką osiągnął, sprawiała, że ani stan posiadania, ani żadne zaszczyty nie mogły jej już polepszyć.

Noc była ciepła, prawie duszna, ale niebo było czyste, a na południowym wschodzie, nisko nad horyzontem, wisiał lśniący księżyc. Luna świateł odległego Nowego Jorku rozjaśniała mrok niczym mroźna zorza.

Stormgren oderwał wzrok od uśpionego miasta i powiódł nim w górę, na wysokość, którą jemu jedynemu z żyjących ludzi było dane pokonać. Mimo odległości dostrzegł błyszczący w blasku księżyca kadłub statku Karellena..

Wysoko w górze meteor niczym świetlista włócznia przeszył kopułę nieba. Jego ślad przez chwilę płonął słabym blaskiem, a potem zniknął i pozostały tylko gwiazdy. Było to brutalne przypomnienie oczywistego faktu: za sto lat Karellen będzie nadal prowadził rodzaj ludzki ku tylko sobie znanemu celowi, lecz już za cztery miesiące inny człowiek zostanie sekretarzem generalnym ONZ. Fakt ten sam w sobie nie martwił zbytnio Stromgrena, ale oznaczał, że pozostało mu niewiele czasu, aby dowiedzieć się, co się kryje za ciemnym ekranem.

Dopiero ostatnio odważył się przyznać sam przed xsobą, że tajemniczość Zwierzchników stawała się powoli i jego obsesją. Dotychczas zaufanie, jakim darzył go Karellen uspokajało wszelkie wątpliwości, pomyślał ze smutkiem, ale teraz protesty Ligi Wolności zaczęły wywierać swój wpływ i na niego. To prawda, że slogany o zniewoleniu Człowieka nie były niczym więcej jak tanią propagandą. Niewielu ludzi brało je poważnie czy pragnęło, aby powróciły dawne

czasy. Ludzie przyzwyczaili się do niekwestionowanej władzy Karellena, ale zaczynali się niecierpliwić, gdyż chcieli wiedzieć, kto nimi rządzi. Czy można ich o to winić?

Jakkolwiek najliczniejsza, Liga Wolności była tylko jedną z organizacji zwalczających Karellena, a co za tym idzie, ludzi współpracujących ze Zwierzchnikami. Motywy i działania tych grup były niezwykle zróżnicowane; niektóre miały podłoże religijne, inne po prostu dawały upust kompleksowi niższości. Ich stosunek do Zwierzchników był taki jak wykształconego dziewiętnastowiecznego Hindusa do brytyjskiego protektoratu. Intruzi przynieśli Ziemi pokój i dobrobyt, lecz kto wie, jakie mogą być koszty? Historia minionych wieków nie rozpraszała tych wątpliwości: nawet najbardziej pokojowe kontakty między cywilizacjami stojącymi na różnych szczeblach rozwoju często przynosiły opłakane skutki dla zacofanego społeczeństwa. Narody, podobnie jak jednostki, stając przed wyzwaniem, któremu nie potrafiły sprostać, mogły stracić ducha. A cywilizacja Zwierzchników, chociaż owiana tajemnicą, była największym wyzwaniem, przed jakim kiedykolwiek stanął Człowiek.

W sąsiednim pokoju cicho zaklekotała drukarka wypluwająca skrót wiadomości z ostatniej godziny. Stormgren wszedł do środka i bez entuzjazmu przejrżał wydruk. Po drugiej stronie globu, z inspiracji Ligi Wolności powstał artykuł pod wielce oryginalnym nagłówkiem. Czy ludźmi rządzą potwory? — pytała gazeta, a dalej następowało zdanie: Na dzisiejszym mityngu w Madrasie dr C.V. Krishan, przewodniczący Wschodniego Oddziału Ligi Wolności powiedział: „Powód dziwnego zachowania Zwierzchników jest prosty. Ich wygląd jest tak potworny i odrażający, że nie odważą się ukazać ludziom. Wzywam Kontrolera, aby temu zaprzeczył".

Stormgren z niesmakiem upuścił papier. Gdyby nawet to oskarżenie było prawdziwe, czy miałoby jakiekolwiek znaczenie? Podobne pomysły nie były czymś nowym, ale nigdy się nimi nie przejmował. Nie wierzył, aby istniała taka forma życia, jakiej po pewnym czasie nie zdołałby zaakceptować, a może nawet polubić, jakkolwiek dziwną mogłaby się wydać na początku. Liczy się umysł, nie ciało. Gdybyż tylko udało mu się przekonać o tym Karellena! Zwierzchnicy mogliby ustąpić w tej sprawie. To pewne, że nie byli nawet w połowie tak odrażający, jak przedstawiała ich wyobraźnia rysowników tuż po przybyciu.

Stormgren wiedział jednak, że nie tylko troska o następcę kazała mu niecierpliwie oczekiwać kresu obecnego stanu rzeczy. Był dostatecznie szczery wobec siebie, aby przyznać, że po głębszej analizie jeden z kierujących nim motywów okazywał się silniejszy od pozostałych: zwykła ludzka ciekawość. Poznał Karellena jako osobowość, ale nigdy nie będzie całkowicie usatysfakcjonowany, jeśli

nie dowie się, jak Kontroler wygląda.

Nazajutrz rano, kiedy Stormgren o zwykłej porze nie pojawił się w biurze. Pięter van Ryberg był zaskoczony i lekko zmartwiony. Zazwyczaj sekretarz generalny, przeprowadzając pierwsze rozmowy telefoniczne jeszcze przed wyjściem do biura, uprzedzał pracowników o swojej ewentualnej nieobecności. Ponadto, co dodatkowo komplikowało sytuację, tego ranka kilka ważnych depesz wymagało odpowiedzi Stormgrena. Van Ryberg obdzwonił pół tuzina departamentów, próbując go odnaleźć i w końcu zrezygnował.

Koło południa był już mocno zdenerwowany i wysłał samochód do domu Stormgrena. Dziesięć minut później zaskoczyło go wycie syren; od podjazdu Roosevelta pędził wóz policyjny. Ktoś z załogi radiowozu musiał być wtyczką agencji informacyjnej, bo kiedy van Ryberg patrzył na zbliżający się samochód, radio właśnie głosiło światu, że nie jest już zastępcą, lecz p.o. sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Gdyby van Ryberg nie miał tylu spraw na głowie, z pewnością bawiłby się reakcjami prasy na zniknięcie Stormgrena. W ciągu miesiąca dziennikarze podzielili się na dwa obozy. Prasa zachodnia zasadniczo całkowicie zgadzała się na plan Karellena zmierzający do przekształcenia wszystkich ludzi w obywateli jednego świata. Z drugiej zaś strony znajdowały się kraje wschodu, targane gwałtownymi, choć przeważnie sztucznie wywołanymi spazmami narodowej dumy. Niektóre z nich uzyskały niepodległość mniej niż jedno pokolenie wcześniej i miały wrażenie, iż zadrwiono z ich osiągnięć. Krytyka postępowania Zwierzchników była w nich powszechna i agresywna; po pierwszym okresie wyczekiwania prasa szybko odkryła, że może obrażać Karellena ile jej się podoba i właściwie nic się nie dzieje. Teraz przechodziła samą siebie. Większość tych ataków, choć niezmiernie hałaśliwych, nie reprezentowała opinii szerokich kręgów społeczeństwa. Wzdłuż granic, które niebawem miały zniknąć podwojono straże, ale żołnierze spoglądali na siebie przyjaźnie, mimo iż jeszcze milcząco. Politycy i generałowie mogli sobie szaleć i toczyć pianę z ust, lecz spokojnie oczekujące miliony czuły, że może nie tak zaraz, ale niebawem długi i krwawy rozdział historii świata zostanie wreszcie zamknięty.

I właśnie teraz Stormgren zniknął, nie wiedzieć gdzie. Wrzaskliwa kampania nagle ucichła, gdy ludzie zrozumieli, że stracili jedynego człowieka, za którego pośrednictwem Zwierzchnicy, z sobie tylko znanych powodów, rozmawiali z Ziemią. Dziennikarzy i komentatorów dotknął jakby paraliż, a w ciszy, jaka nastała, rozlegał się tylko głos Ligi Wolności, która niespokojnie zapewniała o swojej niewinności.

Stormgren obudził się w całkowitej ciemności. Przez chwilę był

jeszcze zbyt zaspany, aby zdać sobie sprawę z niezwykłości tego faktu. Po chwili, w pełni odzyskawszy świadomość, usiadł i sięgnął do kontaktu obok łóżka.

Jego dłoń natrafiła na nagą, zimną, kamienną ścianę. Natychmiast znieruchomiał zaskoczony kontaktem z czymś nieoczekiwanym. Potem, niemal nie wierząc własnym zmysłom, klęknął na łóżku i opuszkami palców zaczął badać szokująco nieznajomą ścianę.

Nie trwało to długo, gdyż nagle dał się słyszeć trzask i fragment ciemności usunął się w bok. Na jaśniejszym tle dostrzegł niewyraźną ludzką sylwetkę, po czym drzwi zostały zamknięte i znów zrobiło się ciemno. Stało się to tak szybko, że nie zdążył rozejrzeć się po pomieszczeniu, w którym się znajdował.

Zaraz potem został oślepiony blaskiem silnej latarki. Strumień światła dotknął jego twarzy, przez chwilę pozostał na niej, a następnie ześlizgnął się w dół, oświetlając łóżko, które, jak to Stormgren teraz zobaczył, nie było niczym więcej jak materacem rozciągniętym na gołych deskach.

W mroku rozległ się łagodny głos mówiący bezbłędną angielszczyzną, ale z akcentem, którego Stormgren początkowo nie potrafił rozpoznać.

— Ach, panie sekretarzu, miło mi stwierdzić, że pan się obudził. Mam nadzieję, że czuje się pan zupełnie dobrze.

W tych ostatnich słowach kryło się coś, co zaintrygowało Stormgrena, powstrzymując potok gniewnych pytań cisnący mu się na usta. Wbił spojrzenie w ciemność i zapytał spokojnie:

— Jak długo byłem nieprzytomny? Rozmówca zachichotał.

— Kilka dni. Obiecano nam, że nie będzie ubocznych efektów. Milo mi stwierdzić, że to prawda.

Częściowo po to, aby zyskać na czasie, a trochę po to, by sprawdzić swoje reakcje, Stormgren przełożył nogi na drugą stronę posłania. Nadal miał na sobie swoją piżamę, ale była już nieźle wymięta i wydawała się mocno przybrudzona. Poruszywszy się, poczuł lekki zawrót głowy, nie na tyle silny aby sprawiał przykrość, lecz wystarczający, by przekonać, że istotnie potraktowano go jakimś środkiem odurzającym.

Odwrócił się w kierunku światła.

— Gdzie jestem? — powiedział ostro. — Czy Wainwright o tym wie?

— Ależ proszę się tak nie podniecać — odparł ukryty w mroku osobnik. — Na razie nie będziemy o tym rozmawiać. Przypuszczam, że jest pan porządnie głodny. Proszę się ubrać i zabierajmy się do obiadu.

Krąg światia przesunął się po pomieszczeniu i Stormgren dopiero teraz mógł ocenić jego rozmiary. Trudno je było nazwać pokojem,

bowiem ściany wyglądały na litą, z grubsza ociosaną skałę. Sekretarz zrozumiał, że przebywa pod ziemią, prawdopodobnie na sporej głębokości. Skoro był nieprzytomny przez kilka dni, mógł się znaleźć w dowolnym miejscu ziemskiego globu.

Latarka oświetliła kupkę odzieży leżącej obok jakiegoś pudełka.

— To powinno panu wystarczyć — powiedział głos w ciemności. — Mamy tu kłopoty z pralnią, więc zabraliśmy parę pańskich garniturów i pół tuzina koszul.

— Bardzo zapobiegliwie — powiedział ponuro Stormgren.

— Przykro nam z powodu braku światła i umeblowania. To miejsce ma swoje zalety, ale trudno je nazwać specjalnie przytulnym.

— Jakież to zalety? — spytał Stormgren, zakładając koszulę. Znajomy szelest odzieży był dziwnie pokrzepiający.

— Po prostu zalety — usłyszał. — A przy okazji, ponieważ wygląda na to, że spędzimy ze sobą sporo czasu, proszę mnie nazywać Joe.

— Mimo pańskiej narodowości — odparował Stormgren — bo jest pan Polakiem, prawda? Myślę, że mógłbym wymówić pańskie prawdziwe imię. Nie może być trudniejsze niż niektóre fińskie.

Nastąpiła krótka chwila ciszy i światło latarki lekko zamigotało.

— No cóż, powinienem był się tego spodziewać — powiedział Joe z rezygnacją. — Musi pan mieć w tym spore doświadczenie.

— To dość pożyteczne hobby dla człowieka w mojej sytuacji. Gdybym miał zgadywać dalej, powiedziałbym, że wychował się pan w Stanach Zjednoczonych, ale opuścił Polskę dopiero…

— Wystarczy — przerwał mu Joe. — Ponieważ wydaje się, że skończył pan wkładać ubranie, na tym zakończymy.

Drzwi otworzyły się, gdy Stormgren ruszył ku nim, czując się lekko podniesiony na duchu z powodu tego drobnego zwycięstwa. Joe usunął się na bok, pozwalając mu przejść i Rikki zadał sobie pytanie, czy porywacz jest uzbrojony. Prawie na pewno tak, a gdyby nawet nie, to z pewnością w pobliżu znajdowali się inni.

Korytarz był słabo oświetlony lampami naftowymi rozmieszczonymi co kilka kroków i Stormgren po raz pierwszy miał okazję dokładniej obejrzeć sobie Joe'ego. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat i musiał ważyć dobrze ponad dwieście funtów. Wszystko w nim było ogromne, poczynając od poplamionego polowego munduru, jaki mógł pochodzić z magazynów wielu różnych armii, aż po nieprawdopodobnie wielki sygnet na palcu lewej ręki. Człowiek o takich rozmiarach nie zawraca sobie głowy noszeniem broni. Gdyby Stormgrenowi udało się stąd wydostać, prawdopodobnie z łatwością odnaleziono by porywacza. Poczuł się odrobinę nieprzyjemnie, gdy pomyślał, że i Joe musi sobie doskonale zdawać z tego sprawę.

Otaczające ich ściany, choć gdzieniegdzie licowane betonem, przeważnie były chropawą skałą. Stormgren zrozumiał, że znajdują się w jakiejś opuszczonej kopalni; sam nie wymyśliłby lepszej kryjówki. Aż do tej pory niezbyt przejmował się tym, że został porwany. Zakładał, że cokolwiek by się nie stało, Zwierzchnicy dzięki swym niesamowitym możliwościom szybko go zlokalizują i przyjdą mu na pomoc. Teraz nie był już tego taki pewien. Minęło kilka dni ł nic się nie stało. Nawet potęga Karellena musi mieć jakieś granice, a jeśli istotnie tkwił głęboko pod powierzchnią ziemi, Zwierzchnicy mogli go nie odnaleźć.

W kiepsko oświetlonym pomieszczeniu przy stole z nie heblowanych desek siedzieli dwaj mężczyźni.

Popatrzyli na wchodzącego Stormgrena z ciekawością i sporą dozą szacunku. Jeden z nich podsunął mu paczkę kanapek, które zostały chętnie przyjęte. Chociaż był bardzo głodny i wolałby bardziej urozmaicony posiłek, domyślał się. że jego porywacze nie uraczyli się niczym lepszym.

Jedząc obrzucił szybkim spojrzeniem siedzących wokół niego mężczyzn. Joe wyróżniał się wśród nich — i nie chodziło tylko o rozmiary. Widać było, że dwaj pozostali byli po prostu jego pomocnikami: bezbarwni faceci, których pochodzenie Stormgren mógłby odkryć, gdyby któryś się odezwał. Do niezbyt czystej szklanki nalano trochę wina, którym popił ostatnie kęsy. Czując, że powoli zaczyna panować nad sytuacją, zwrócił się do ogromnego Polaka:

— No dobrze — powiedział spokojnie. — Może zechce mi pan teraz powiedzieć o co chodzi i co chcecie w ten sposób osiągnąć.

Joe odchrząknął.

— Jedną sprawę chciałbym postawić jasno — odparł. — Wainwright nie ma z tym nic wspólnego. Będzie zaskoczony tak samo jak wszyscy.

Stormgren właściwie spodziewał się tego, jednak ciekaw był, dlaczego Joe potwierdzał jego domysły. Od dawna podejrzewał istnienie grupy ekstremistów w którymś ze skrajnych ugrupowań Ligi Wolności.

— Pytam z czystej ciekawości — rzekł. — W jaki sposób mnie porwaliście?

Nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie i był nieco zaskoczony swobodą, a nawet pośpiechem, z jakim go poinformowali.

— Wszystko przypominało hollywoodzki dreszczowiec — rzeki radośnie Joe. — Nie byliśmy pewni, czy Karellen pana nie obserwuje, więc podjęliśmy pewne, dość wyszukane środki ostrożności. Został pan uśpiony gazem, który wpuściliśmy do urządzeń klimatyzacyjnych; to było dość proste. Potem bez jakichkolwiek kłopotów przenieśliśmy pana do samochodu. Wszystko to, że tak powiem, nie zostało

dokonane przez naszych ludzi. Wynajęliśmy do tej roboty… hmm… zawodowców. Może Karellen dopadnie ich, właściwie nawet spodziewamy się tego, ale niewiele z nich wyciągnie. Po opuszczeniu pańskiego domu samochód wjechał do długiego tunelu, który kończy się niemal tysiąc kilometrów za Nowym Jorkiem. Wyjechał z niego zgodnie z rozkładem, wioząc nieprzytomnego człowieka niezwykle podobnego do sekretarza generalnego ONZ. Dużo później po przeciwnej stronie tunelu pojawiła się załadowana metalowymi skrzyniami ciężarówka, która przejechała na lotnisko, gdzie pojemniki przeładowano na pokład czarterowego samolotu; wszystko zgodnie z prawem. Jestem pewien, że właściciele tych skrzyń byliby przerażeni, gdyby dowiedzieli się, do czego ich użyliśmy.

W tym samym czasie grupa, która wywiozła pana z domu, nadal prowadziła działania osłonowe, umykając ku granicy kanadyjskiej. Może wpadli już w łapy Karellena; nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jak może się pan przekonać, a mam nadzieję, że doceni pan moją szczerość, cały nasz plan opiera się na jednym założeniu. Jesteśmy wszyscy cholernie pewni, że Kontroler widzi i słyszy wszystko, co dzieje się na powierzchni ziemi, ale nie może, chyba że posługuje się czarami, a nie nauką, wiedzieć, co dzieje się pod nią. Tak więc nie dowie się o przesiadce w tunelu, a przynajmniej dopóki i tak nie będzie za późno. Wiąże się z tym pewne ryzyko, lecz mamy jeszcze jedno czy dwa dodatkowe zabezpieczenia, o których nie będę teraz mówił. Mogą nam się jeszcze przydać i szkoda byłoby ujawnić je przedwcześnie.

Joe relacjonował zdarzenia z takim zapałem, że Stormgren z trudem powstrzymywał uśmiech. Równocześnie był jednak mocno zaniepokojony. Plan był dość pomysłowy i Karellen mógł dać się nabrać. Rikki nawet nie wiedział, czy Zwierzchnik w ogóle go obserwował i miał zamiar chronić. Joe, rzecz jasna, też nie mógł tego wiedzieć. Może właśnie dlatego był taki wylewny; chciał sprawdzić reakcję Stormgrena. No cóż, trzeba spróbować ukryć swoje prawdziwe uczucia i udawać pewność siebie.

— Musicie być kupą durniów — powiedział — jeśli przypuszczacie, że tak łatwo uda wam się zakpić ze Zwierzchników. Tak czy owak, co zamierzacie przez to osiągnąć?

Joe poczęstował go papierosem, ale Stormgren odmówił, więc zapalił sam i usiadł na brzegu stołu. Mebel zatrzeszczał złowieszczo i olbrzym pospiesznie z niego zeskoczył.

— Nasze motywy — zaczął — powinny być dla pana diabelnie jasne. Otóż stwierdziliśmy, że przekonywanie innych jest bezcelowe i podjęliśmy inne działania. Podziemny ruch oporu nie jest czymś nowym i Karellen tak łatwo się z nami nie upora.

Będziemy walczyć o naszą niepodległość. Proszę mnie źle nie

zrozumieć. Nie będzie żadnych aktów przemocy, przynajmniej początkowo, ale Zwierzchnicy muszą działać za pośrednictwem swoich agentów, którymi są ludzie, a my potrafimy tym ostatnim narobić ogromnych kłopotów.

„Zaczynając, jak sądzę, ode mnie" — pomyślał Stormgren. Zastanawiał się, czy jego rozmówca nie poczęstował go zgrabnie ułożoną bajeczką. Czy oni myślą, że te gangsterskie metody wywrą na Kontrolerze jakiekolwiek wrażenie? Jednak, pozostaje faktem, że dobrze zorganizowany ruch oporu może bardzo utrudnić życie. Joe znalazł jedyny słaby punkt Zwierzchników. W końcu wszystkie polecenia wydawali ustami ludzi. Jeśli ci zostaną sterroryzowani lub odmówią posłuszeństwa, cały system się zawali. Jednak szansę na to były naprawdę niewielkie, ponieważ Stormgren był niemal pewien, że Karellen znajdzie jakieś wyjście.

— Co zamierzacie ze mną zrobić? — zapytał w końcu. — Jestem tu jako zakładnik czy też może w innej roli?

— Proszę się nie martwić, zatroszczymy się o pana. Za kilka dni oczekujemy tu gości i do tej pory będziemy pana zabawiać najlepiej, jak umiemy. Dorzucił kilka słów w ojczystym języku i jeden z pozostałych porywaczy wyjął nowiutką talię kart.

— Przygotowaliśmy je specjalnie dla pana — wyjaśnił. — Przeczytałem w magazynie „Time", że kiedyś był pan niezłym pokerzystą.

Jego głos nagle spoważniał.

— Mam nadzieję, że w portfelu ma pan dość gotówki — powiedział z niepokojem. — Nie przyszło nam do głowy, żeby to sprawdzić. Wie pan, nie bardzo możemy przyjąć czeki.

Zupełnie pokonany Stormgren wybałuszył oczy na swoich porywaczy. Po chwili, kiedy dotarł do niego cały komizm sytuacji, poczuł się tak, jakby nagle ktoś zdjął mu z ramion wszystkie troski i kłopoty związane z jego urzędem. Od tej pory show należał do Ryberga. Cokolwiek się stanie, absolutnie nic nie mógł na to poradzić, a ci niezwykli kryminaliści niecierpliwie czekali, aby zagrać z nim w pokera.

Nagle odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem, jakim nie śmiał się od wielu lat.

„Nie ulega wątpliwości — myślał przygnębiony Ryberg — że Wainwright mówił prawdę". Może miał jakieś podejrzenia, ale nie wiedział, kto porwał Stormgrena. Przywódca Ligi Wolności nie aprobował porwania. Van Ryberg podejrzewał, i to chyba trafnie, że od jakiegoś czasu ekstremiści z Ligi Wolności naciskali Wainwrighta, aby wyraził zgodę na bardziej zdecydowane działania. Teraz wzięli sprawy w swoje ręce.

Nie ulegało wątpliwości, że porwanie było znakomicie

zorganizowane. Stormgren mógł znajdować się gdziekolwiek na kuli ziemskiej i nadzieje na odnalezienie go były raczej nikłe. Jednak coś trzeba było zrobić, postanowił Ryberg, i to szybko. Mimo częstych kpin w rzeczywistości czul ogromy respekt przed Karellenem. Myśl o zwróceniu się wprost do Kontrolera wprawiała go w konsternację i przerażenie, ale wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia.

Dział Łączności zajmował najwyższe piętro wielkiego gmachu. Wszędzie ciągnęły się rzędy dalekopisów, milczących lub trzeszczących hałaśliwie, wylewających nie kończące się strumienie danych statystycznych: wskaźników wzrostu produkcji, wykazów dochodów i urzędowych sprawozdań, całej księgowości światowego systemu ekonomicznego. Gdzieś we wnętrzu statku Karellena musi znajdować się odpowiednik tego pomieszczenia. Van Ryberg poczuł dreszcz przebiegający po plecach, gdy pomyślał, jak wyglądali ci, którzy uwijali się tam, odbierając informacje przekazywane z Ziemi Zwierzchnikom.

Jednak dziś nie interesowały go ani dalekopisy, ani ich codzienna praca. Poszedł do małego pokoju, do którego w zasadzie miał wstęp jedynie Stormgren. Na polecenie Ryberga otwarto drzwi i stanął w nich szef łączności.

— To zwykły dalekopis ze standardową klawiaturą — powiedział Rybergowi. — Jest tu również telefax, na wypadek gdyby chciał pan przesłać jakieś zdjęcie lub tabelę, chociaż mówił pan, że nie będzie panu potrzebny.

Van Rfoerg z roztargnieniem skinął głową.

— Dziękuję. To wszystko — powiedział. — Nie sądzę, żebym zabawił tu długo. Proszę zatem zamknąć pomieszczenie i przekazać mi komplet kluczy.

Zaczekał, aż szef łączności wyjdzie, po czym usiadł za pulpitem maszyny. Wiedział, że używano jej dość rzadko, ponieważ Karellen i Stormgren załatwiali wszystkie sprawy na cotygodniowych konferencjach. Ponieważ jednak dalekopis był czymś w rodzaju gorącej linii, Ryberg spodziewał się, że odpowiedź nadejdzie dość szybko.

Po chwili wahania zaczął niewprawnie wystukiwać wiadomość. Maszyna łagodnie zamruczała i za moment na ciemnym ekranie pojawiły się słowa. Oparł się o oparcie krzesła i czekał na odpowiedź.

Nim minęła minuta, maszyna zaterkotała ponownie. Van Ryberg nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Kontroler w ogóle kiedykolwiek sypia.

Wiadomość była równie krótka, co nieoczekiwana.

NIE MAM ŻADNYCH INFORMACJI. POZOSTAWIAM SPRAWĘ CAŁKOWICIE W PAŃSKIEJ GESTII.

Absolutnie nie usatysfakcjonowany, a nawet wściekły, van Ryberg pomyślał o tym, jak ciężkie brzemię spoczywa teraz na jego barkach.

Przez ostatnie trzy dni Stormgren sumiennie analizował swoich porywaczy. Joe był jedynym, który cokolwiek znaczył; pozostali byli bezwartościowymi osobnikami, przedstawicielami hołoty, jaką, zgodnie z oczekiwaniami, przyciąga do siebie każdy nielegalny ruch. Ideały Ligi Wolności nic dla nich nie znaczyły, troszczyli się jedynie o to, by jak najmniejszym wysiłkiem zarobić na życie.

Joe stanowił znacznie bardziej złożoną osobowość, chociaż chwilami przypominał Stormgrenowi przerośnięte dziecko. Ich nie kończące się partie pokera były przerywane zażartymi dyskusjami politycznymi i wkrótce Stormgren pojął, że ogromny Polak nigdy poważnie nie rozważał sprawy, za którą walczył. Posługiwał się ocenami zabarwionymi emocjami i skrajnym konserwatyzmem. Długotrwała walka jego ojczyzny o niepodległość wywarła nań tak przemożny wpływ, że żył wyłącznie przeszłością. Był jej malowniczym reliktem, jednym z tych osobników, którzy żadną miarą nie dawali się wtłoczyć w ramy normalnego, uporządkowanego życia. Kiedy on i jemu podobni znikną, świat będzie bezpieczniejszym, lecz mało interesującym miejscem.

Zastanawiając się nad sytuacją, Stormgren nie miał żadnych wątpliwości, że Karellenowi nie udało się go odnaleźć. Próbował blefować, lecz porywacze nie dali się nabrać. Był głęboko przekonany o tym, że trzymali go tutaj, aby sprawdzić reakcję Karellena, a ponieważ nic się nie stało, mogli dalej realizować swoje plany.

Dlatego wcale się nie zdziwił, gdy po czterech dniach Joe powiedział mu, żeby oczekiwał gości. Od jakiegoś czasu porywacze zdradzali rosnące zdenerwowanie i więzień odgadł, że przywódcy ruchu przekonawszy się, że nic im nie grozi, przybyli, aby go przejąć.

Gdy Joe uprzejmym kiwnięciem ręki zaprosił go do salonu, czekali już na niego zebrani wokół topornego stołu. Stormgren z rozbawieniem zauważył, że olbrzymi dozorca ostentacyjnie obnosił się teraz z ogromnym pistoletem, którego przedtem wcale nie pokazywał. Pozostali dwaj porywacze gdzieś zniknęli i nawet Joe, jak na niego, zachowywał się bardzo powściągliwie. Stormgren natychmiast spostrzegł, że stanął przed ludźmi dużego formatu i że grupa, na którą patrzy, dziwnie przypomina mu widziany niegdyś obraz przedstawiający Lenina wraz z towarzyszami w pierwszych dniach rewolucji. U tych sześciu ludzi wyczuwał taką samą siłę intelektu, żelazną wolę i bezwzględność. Joe i jemu podobni byli nieszkodliwi; natomiast ci stanowili prawdziwy mózg organizacji.

Pozdrowiwszy przybyłych uprzejmym skinieniem głowy, próbując nie okazywać zdenerwowania, podszedł do jedynego pustego krzesła. W tym momencie siedzący po przeciwnej stronie stołu starszy, krępy

mężczyzna nachylił się do przodu i wbił weń przenikliwe spojrzenie szarych oczu. Stormgren poczuł się nieswojo i przemówił pierwszy, czego początkowo nie zamierzał robić.

— Przypuszczam, że przybyliście tu, aby omówić warunki. Jak wysoki ma być okup?

Zauważył, że ktoś siedzący w głębi zaczął zapisywać jego słowa w notesie. Wszystko przebiegało bardzo sprawnie.

Przywódca odpowiedział z melodyjnym, walijskim akcentem:

— Można to i tak określić, panie sekretarzu. Jednak interesują nas informacje, a nie gotówka.

‚A wiec o to chodzi — pomyślał Stormgren. — Jestem jeńcem wojennym, którego się przesłuchuje".

— Pan wie, jakie są nasze pobudki — ciągnął tamten miękkim, śpiewnym głosem. — Jeżeli pan chce, może nas pan nazywać ruchem oporu. Wierzymy, że prędzej czy później Ziemia będzie musiała walczyć o swoją niepodległość, ale zdajemy sobie sprawę i z tego, że walka może być prowadzona jedynie metodami pośrednimi, takimi jak sabotaż lub bojkotowanie rozkazów. Porwaliśmy pana między innymi po to, aby pokazać Karellenowi, że traktujemy sprawy poważnie i jesteśmy dobrze zorganizowani, ale ważniejszym powodem jest fakt, że tylko pan może powiedzieć nam coś o Zwierzchnikach. Jest pan rozsądnym człowiekiem, panie Stormgren. Proszę okazać dobrą wolę, a uwolnimy pana.

— A co właściwie chcielibyście wiedzieć? — zapytał ostrożnie Rikki.

Wydawało się, że te szare oczy potrafią przejrzeć go na wylot. Jeszcze nikt nigdy tak na niego nie patrzył. Potem śpiewny głos powiedział:

— Czy pan wie, kim lub czym są Zwierzchnicy? Stormgren prawie się uśmiechnął.

— Proszę mi wierzyć — odparł — że chciałbym to wiedzieć tak samo jak wy.

— A zatem odpowie pan na nasze pytania?

— Niczego nie obiecuję. Może. Usłyszał, jak Joe odetchnął z ulgą i przez pokój przeleciał szmer oczekiwania.

— Wiemy, przynajmniej mniej więcej, w jakich okolicznościach spotkał się pan z Karellenem. Jednak może zechce je nam pan dokładnie opisać, nie pomijając nawet najdrobniejszych szczegółów.

W tym akurat nie było żadnego ryzyka. Opowiadał to już tyle razy, że mógł powiedzieć jeszcze raz, a w ten sposób sprawi wrażenie, że z nimi współpracuje. Poza tym byli to ludzie o przenikliwych umysłach i może uda im się odkryć coś nowego. Chętnie powitają każdą nową informację, jaką od niego, uzyskają, dopóki będzie miał coś do powiedzenia. Zresztą ani przez chwilę nie wierzył, aby

cokolwiek z tego, co im powie, mogło zaszkodzić Karellenowi.

Stormgren włożył ręce do kieszeni i wyjął ołówek oraz starą kopertę. Szybko rysując i jednocześnie mówiąc, zaczął:

— Oczywiście wiecie panowie, że w regularnych odstępach czasu przylatuje po mnie mała maszyna latająca nie mająca żadnych widocznych źródeł napędu, która zabiera mnie na pokład statku Karellena. Dociera ona do statku i wnika weń; z pewnością widzieliście filmy, jakie przy takich okazjach nakręcono za pomocą teleobiektywów. Drzwi, jeżeli można to nazwać drzwiami, otwierają się ponownie i wchodzę do małego pomieszczenia wyposażonego w stół, krzesło i ekran wizyjny. Wygląda to mniej więcej tak.

Podsunął plan staremu Walijczykowi, lecz te niezwykłe oczy nie spojrzały w kierunku papieru. Wciąż wpatrywały się w twarz Stormgrena i w ich głębi pojawił się jakiś nowy wyraz. W pokoju zapadła cisza i Rikki usłyszał, że stojący za nim Joe gwałtownie nabrał tchu.

Zaskoczony i zdezorientowany Stormgren rozejrzał się po pokoju i pozostałych rozmówcach. Powoli zaczynał rozumieć. Zmieszany, zgniótł papier w kulę i przydeptał nogą.

Wiedział już, dlaczego te oczy zrobiły na nim takie wrażenie. Siedzący przed nim człowiek był ślepy.

Van Ryberg nie podejmował już dalszych prób kontaktowania się z Karellenem. Większość obowiązków związanych ze stanowiskiem sekretarza generalnego: przekazywanie informacji do statystyk, dostarczanie zajęcia dziennikarzom i tak dalej, wykonywał prawie automatycznie. W Paryżu prawnicy debatowali nad projektem konstytucji światowej, ale w tej chwili nie była to jego rzecz. Kontroler chciał mieć pojutrze ostateczny projekt; jeśli do tej pory nie będzie gotowy, Karellen niewątpliwie podejmie takie działania, jakie uzna za stosowne.

I nadal nie było wiadomości od Stormgrena.

Van Ryberg właśnie coś dyktował, kiedy zadzwonił telefon opatrzony napisem: „Tylko w nagłych wypadkach". Podniósł słuchawkę, przez chwilę trzymał ją przy uchu, a na jego twarzy pojawiło się szybko rosnące zdumienie. W końcu rzucił wszystko i skoczył do otwartego okna. W dole dały się słyszeć okrzyki zaskoczenia i ruch uliczny zaczął zamierać.

Podejrzenie stało się faktem: statek Karellena, monumentalny symbol Zwierzchnictwa, zniknął. Ryberg wpatrywał się w niebo, ale jak wzrokiem sięgnąć, nie znalazł po nim nawet śladu. A potem nagle zapadła noc. Nadlatujący z północy, ciemny jak gradowa chmura spód statku błyskawicznie przemknął nad dachami miasta. Van Ryberg odruchowo cofnął się w głąb pokoju, dalej od przelatującego molocha. Chociaż dobrze wiedział, jak wielkie są statki Zwierzchników, ale

widzieć je z oddali wysoko na niebie to jedno, a patrzeć, jak przelatują tuż nad głową niby gnany przez demony obłok, to zupełnie coś innego.

Stojąc w mroku chwilowego zaćmienia słońca, spoglądał przez okno, aż statek i jego gigantyczny cień zniknęły na południu. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk; powietrze nawet nie drgnęło i van Ryberg zrozumiał, że wrażenie pozornej bliskości statku było złudą i że przeleciał on co najmniej kilometr nad jego głową. A potem budynek zatrząsł się w posadach pod uderzeniem fali dźwiękowej i rozległ się brzęk tłuczonego szkła, gdy jakieś okno zostało wduszone do środka.

W biurze za jego plecami rozdzwoniły się wszystkie telefony naraz, ale van Ryberg nie ruszył się z miejsca. Stał przy oknie, opierając się o parapet i patrząc wciąż na południe, sparaliżowany demonstracją bezgranicznej potęgi Zwierzchników.

Kiedy Stormgren mówił, miał wrażenie, że jego umysł pracuje teraz dwutorowo. Z jednej strony próbował przeciwstawić się ludziom, którzy go porwali, lecz jednocześnie miał nadzieję, że pomogą mu rozgryźć tajemnicę Karellena. Gra była niebezpieczna, ale ku własnemu zdziwieniu znakomicie się bawił.

Większość pytań zadawał niewidomy Walijczyk. Siedzenie tego, jak ten żywy, przenikliwy umysł podejmował kolejne próby, sprawdzając i odrzucając wszystkie te teorie, które Stormgren już dawno uznał za jałowe i fałszywe, było fascynujące. W końcu tamten z westchnieniem odchylił się do tyłu.

— To do niczego nie ’prowadzi — powiedział z rezygnacją. — Potrzebujemy nowych faktów, a to oznacza działanie, nie dyskusję.

Niewidzące oczy wydawały się w zadumie spoglądać na Stormgrena. Przez chwilę przywódca porywaczy nerwowo bębnił palcami po stole. Była to pierwsza oznaka niezdecydowania, jaką sekretarz u niego zauważył. Po chwili Walijczyk podjął rozmowę:

— Jestem trochę zdziwiony, panie sekretarzu, że nigdy nie uczynił pan niczego, aby dowiedzieć się czegoś o Zwierzchnikach.

— A co by pan zrobił na moim miejscu? — spytał chłodno Stormgren, próbując ukryć ciekawość. — Powiedziałem wam już, że pokój, w którym prowadzę rozmowy z Karellenem, można opuścić tylko w jeden sposób: prosto na Ziemię.

— Może udałoby się — rozmyślał tamten — skonstruować urządzenie, które pozwoli nam dowiedzieć się czegoś. Nie jestem naukowcem, ale możemy zorientować się w tej kwestii. Jeżeli uwolnimy pana, to czy zechce nam pan pomóc w realizacji takiego planu?

— Pozwólcie panowie — powiedział gniewnie Stormgren — że raz na zawsze wyjaśnię moje stanowisko w tej sprawie. Karellen

usiłuje zjednoczyć świat, a ja nie sprzymierzę się z jego wrogami. Nie znam wszystkich jego planów, ale wierzę, że pragnie naszego dobra.

— Jakież mamy na to dowody?

— Wszystkie jego działania, jakie podjął od chwili, gdy te statki pojawiły się na naszym niebie. Wskażcie proszę choć jeden jego czyn, który w ostatecznym rozrachunku nie okazał się błogosławiony w skutkach. — Stormgren przerwał na chwilę, wracając myślą do minionych lat. I nieoczekiwanie uśmiechnął się. — Jeśli potrzebny wam dowód na wrodzoną Zwierzchnikom, jakby to ująć, chęć czynienia dobra, pomyślcie o zakazie znęcania się nad zwierzętami, który wydali w miesiąc po przybyciu. Jeśli miałem jakieś wątpliwości co do intencji Karellena, to właśnie wtedy pozbyłem się ich, mimo iż ten zakaz wywołał więcej problemów niż cokolwiek, co zrobił potem.

„Nie było w tym cienia przesady" pomyślał Stormgren. To wydarzenie było niezwykłym, pierwszym przejawem nienawiści, jaką Zwierzchnicy żywili do okrucieństwa. Ona właśnie oraz umiłowanie porządku i sprawiedliwości były chyba głównymi emocjami, jakimi kierowali się w życiu, jeśli można ich oceniać na podstawie tego, co robili. Był to także jedyny raz, kiedy Karellen się rozgniewał, a przynajmniej tak się wydawało.

— Jeśli taka jest wasza wola — głosiło jego posłanie — możecie zabijać się nawzajem, to wasza sprawa i waszych praw. Jeśli jednak będziecie zabijać, wyjąwszy przypadki samoobrony lub potrzebę zdobycia żywności, zwierzęta dzielące z wami wasz świat, możecie być za to przeze mnie pociągnięci do odpowiedzialności.

Zrazu nie było wiadomo, jaki zakres miał mieć ten zakaz i w jaki sposób Karellen zamierza wymusić jego respektowanie. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

Kiedy matadorzy i ich pomocnicy rozpoczęli zwyczajową paradę, Plaża de Toros był już pełny po brzegi. Wszystko odbywało się jak zwykle; tradycyjne stroje błyszczały w oślepiającym słońcu, a wielotysięczny tłum, jak setki razy przedtem, witał ulubieńców wiwatami. Jednak niektóre twarze niespokojnie kierowały się ku niebu i samotnemu, srebrnemu statkowi wiszącemu pięćdziesiąt kilometrów nad Madrytem.

Pikadorzy zajęli pozycje i na arenę wypadł parskający byk. Chude konie kręciły się nerwowo z chrapami rozszerzonymi ze strachu, gdy jeźdźcy usiłowali je zmusić, by stawiły czoła wrogowi. Błysnęła pierwsza pika, wnikając w ciało byka i w tej samej chwili rozległ się dźwięk, jakiego Ziemia nigdy przedtem nie słyszała.

Był to głos dziesięciu tysięcy ludzi wyjących z bólu spowodowanego tą samą raną; dziesięciu tysięcy widzów, którzy doszedłszy do siebie stwierdzili, że nie doznali najmniejszego uszczerbku. Jednak w ten sposób skończyła się owa walka byków i w

ogóle wszystkie corridy, bo wieść szybko się rozeszła. Warto odnotować, że afficionados byli tak wstrząśnięci, iż tylko jeden na dziesięciu zażądał zwrotu pieniędzy, jak również to, że londyński „Daily Mirror" dolał oliwy do ognia, proponując, by Hiszpanie za swój nowy narodowy sport uznali krykieta.

— Może ma pan rację — odparł stary Walijczyk. — Może Zwierzchnicy działają ze szlachetnych pobudek, zgodnie ze swoimi normami moralnymi, które być może, są podobne do naszych. Są tu jednak intruzami: nigdy nie prosiliśmy, aby przybyli i wywrócili świat do góry nogami, niszcząc ideały, właśnie tak, ideały o które walczyły całe pokolenia.

— Urodziłem się jako członek niewielkiego narodu, który musiał walczyć o swoją wolność — odparował Stormgren. — Jednak popieram Karellena. Możecie go denerwować, możecie nawet odwlec realizację jego celów, ale w ostatecznym rozrachunku nie ma to znaczenia. Nie wątpię, że szczerze wierzycie w to, co robicie. Potrafię zrozumieć wasze obawy o to, że kultura i tradycje małych krajów rozpłyną się w tyglu zjednoczonego świata. Mylicie się; kurczowe trzymanie się przeszłości, prowadzi donikąd. Historyczne państwo jako takie umierało, zanim jeszcze przybyli Zwierzchnicy. Oni tylko przyspieszyli koniec; ten proces nie da się zatrzymać i nikt nie powinien tego nawet próbować.

Nie doczekał się odpowiedzi; rozmówca nie poruszył się i nic nie powiedział. Siedział z lekko rozchylonymi ustami, a jego oczy były teraz nie tylko ślepe, ale i pozbawione życia. Pozostali byli równie nieruchomi i zastygli w nienaturalnie sztywnych pozach. Ze zduszonym jękiem przerażenia Stormgren wstał i ruszył do drzwi. I wtedy w ciszy przemówił znajomy głos:

— To było ładnie powiedziane, Rikki, dziękuję panu. A teraz myślę, że możemy już iść.

Stormgren obrócił się na pięcie i wbił wzrok w mrok korytarza. Na poziomie oczu zobaczył unoszącą się w powietrzu małą, niewyraźną kulę: bez wątpienia źródło tajemniczej siły, którą zastosowali Zwierzchnicy. Stormgren nie miał pewności, lecz wydawało mu się, że słyszy cichutkie brzęczenie przypominające pszczeli ul w letni, senny dzień.

— Karellen! Dzięki Bogu! Ale co im pan zrobił?

— Proszę się nie martwić, nic im nie jest. Można by to nazwać paraliżem, ale to nieco bardziej skomplikowane zjawisko. Po prostu żyją życiem tysiąc razy wolniejszym niż normalnie. Kiedy stąd odejdziemy, nigdy nie domyśla się, co ich spotkało.

— Zostawi ich pan tutaj do przybycia policji?

— Ależ skąd! Mam lepszy plan. Pozwolę im odejść.

Stormgren poczuł głęboką ulgę, która jego samego zaskoczyła.

Obrzucił pożegnalnym spojrzeniem mały pokój i zastygłe w nim postacie. Joe stał na jednej nodze, gapiąc się głupawo w pustkę. Stormgren roześmiał się nagle i zaczął szperać po kieszeniach.

— Dzięki za gościnę, Joe — rzekł. — Zostawię ci coś na pamiątkę.

Przewertował swoje papiery, aż znalazł to, czego szukał. Potem na względnie czystej kartce napisał starannie:

MANHATTAN BANK

Proszę wypłacić panu Joe'emu kwotę stu trzydziestu pięciu dolarów i pięćdziesięciu centów ($ 135,50).

R. Stormgren

Kiedy kładł strzęp papieru obok Polaka, usłyszał głos Karellena:

— Co pan właściwie robi?

— My, Stormgrenowie, zawsze płacimy długi. Tamci dwaj oszukiwali, ale Joe grał uczciwie. A przynajmniej nie przyłapałem go na oszustwie.

Kiedy szedł w kierunku windy, było mu wesoło i lekko, jakby ubyło mu czterdzieści lat. Metalowa kula odsunęła się w bok, robiąc mu przejście. Domyślił się, że to rodzaj automatu; a więc to w taki sposób Karellen dotarł do niego przez nie wiadomo jak gruby pokład skały.

— Proszę iść prosto sto metrów — przemówiło kuliste urządzenie głosem Kontrolera. — Następnie w lewo, dopóki nie przekażę panu dalszych wskazówek.

Szybko ruszył przed siebie, chociaż czuł, że właściwie nie ma powodu do pośpiechu. Kula pozostała w miejscu; wisząc w korytarzu prawdopodobnie dawała mu czas na ucieczkę.

Po minucie odnalazł drugi automat oczekujący na niego w odgałęzieniu korytarza.

— Musi pan przejść jeszcze pół kilometra — usłyszał. — Proszę trzymać się lewej strony aż do następnego spotkania.

Zanim wydostał się na otwartą przestrzeń, minął jeszcze sześć kuł. Początkowo zastanawiał się, w jaki sposób robotowi udaje się go wyprzedzać, potem odgadł, że w kopalni musi być co najmniej kilka takich urządzeń zapewniających łączność z najgłębszymi pokładami. Przy wejściu, niczym niesamowita rzeźba, stała grupa strażników strzeżonych przez jeszcze jeden wszędobylski automat. Kilka metrów dalej, na zboczu góry czekała mała maszyna latająca, w której Stormgren odwiedzał Karellena.

Rikki stał przez chwilę, mrużąc oczy w blasku słońca. Potem dostrzegł poniewierające się wokół urządzenia kopalni, a dalej stare tory biegnące w dół stoku. W oddali, u stóp góry, rósł gęsty las, a jeszcze dalej lśniły wody wielkiego jeziora. Domyślił się, że znajduje

się gdzieś w Ameryce Południowej, chociaż nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tak sądzi.

Wchodząc do małej latającej maszyny, Stormgren po raz ostatni spojrzał na wylot szybu i stojących w nim nieruchomych ludzi. Potem drzwi zasklepiły się za nim i Rikki z westchnieniem ulgi opadł na dobrze sobie znaną kanapę.

Przez chwilę czekał, aż wyrówna mu się oddech, a potem wyrzucił z siebie jedną, płynącą z głębi serca sylabę:

— No?!

— Przykro mi, że nie mogłem pana uratować wcześniej. Jednak sam pan rozumie, jak ważne było, aby zaczekać, aż zbiorą się wszyscy przywódcy.

— Chce pan powiedzieć — wypalił Stormgren — że przez cały czas wiedział pan, gdzie jestem? Gdybym domyślił się, że…

— Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków — odparł Karellen. — Albo przynajmniej niech mi pan pozwoli skończyć wyjaśnienia.

— Doskonale — powiedział Stormgren. — Słucham.

Zaczynał podejrzewać, że był po prostu przynętą w starannie przygotowanej pułapce.

— Miałem coś, być może najlepszym określeniem byłoby „urządzenie śledzące", które od pewnego czasu obserwowało pana — zaczął Karellen. — Pańscy najnowsi przyjaciele mieli rację, sądząc, że nie mogę śledzić pana pod ziemią. Przesiadka w tunelu była bardzo pomysłowa, ale kiedy pierwszy samochód przestał nadawać sygnał, ujawnił w ten sposób cały plan i wkrótce ponownie pana odnalazłem. Potem wystarczyło jedynie poczekać. Wiedziałem, że przywódcy przybędą tutaj, kiedy upewnią się, że zgubiłem ślad, a wtedy będę mógł przyłapać ich wszystkich.

— Przecież zamierza ich pan wypuścić!

— Aż do tej pory — powiedział Karellen — nie miałem pojęcia, którzy z dwu i pół miliarda ludzi zamieszkujących tę planetę są przywódcami ruchu. Teraz ich zidentyfikowałem i mogę śledzić ich poruszenia dokądkolwiek się udadzą, a jeśli zechcę, mogę też śledzić wszystkie ich działania. To dużo lepsze niż wzięcie ich pod klucz. Jeśli wykonają jakiekolwiek posunięcie, zdradzą w ten sposób swoich towarzyszy. Są skutecznie unieszkodliwieni i zdają sobie z tego sprawę. Pańska ucieczka pozostanie dla nich całkowicie nie wyjaśniona, ponieważ pan w pewnym momencie po prostu zniknął. — W małej kabinie rozległ się serdeczny śmiech Kontrolera. — Ta sprawa była na swój sposób bardzo zabawna, lecz mam w tym i poważniejszy cel. Nie chodzi mi o kilka tuzinów ludzi należących do tej organizacji, muszę przewidzieć efekt psychologiczny, jaki to wydarzenie będzie miało na inne takie grupy, gdziekolwiek istnieją.

Stonngren przez chwilę milczał. Wyjaśnienie Karellena nie usatysfakcjonowało go w pełni, ale był już w stanie zrozumieć jego pobudki i gniew częściowo mu przeszedł.

— Niechętnie podejmuję tę decyzję na kilka tygodni przed końcem urzędowania — rzekł wreszcie — ale od tej pory będę miał obstawę. Następnym razem mogą porwać Pietera. A przy okazji: jak on sobie radził?

— W ciągu ostatniego tygodnia pilnie go obserwowałem i celowo unikałem udzielania mu pomocy. W sumie sprawił się nie najgorzej, ale nie jest to człowiek, który powinien zająć pańskie miejsce.

— Ma chłop szczęście — powiedział Stormgren, czując jakiś dziwny smutek. — Ale, ale: czy dostał pan już wiadomość od pańskich przełożonych, myślę o ukazaniu się nam? Jestem pewien, że to najsilniejszy argument, jaki dajemy w ręce naszym przeciwnikom. Bez przerwy mi powtarzali: „Nie zaufamy Zwierzchnikom dopóty, dopóki ich nie zobaczymy".

Karellen westchnął.

— Nie, nie otrzymałem żadnej wiadomości. Jednak wiem, jaka będzie odpowiedź.

Stormgren nie nalegał. Kiedyś pewnie by tak zrobił, ale teraz po raz pierwszy w jego umyśle zaczął się rysować niewyraźny jeszcze plan. Przyszły mu na myśl słowa niedawnych rozmówców. Tak, może uda się wymyśleć jakiś przyrząd.

Tego, czego nie chciał zrobić pod przymusem, mógł podjąć się dobrowolnie.

Jeszcze kilka dni wcześniej Rikki nawet nie pomyślałby, że może poważnie zastanawiać się nad podjęciem takiej akcji. To śmieszne i melodramatyczne porwanie, z perspektywy wydarzeń wyglądające jak żywcem wzięte z trzeciorzędnego telewizyjnego dreszczowca, miało chyba spory wpływ na jego nowe podejście do sprawy.

Stormgren po raz pierwszy w życiu zetknął się z bezpośrednim aktem przemocy, tak różnym od potyczek staczanych przy stole konferencyjnym. Ten wirus dostał się do jego układu krążenia albo po prostu szybciej niż myślał, popadał w starcze zdziecinnienie.

Paląca ciekawość jest potężnym motywem działania, podobnie jak chęć odegrania się za spłatany figiel. Nie ulegało wątpliwości, że Kontroler użył go jako przynęty i pomimo iż niewątpliwie uczynił to z ważnych powodów, Stormgren nie zamierzał puścić mu tego płazem.

Pierre Duval nie okazał zdziwienia, kiedy Stormgren bez zapowiedzi wszedł do jego biura. Byli starymi przyjaciółmi i nie było niczego dziwnego w tym, że sekretarz generalny składał prywatną wizytę dyrektorowi Wydziału Naukowego. Z pewnością i Karellen nie uzna tego za niezwykłe, nawet jeśli przypadkowo on sam lub któryś z jego podwładnych skieruje na nich swoje urządzenia śledzące.

Przez chwilę obaj mówili o interesach i wymieniali najnowsze ploteczki polityczne; potem, z pewnym wahaniem, Stormgren przeszedł do sedna sprawy. Podczas gdy gość mówił, stary Francuz oparł się wygodnie w swoim fotelu, a jego brwi unosiły się stopniowo, aż niemal utonęły w gęstej grzywce na czole. Raz czy dwa chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

Kiedy Stormgren skończył, naukowiec nerwowo rozejrzał się po pokoju.

— Sądzisz, że nas teraz słucha? — zapytał.

— Nie wierzę, żeby to robił. Ma coś, co nazywa „urządzeniem śledzącym" i co jest nastawione na mnie, ale służy wyłącznie do mojej ochrony. Jednak urządzenie nie działa pod ziemią i to jest powód, dla którego wlazłem do twojego lochu. Ma być zabezpieczony przed wszelkimi rodzajami promieniowania, prawda? Karellen nie jest czarodziejem. Wie, gdzie się znajduję, ale to wszystko.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Jednak niezależnie od tego, czy nie będziemy mieli kłopotów, gdy on odkryje, co chcesz zrobić? Ponieważ on to odkryje, wiesz.

— Zaryzykuję. Ponadto my, to znaczy ja i on, nie najgorzej się rozumiemy.

Fizyk bawił się ołówkiem i przez chwilę patrzył w przestrzeń.

— To bardzo interesujący pomysł. Podoba mi się — powiedział po prostu.

Sięgnął do szuflady i wyjął wielki blok rysunkowy, niewątpliwie największy, jaki Stormgren widział w swoim życiu.

— No dobrze — zaczął, gryzmoląc wściekle coś, co wskazywało, iż zastosował swoistą, wymyśloną na prywatny użytek stenografię. — Pozwól, że się upewnię, iż znam wszystkie fakty. Opowiedz mi dokładnie, o pomieszczeniu, w którym odbywają się spotkania. Nie opuszczaj żadnego szczegółu, choćby wydawał ci się nie wiem jak banalny.

— Nie ma zbyt wiele do opisywania. Ściany są wykonane z metalu, pomieszczenie jest prostopadłościanem o kwadratowej podstawie, boku długości ośmiu metrów i wysokości czterech. W jednej z bocznych ścian na wysokości metra znajduje się ekran, a tuż pod nim pulpit… Czekaj, będzie szybciej, jeśli ci to narysuję.

Stormgren szybko naszkicował rozkład małego pomieszczenia, które znał tak dobrze, i podał rysunek Duvalowi. Robiąc to, wzdrygnął się lekko, przypomniawszy sobie, w jakich okolicznościach czynił to poprzednio. Pomyślał, że chciałby wiedzieć, co stało się ze ślepym Walijczykiem i jego towarzyszami, a także jak zareagowali na jego nagłe zniknięcie.

Francuz, marszcząc brwi, studiował rysunek.

— I to już wszystko?

— Owszem.

Duval parsknął z niezadowoleniem:

— A oświetlenie? Czy może siedzisz po ciemku? Co z wentylacją, ogrzewaniem?

Stormgren uśmiechnął się w odpowiedzi na ten charakterystyczny wybuch niezadowolenia.

— Cały sufit lekko świeci, a powietrze, o ile mogę stwierdzić, dochodzi przez siatkę głośnika. Nie wiem, gdzie jest kanał wentylacyjny, może strumień chwilami zmienia kierunek, ale nie zwróciłem na to uwagi. Nie ma tam śladu żadnego grzejnika, ale zawsze jest normalna temperatura.

— Co oznacza, jak sądzę, że zamarza para wodna, ale nie dwutlenek węgla?

Stormgren zrobił co mógł, żeby odpowiedzieć uśmiechem na ten mocno już wyświechtany żart.

— Sądzę, że powiedziałem ci wszystko. Natomiast co do maszyny, która zawozi mnie na pokład statku Karellena, kabina, w której lecę, jest tak pozbawiona indywidualności jak budka dźwigu lub windy. Gdyby nie stolik i kanapka mogłaby być jednym lub drugim.

Zapadło kilkuminutowe milczenie, w czasie którego fizyk pokrywał kartkę precyzyjnymi, mikroskopijnymi zygzakami. Obserwujący to Stormgren zastanawiał się, dlaczego człowiek taki jak Duval, o umyśle nieporównanie bystrzejszym niż jego własny, nie zdobył wielkiego uznania w świecie nauki. Przypomniał sobie nieuprzejmą i chyba niesprawiedliwą uwagę wygłoszoną przez znajomego pracującego w Departamencie Stanu USA: „Francja to ojczyzna najlepszych na świecie graczy drugoligowych". Duval był typem człowieka, który swoim istnieniem potwierdzał słuszność tego stwierdzenia.

Fizyk pokiwał głową, z zadowoleniem pochylił się do przodu i wymierzył ołówek w Stormgrena.

— Rikki — powiedział — dlaczego sądzisz, że ten, jak go nazywasz, ekran wizyjny Karellena jest tym, na co wygląda?

— Zawsze myślałem, że tak jest; wygląda dokładnie tak samo. Zresztą czymże innym mógłby być?

— Kiedy mówisz, że wygląda jak ekran telewizyjny, to masz na myśli, że wygląda jak jeden z naszych, prawda?

— Oczywiście.

— Uważam, że to podejrzane. Jestem pewien, że żaden aparat ich konstrukcji nie miałby w sobie niczego tak prymitywnego jak nasz współczesny ekran telewizyjny, prawdopodobnie generują obrazy wprost w przestrzeni. Tylko po co Karellen miałby utrudniać sobie życie, stosując wewnętrzny system telewizji? Czy nie wydaje ci się

dużo bardziej prawdopodobne, że twój „ekran wizyjny” w rzeczywistości jest po prostu płytą szkła jednostronnie przepuszczającego światło?

Stormgren zbaraniał tak kompletnie, że przez chwilę siedział w milczeniu, wracając myślą w przeszłość. Od początku nie kwestionował niczego, co mówił Karellen, lecz gdy teraz przemyślał to sobie dokładnie, doszedł do wniosku, że Kontroler nigdy nie mówił mu, że jest to ekran telewizyjny. Uznał to za pewnik: dał się nabrać na to mistrzowskie zagranie psychologiczne. Zakładając, rzecz jasna, że teoria Duvala była prawdziwa. Znowu wyciągał pochopne wnioski; nikt jeszcze niczego nie udowodnił.

— Jeżeli masz rację — powiedział — to wystarczy, że zbiję szkło i… Duval westchnął.

— Och, ci ignoranci! Myślisz, że zrobiono to z materiału, który można rozbić, nie używając środków wybuchowych? A gdyby nawet ci się udało; czy sądzisz, że Karellen oddycha tym samym powietrzem co ty? Czyż byłoby wam obu przyjemnie, gdyby na przykład pławił się w atmosferze chloru?

Stormgren poczuł się trochę głupio. Sam powinien o tym pomyśleć.

— No dobrze, a co ty proponujesz? — zapytał nieco poirytowany.

— Muszę to przemyśleć. Przede wszystkim musimy sprawdzić, czy moja teoria jest prawdziwa, a jeśli tak, to dowiedzieć się czegoś o substancji, z jakiej zrobiony jest ekran. Posadzę do tego paru pracowników. Ale, ale, przypuszczam, że kiedy odwiedzasz Kontrolera, masz ze sobą małą walizeczkę lub dyplomatkę. Czy to ta, którą tu przyniosłeś?

— Tak.

— Powinna wystarczyć. Nie chcemy wzbudzać podejrzeń, zamieniając ją na inną, szczególnie jeśli Karellen już do niej przywykł.

— Co według ciebie powinienem zrobić? — zapytał Rikki. — Przenieść ukryty w dyplomatce aparat Roentgena?

Fizyk uśmiechnął się szeroko.

— Jeszcze nie wiem, ale coś się wymyśli. Powiem ci w przeddzień akcji. — Parsknął cichym śmiechem. — Czy wiesz, co mi to przypomina?

— Wiem — odparł natychmiast Stormgren. — Czasy, gdy składałeś nielegalnie odbiorniki radiowe podczas niemieckiej okupacji.

Duval miał rozczarowaną minę.

— No tak. pewnie już ci kiedyś o tym opowiadałem. Jeszcze jedno…

— O co chodzi?

— Kiedy cię złapią, ja o niczym nie wiem.

— Co takiego? Po tej płomiennej przemowie, jaką kiedyś

wygłosiłeś na temat społecznej odpowiedzialności naukowca za swoje wynalazki? Doprawdy, Pierre, wstyd mi za ciebie!

Stormgren z westchnieniem ulgi odłożył gruby plik maszynopisu.

— Dzięki Bogu, że przynajmniej to zostało już załatwione — powiedział. — Dość zaskakująca jest myśl, że te kilkaset stron określa przyszłość ludzkości. Państwo Światowe! Nigdy się nie spodziewałem, że tego doczekam!

Włożył akta do walizeczki, której tylna ścianka znajdowała się w odległości nie większej niż dziesięć centymetrów od ciemnego prostokąta ekranu. Od czasu do czasu nerwowo bawił się zatrzaskiem dyplomatki, lecz nie miał zamiaru naciskać ukrytego wyłącznika przed zakończeniem spotkania. Zawsze coś mogło pójść nie tak i choć Duval zaklinał się. że Karellen niczego nie zauważy, nie można być tego zupełnie pewnym.

— Cóż, mówił pan, że ma dla mnie jakieś nowiny — kontynuował, z trudem ukrywając zainteresowanie. — Czy dotyczą one…

— Tak — odparł Kontroler. — Kilka godzin temu otrzymałem decyzję.

„Co właściwie miał na myśli — zastanawiał się Stormgren. — Z pewnością nie mógł nawiązać łączności z odległą ojczyzną poprzez dzielące go od niej setki świetlnych lat. A może, taka była teoria van Ryberga, po prostu konsultował się z komputerem o odpowiednio dużej mocy obliczeniowej mogącym modelować skutki każdej podjętej decyzji”.

— Nie sądzę — ciągnął Karellen — aby Liga Wolności i jej zwolennicy poczuli się usatysfakcjonowani, ale powinno to pomóc złagodzić napięcie. Nawiasem mówiąc, ta rozmowa nie zostanie nagrana. Często mi pan powtarzał, Rikki, że niezależnie od tego jak bardzo różnimy się od was fizycznie, ludzie szybko do nas przywykną. Świadczy to o pewnym braku wyobraźni z pańskiej strony. Tak mogłoby się stać w pańskim przypadku, lecz proszę pamiętać, że według wszelkich rozsądnych ocen większość ludzi jest słabo wykształcona, skłonna do uprzedzeń i przesądów mogących sprawiać nam kłopoty jeszcze przez kilka następnych dziesięcioleci. Przyzna pan, że ludzka psychika nie jest nam obca. Niemal na pewno wiemy, co się stanie, jeśli w obecnej chwili wyjawimy prawdę o nas. Nie chcę się wdawać w szczegóły nawet z panem, zatem proszę zaufać mojej analizie. Jednak możemy złożyć pewną ostateczną obietnicę, która powinna was częściowo zadowolić. Za pięćdziesiąt lat, dwa pokolenia od chwili obecnej, wyjdziemy z naszych statków i ludzkość wreszcie zobaczy, jacy jesteśmy.

Stormgren milczał przez chwilę, rozważając słowa Kontrolera. Nie odczuwał satysfakcji, jaką w innej sytuacji dałoby mu to oświadczenie.

Prawdę mówiąc, ten częściowy sukces nieco zbił go z tropu i przez chwilę osłabił jego zdecydowanie. Po pewnym czasie prawda objawi się sama; jego knowania były niepotrzebne, a może i nierozsądne. Jeśli zechce zrealizować swój plan, to wyłącznik z egoistycznych pobudek, bo za pięćdziesiąt lat nie będzie go wśród żywych.

Karellen musiał zauważyć jego wahanie, ponieważ mówił dalej:

— Przykro mi, jeśli czuje się pan rozczarowany, ale przecież niebawem nie będzie pan już odpowiedzialny za rozwiązywanie politycznych problemów. Może uzna pan nasze obawy za bezpodstawne, ale proszę mi wierzyć, mamy przekonujące dowody na to, że inny sposób rozwiązania tego problemu rodzi poważne niebezpieczeństwo.

Stormgren gwałtownie pochylił się do przodu i zakrztusił się z wrażenia.

— A więc spotkaliście się już z Człowiekiem!

— Tego nie powiedziałem — szybko odparł Karellen. — Wasz świat nie jest jedyną planetą, którą kierujemy.

Jednak Stormgren nie zamierzał dać się tak łatwo spławić.

— Wiele naszych legend sugeruje, że Ziemię odwiedzali niegdyś przedstawiciele obcych ras.

— Wiem o tym. Czytałem raport Sekcji Astroarcheologicznej. Robią z Ziemi ruchliwe skrzyżowanie.

— Mogły mieć miejsce wizyty, o których nic nie wiecie — rzekł Stormgren, wciąż mając nadzieję, że przyłapie Karellena. — Chociaż jeśli obserwujecie nas od tysięcy lat, to myślę, że szansę na to są niewielkie.

— Przypuszczam, że ma pan rację — odparł Karellen swoim najbardziej urzędowym tonem. I właśnie w tym momencie Fin podjął decyzję.

— Naszkicuję plan tego oświadczenia — powiedział szybko — i przyślę panu do zaaprobowania. Jednak zastrzegam sobie prawo dalszego dokuczania panu i jeśli nadarzy się okazja, aby poznać waszą tajemnicę, skorzystam z niej bez wahania.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — odparł Kontroler z cichutkim chichotem.

— I nie ma pan nic przeciwko temu?

— Ani trochę, choć wykluczam możliwość użycia broni nuklearnej, gazów trujących lub czegokolwiek, co mogłoby narazić na szwank naszą przyjaźń.

— Miło mi to słyszeć — odrzekł Stormgren najobojętniejszym tonem, na jaki zdołał się zdobyć. Wstał, zamykając walizeczkę. Dotknął kciukiem zamka.

— Zaraz po powrocie napiszę oświadczenie — powtórzył — i jeszcze dzisiaj przyślę go panu dalekopisem.

To mówiąc, nacisnął guzik — i dowiedział się, że jego obawy były bezpodstawne. Zmysły Kontrolera nie były subtelniejsze od ludzkich. Karellen niczego nie zauważył, gdyż w jego głosie nie zaszła żadna zmiana, gdy żegnał się z sekretarzem i wypowiadał znajome hasło otwierające drzwi.

A jednak Stormgren czul się jak złodziejaszek opuszczający sklep na oczach detektywa i odetchnął z ulgą, kiedy zasklepiła się za nim ściana latającego pojazdu.

— Przyznaję — powiedział van Ryberg — że niektóre z moich pomysłów nie były najszczęśliwsze. Jednak proszę powiedzieć, co pan sądzi o następującej teorii…

— Naprawdę muszę? — westchnął Stormgren. Pięter udał, że nie słyszy.

— Właściwie to nie mój pomysł — rzekł skromnie. — Zapożyczyłem go od Chestertona. Załóżmy, że Zwierzchnicy ukrywają fakt, że nie mają nic do ukrycia?

— To dla mnie trochę zbyt skomplikowane — odparł Stormgren, zdradzając mimowolnie zainteresowanie.

— Chcę przez to powiedzieć — mówił pospiesznie van Ryberg — że sądzę, iż oni są ludźmi takimi jak my. Wiedzą doskonale, że zgodzilibyśmy się, aby rządziły nami stworzenia, które uważamy za… no, powiedzmy, obce i superinteligentne. Lecz rasa ludzka taka jaka jest, po prostu nie pozwoli, aby kierowały nią stworzenia tego samego gatunku.

— To bardzo pomysłowe, zresztą jak wszystkie pańskie teorie — powiedział sekretarz. — Chciałbym, aby je pan numerował, inaczej się w nich pogubię. Zaś co do argumentów obalających tę ostatnią…

Urwał, bowiem właśnie w tej chwili do pokoju wszedł Wainwright.

Rikki zastanawiał się, o co mu chodzi. Ciekaw też był, czy Wainwright skontaktował się z porywaczami. Wątpił w to, ponieważ wierzył, że przywódca Ligi Wolności szczerze wypowiadał się przeciw stosowaniu przemocy. Ekstremiści w jego ruchu zdyskredytowali się swoim wyczynem i minie sporo czasu, zanim świat znów o nich usłyszy.

Wałnwright uważnie wysłuchał treści odczytanego mu oświadczenia. Stormgren miał nadzieję, że były pastor doceni ten gest, którego pomysłodawcą był Karellen. Upłynie jeszcze dwanaście godzin, nim świat dowie się o obietnicy, której spełnienia doczekają dopiero ich wnuki.

— Pięćdziesiąt lat — powiedział z namysłem Wainwright. — To długie oczekiwanie.

— Może dla ludzkości, ale nie dla Karellena — odparł Stormgren. Dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę z zalet tego rozwiązania.

Dawało Zwierzchnikom potrzebne im pole manewru i usuwało grunt spod nóg Ligi Wolności. Nie wyobrażał sobie, by ta organizacja skapitulowała, lecz jej pozycja zostanie poważnie osłabiona. Wainwright musiał zdawać sobie z tego sprawę.

— Za pięćdziesiąt lat — powiedział gniewnie — szkód nie da się już naprawić. Ci, którzy pamiętają dni niepodległości, będą już w grobach; ludzkość zapomni o swoim dziedzictwie.

„Słowa, puste słowa — pomyślał Stormgren. — Słowa, za które ludzie niegdyś walczyli i umierali, za które już nikt nigdy nie będzie walczył i umierał. A świat będzie przez to lepszy".

Patrząc na odchodzącego Wainwrighta, zastanawiał się, ile kłopotów sprawi jeszcze w nadchodzących latach Liga Wolności. „Jednak to już nie moja sprawa" — pocieszył się w duchu.

Pewne problemy mógł rozwiązać tylko czas. Można pokonać złych, ale nic nie można zdziałać przeciw działającym w dobrej wierze, błądzącym dobrym ludziom.

— Masz swoją walizeczkę — powiedział Duval. — Jest prawie nie naruszona.

— Dziękuję — odrzekł Stormgren, dokładnie ją oglądając. — Może powiesz mi teraz, o co chodzi i co zamierzamy zrobić?

Fizyk wydawał się pogrążony we własnych myślach.

— Jedno, czego nie mogę zrozumieć, to łatwości, z jaką udało się tego dokonać. Gdybym to ja był Kar…

— Ale nie jesteś! Do rzeczy, człowieku! Co odkryliśmy?

— Nie ma to jak ci nerwowi, pełni temperamentu nordycy — westchnął Duval. — Umieściliśmy w walizeczce rodzaj radaru o małej mocy. Oprócz fal radiowych o bardzo wysokiej częstotliwości posłużyliśmy się również podczerwienią… To znaczy falami, których żadne żywe stworzenie nie może dostrzec, niezależnie od tego, jak czuły ma narząd wzroku.

— Skąd możesz mieć taką pewność? — spytał Stormgren, mimo woli coraz bardziej zaintrygowany techniczną stroną problemu.

— No, całkowitej pewności nie można mieć nigdy — niechętnie przyznał Duval. — Ale przecież Karellen spotyka się z tobą w pokoju oświetlonym zupełnie normalnie, prawda? To dowodzi, że jego oczy reagują na podobny do naszego zakres promieniowania. Tak czy owak, udało się. Stwierdziliśmy, że za.tym twoim ekranem znajduje się duże pomieszczenie. Sam ekran ma mniej więcej trzy centymetry grubości, a dalej jest dziesięć metrów pustej przestrzeni. Nie zarejestrowaliśmy żadnego odbicia od ściany, choć, z drugiej strony, trudno tego oczekiwać, stosując nadajniczek małej mocy, bo tylko takim ośmieliliśmy się posłużyć. A jednak coś udało się ustalić.

Podsunął Stormgrenowi arkusz papieru fotograficznego z nakreśloną na nim falistą linią. W jednym miejscu widoczny był pik,

niczym sejsmograficzny zapis trzęsienia ziemi średniej mocy.

— Widzisz ten mały pik?

— Tak. A co to takiego?

— Karellen.

— Wielki Boże! Jesteś pewien?

— Niewiele ryzykujemy, zakładając, że tak jest. Siedzi, stoi, czy cokolwiek robi tam, dwa metry — po drugiej stronie ekranu. Gdyby urządzenie miało nieco lepszą rozdzielczość, moglibyśmy nawet oszacować jego wzrost.

Stormgren z mieszanymi uczuciami patrzył na niewyraźny wykres. Dotychczas nie było dowodu, że Karellen w ogóle posiadał fizyczną postać. Nadal nie był to niepodważalny dowód, ale Fin przyjął go bez zastrzeżeń.

— Następna rzecz, jaką musieliśmy zrobić — powiedział Duval — to ocena przenikliwości ekranu wobec zwykłego światła. Sądzimy, że mamy o tym pewne pojęcie: zresztą, nawet jeśli pomylimy się o rząd wielkości, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Oczywiście wiesz, że nie ma czegoś takiego jak jednostronnie przezroczyste szkło. To po prostu kwestia odpowiedniego oświetlenia pomieszczeń. Karellen siedzi w zaciemnionym pokoju, a ty w jasnym, to wszystko. — Zachichotał. — No i dobrze, zmienimy ten stan rzeczy.

Z miną magika wyczarowującego z cylindra całe stadko królików, sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął dużą latarkę. Jej reflektor rozszerzał się w szeroką paszczę, upodabniając ją trochę do garłacza. Duval uśmiechnął się z zadowoleniem.

— To nie jest takie groźne, jak się wydaje. Musisz tylko przycisnąć reflektor do ekranu i nacisnąć przycisk. Daje silny strumień światła przez około dziesięć sekund, co wystarczy, abyś zdążył oświetlić całe pomieszczenie i dobrze się wszystkiemu przyjrzeć. Światło przejdzie przez ekran i pięknie oświetli twojego przyjaciela.

— A czy to mu nie zaszkodzi?

— Nie, jeśli najpierw wycelujesz nisko, a dopiero potem w górę. To da mu czas na zaadaptowanie wzroku, bo przypuszczam, że jego reakcje są podobne do naszych, a nie chcemy go przecież oślepić.

Stormgren z powątpiewaniem popatrzył na przyrząd i zważył go w ręce. Przez kilka ostatnich tygodni gryzło go sumienie. Karellen zawsze traktował go z nie skrywaną sympatią, chociaż czasem bywał brutalnie szczery i teraz, kiedy ich spotkania zbliżały się ku końcowi, Fin nie chciał zrobić czegoś, co popsułoby te stosunki. Jednak, z drugiej strony, ostrzegł Kontrolera i był przekonany, że gdyby decyzja zależała od Karellena, ten już dawno pokazałby się ludziom. Teraz on podejmował decyzję: pod koniec spotkania Stormgren ujrzy twarz Karellena.

Jeśli Zwierzchnik ma jakąś twarz.

Zdenerwowanie, jakie początkowo odczuwał, dawno już minęło. Prawie cały czas mówił Karellen, posługując się długimi zawiłymi zdaniami, jakich czasem lubił używać. Kiedyś Stormgren uważał to za jeden z najbardziej niezwykłych, a na pewno najmniej oczekiwany talent Karellena. Teraz ten dar już go tak nie dziwił, gdyż wiedział, że — jak większość umiejętności Kontrolera — wynikał z niezwykłej siły jego umysłu, a nie z jakichś nadzwyczajnych wrodzonych zdolności.

Po prostu, kiedy zwalniał tempo swoich myśli, dostosowując je do szybkości ludzkiej mowy, miał czas na układanie dowolnie skomplikowanych płodów literackich.

— Nie ma potrzeby, aby pan lub pafiski następca przejmowali się zbytnio Ligą Wolności, nawet kiedy jej członkowie odzyskają utracony ostatnio wigor. Zachowują się spokojnie, przynajmniej w ciągu ostatniego miesiąca, i nawet jeśli w przyszłości znów się zaktywizują, nie nastąpi to wcześniej niż za kilka lat. Doprawdy, Liga to bardzo pożyteczna instytucja, ponieważ dobrze jest, gdy się zawsze wie, co zamierza przeciwnik. Gdyby kiedykolwiek popadła w długi, byłbym chyba zmuszony ją dofinansowywać.

Stormgren często nie wiedział, kiedy Karellen żartuje. Zachował obojętny wyraz twarzy i słuchał dalej.

— Niebawem Liga utraci kolejny argument. Często krytykowano, i to w dziecinny sposób, ten szczególny urząd, jaki pełnił pan przez ostatnie kilka lat. Początkowo, kiedy rozpoczynałem swoją misję, było to dla mnie bardzo wygodne, ale teraz, kiedy wszystko przebiega zgodnie z planem, można położyć temu kres. W przyszłości mój wpływ na sprawy ziemskie nie będzie tak bezpośredni i biuro sekretarza generalnego ONZ może będzie bardziej przypominało to, czym było niegdyś. W ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat zdarzy się wiele kryzysów, ale wszystkie przeminą. Przyszłość rysuje się dość jasno i pewnego dnia wszystkie te trudności zostaną zapomniane, nawet przez rasę, której wspomnienia sięgają tak głęboko w przeszłość jak wasze.

Ostatnie słowa wypowiedział z tak szczególną intonacją, że Stormgren zesztywniał w fotelu. Karellen z całą pewnością zawsze mówił dokładnie to, co chciał powiedzieć i nawet jego przejęzyczenia były wyliczone z precyzją rzędu dziesięciu miejsc po przecinku. Jednak nie miał czasu na zadawanie pytań, na które pewnie i tak nie otrzymałby odpowiedzi, bowiem Kontroler ponownie zmienił temat.

— Często pytał mnie pan o moje dalekosiężne plany — mówił dalej. — Narodziny Państwa Światowego to oczywiście tylko pierwszy etap. Dożyje pan dnia, w którym ujrzy je pan jako twór w pełni rozwinięty, choć zmiany te będą tak niedostrzegalne, że niewielu ludzi zauważy zakończenie procesu rozwoju. Potem nastąpi długi okres powolnej stabilizacji, podczas którego pańska rasa zostanie

przygotowana do spotkania z nami. I wtedy nadejdzie dzień, który obiecaliśmy. Przykro mi, że wówczas nie będzie pana wśród nas.

Stormgren miał otwarte oczy, ale wzrok utkwiony daleko poza taflą ciemnego ekranu. Patrzył w przyszłość, wyobrażając sobie dzień, którego nigdy nie doczeka, dzień, gdy wielkie statki Zwierzchników wylądują wreszcie na Ziemi i otworzą się dla czekającego na nie świata.

— W tym dniu — kontynuował Karellen — rasa ludzka doświadczy czegoś, co można określić mianem nieciągłości. Jednak nie dozna przez to żadnej szkody i od tej pory ludzie będą bardziej stabilni emocjonalnie niż ich przodkowie. Staniemy się częścią ich życia i kiedy spotkają się z nami, nie będą nas uważali za tak dziwnych, jak bylibyśmy dla was.

Nigdy dotychczas Stormgren nie natrafił na tak refleksyjny nastrój u Karellena, ale nie dziwiło go to. Nie wierzył, aby zdołał poznać więcej niż kilka z licznych osobowości Kontrolera; prawdziwy Karellen pozostawał nieznany i, być może, nierozpoznawalny dla ludzkich istot. Po raz pierwszy miał wrażenie, że prawdziwe zainteresowania Zwierzchnika skupiały się gdzie indziej, a Ziemią władał jedynie cząstką swego umysłu, z łatwością mistrza trójwymiarowych szachów grającego w warcaby.

— A co potem? — zapytał łagodnie.

— Wtedy rozpoczniemy naszą prawdziwą misję.

— Często zastanawiałem się, na czym ona ma polegać. Jednoczenie i cywilizowanie naszego świata jest zaledwie środkiem; musicie przecież mieć jakiś cel. Czy kiedyś będziemy mogli wybrać się w Kosmos i zobaczyć wasz świat, może nawet pomóc wam w waszych wysiłkach?

— Można to tak ująć — odparł Karellen i w jego głosie dał się słyszeć wyraźny, choć niewytłumaczalny smutek, który dziwnie poruszył Stormgrena.

— Jednak przypuśćmy, że mimo wszystko wasz eksperyment z Człowiekiem nie powiedzie się? Takie przypadki miały miejsce na Ziemi, gdy bardziej rozwinięte cywilizacje nawiązywały kontakt z prymitywniejszymi.

— To prawda — powiedział Karellen tak cicho, że Stormgren ledwie go usłyszał. — I my mieliśmy swoje niepowodzenia.

— I co wtedy robicie?

— Czekamy i próbujemy ponownie.

Nastąpiła kilkusekundowa chwila milczenia. Kiedy Karellen znów przemówił, jego słowa były tak nieoczekiwane, że Stormgren nie od razu zareagował.

— Żegnaj, Rikki!

Karellen przechytrzył go, zapewne było już za późno. Paraliż

Stormgrena trwał tylko moment. Jednym szybkim, wyćwiczonym ruchem wydobył latarkę i przycisną] ją do szkła.

Sosny schodziły niemal do samego jeziora, pozostawiając tylko wąski, kilkukłlometrowy pas trawy wzdłuż brzegu. Każdego wieczora, jeśli tylko było dość ciepło, Stormgren, nie zważając na swoje dziewięćdziesiąt lat, szedł tamtędy aż na molo, spoglądał na odbijające się w wodzie ostatnie promienie zachodzącego słońca i wracał do domu, zanim znad puszczy nadleciały podmuchy chłodniejszego wiatru. Ten prosty, codzienny rytuał dawał mu wiele satysfakcji i postanowił podtrzymywać go dopóki siły mu na to pozwolą.

Daleko nad jeziorem ukazał się jakiś obiekt, lecąc nisko i szybko. Samoloty pojawiały się w tych okolicach dość rzadko, jeśli nie liczyć rejsowych olbrzymów niemal co godzinę przelatujących nad biegunem. Jednak oprócz sporadycznych smug kondensacyjnych przecinających stratosferę cienkimi krechami bieli, żaden inny ślad nie zdradzał ich istnienia. Natomiast ta maszyna była małym helikopterem zdecydowanie zmierzającym w kierunku mola. Stormgren rozejrzał się wokół i stwierdził, że nie zdoła uniknąć spotkania. Wzruszył ramionami i usiadł na drewnianej ławce na końcu pomostu.

Dziennikarz zwracał się do niego z takim szacunkiem, że ogromnie go to zdziwiło. Zdążył już zapomnieć, że był nie tylko politykiem na emeryturze, ale postacią wręcz legendarną i znaną daleko poza granicami swego kraju.

— Panie Stormgren — zaczął natręt. — Gorąco przepraszam, że ośmieliłem się pana niepokoić, ale zastanawiam się, czy nie zechciałby pan skomentować czegoś, co właśnie usłyszeliśmy o Zwierzchnikach.

Stormgren zmarszczył brwi. Mimo upływu lat nadal podzielał niechęć, jaką Karellen żywił do tego słowa.

— Nie sądzę — powiedział — abym mógł wiele dodać do tego, co zostało już powiedziane.

Dziennikarz przyglądał mu się z dziwnym zainteresowaniem.

— Pomyślałem sobie, że jednak mógłby pan. Właśnie niedawno usłyszeliśmy pewną dziwną historię. Wygląda na to, że blisko trzydzieści lat temu jeden z techników Wydziału Naukowego wykonał dla pana jakieś dziwne urządzenie. Czy nie mógłby nam pan czegoś o tym powiedzieć?

Stormgren milczał przez chwilę, myślami wędrując w przeszłość. Nie zdziwiło go to, że po trzydziestu latach tajemnica się wydała. Dziwne, że dochowano jej tak długo.

Wstał i zaczął wolno iść pomostem. Reporter szedł o krok za nim.

— Ta historia — zaczął Stormgren — zawiera w sobie ziarno prawdy. Udając się po raz ostatni na statek Karellena, zabrałem ze

sobą pewien aparat i nadzieję, że uda mi się zobaczyć Kontrolera. Popełniłem głupstwo, ale cóż, miałem wtedy zaledwie sześćdziesiąt lat. — Zachichotał do własnych myśli i mówił dalej: — Jednak nie jest to historia, dla jakiej warto byłoby podejmować podróż taką jak pańska. Widzi pan, nic z tego nie wyszło.

— Nic pan nie zobaczył?

— Zupełnie nic. Obawiam się, że będziecie musieli poczekać, ale to w końcu jeszcze tylko dwadzieścia lat!

Tylko dwadzieścia lat. O tak. Karellen mial rację. Wtedy świat będzie już gotowy, a z pewnością nie był taki wówczas, trzydzieści lat temu, kiedy tak samo kłamał Duvalowi.

Karellen zaufał mu i Stormgren nie zawiódł tego zaufania. Jedną z niewielu rzeczy, co do których miał całkowitą pewność, był fakt, że Kontroler od początku znał jego zamiary i przewidział każdy ruch ostatniej rozgrywki.

Czyż można znaleźć inne wyjaśnienie pustki w ogromnym fotelu, gdy padł nań krąg światła? W tej samej chwili Rikki przesunął promień, obawiając się, że jest już za późno. Metalowe drzwi, dwukrotnie wyższe niż dla człowieka, właśnie się zamykały; ruch był szybki, ale nie dość szybki.

Tak, Karellen zaufał mu i nie chciał na resztę życia pozostawić go z nie rozwiązaną tajemnicą. Nie odważył się też okazać nieposłuszeństwa wobec stojących nad nim potęg (czy tamci należeli do tej samej rasy?), ale zrobił dla Stormgrena tyle, ile mógł. Nawet jeśli nie wykonał poleceń, nigdy mu tego nie udowodnią. Stormgren wiedział, że był to ostateczny dowód sympatii, jaką darzył go Karellen. Być może była to sympatia, jaką człowiek darzy inteligentnego, oddanego mu psa, jednak była szczera i niewiele rzeczy w życiu sprawiło Stormgrenowi większą satysfakcję.

I my mieliśmy swoje niepowodzenia.

Tak, Karellenie, to prawda; a więc i wy zawiedliście, nim jeszcze zaczęła się historia ludzi. Musiało to być nie lada niepowodzenie, gdyż jego echa rozbrzmiewały przez wiele wieków i zatruły wczesny etap rozwoju rasy ludzkiej. Czy uda wam się, nawet w ciągu pięćdziesięciu lat, przełamać moc wszystkich mitów i legend tego świata?

A jednak Stormgren wiedział, że drugiego niepowodzenia nie będzie.

Kiedy obie rasy spotkają się ponownie, Zwierzchnicy zdobędą przyjaźń i zaufanie rodzaju ludzkiego, tak że nawet szok rozpoznania nie zniszczy tego dzieła. Razem pójdą w przyszłość i nieznana tragedia, która legła cieniem na przeszłości, na zawsze zginie w mglistych korytarzach prehistorii.

Stormgren wierzył, że gdy Karellen znów będzie mógł chodzić po Ziemi, pewnego dnia odwiedzi te północne puszcze i przystanie nad

grobem pierwszego człowieka, który stał się jego przyjacielem.

ZŁOTY WIEK

— To jest ten dzień — szeptały radioodbiorniki w stu językach.

— To jest ten dzień — głosiły nagłówki tysięcy gazet.

— To jest ten dzień — myśleli kamerzyści zebrani wokół rozległego, pustego placu, na którym miał osiąść statek Karellena.

Pozostał tylko jeden statek, ten wiszący nad Nowym Jorkiem. Tak naprawdę, co świat odkrył dopiero niedawno, statki nad innymi miastami nigdy nie istniały. Poprzedniego dnia wielka flota Zwierzchników rozpłynęła się jak mgła wraz z nadejściem poranka.

Statki dostawcze przybywające i wracające w cęboką przestrzeń były prawdziwe, ale srebrne giganty wiszące od wielu lat nad wszystkimi większymi miastami Ziemi okazały się iluzją. Nikt nie miał pojęcia, jak tego dokonano, lecz okazało się, że każdy z tych statków był jedynie obrazem statku Karellena. Jednak nie było to tylko złudzenie optyczne, ponieważ zmyliło i radar, a żyli jeszcze ludzie, którzy przysięgali, że słyszeli wycie rozdzieranego powietrza wówczas, gdy flota spływała z niebios ku Ziemi.

Cała sprawa nie miała większego znaczenia; liczyło się to, że Karellen nie odczuwał już potrzeby takiej demonstracji siły. Odrzucił swoją broń psychologiczną.

— Statek leci! — Te słowa dotarły natychmiast w najdalsze zakątki planety. — Zmierza na zachód!

Opadając z pustki stratosferycznej wysokości z szybkością tylko trochę mniejszą niż tysiąc kilometrów na godzinę, statek spływał ku wielkim równinom i swemu powtórnemu spotkaniu z historią. Opuścił się posłusznie przed oczekującymi kamerami i tysiącami stłoczonych widzów, z których tylko nieliczni mogli dojrzeć tyle, ile miliony zebrane przed telewizorami.

Ziemia powinna zadrżeć ł popękać pod tym potwornym ciężarem, lecz nieznane siły, które prowadziły go wśród gwiazd, wciąż działały. Statek pocałował grunt tak delikatnie, jak spadający płatek śniegu.

Wygięty bok wznoszący się dwadzieścia metrów nad ziemię zalśnił i zamigotał — i tam, gdzie przed chwilą była gładka, błyszcząca powierzchnia pojawił się wielki otwór. Wewnątrz nawet oczy wszędobylskich kamer nie dostrzegły niczego. Wejście było mroczne i ciemne jak wejście do jaskini.

Z otworu wysunął się szeroki, lśniący trap i opuścił się ku ziemi. Wfyglądał na solidną, metalową płytę z poręczami po obu stronach. Nie miał stopni; był stromy i gładki jak zjeżdżalnia w parku zabaw i zdawało się, że wejście lub zejście po nim musi sprawiać kłopoty.

Cały świat wpatrywał się w mroczny portal, w którym nikt się leszcze nie pojawił. Potem, z ukrytego gdzieś głośnika popłynął rzadko

słyszany, ale niezapomniany głos Karellena. Niewiele rzeczy mogłoby w tym momencie bardziej zaskoczyć ludzi niż to, co powiedział.

— Przy trapie stoi kilkoro dzieci. Chciałbym, aby dwoje z nich weszło na górę i spotkało się ze mną.

Na chwilę zapadła cisza. Potem z tłumu wyszli chłopczyk i dziewczynka ł śmiało ruszyli ku trapowi, i swemu miejscu w historii. Za nimi podążyły inne, ale zatrzymały się, kiedy usłyszały chichot Karellena.

— Dwoje wystarczy.

Z gotowością urodzonych poszukiwaczy przygód, dzieci, oboje nie mające więcej niż sześć lat, weszły na metalową zjeżdżalnię. I wtedy stał się pierwszy cud.

Wesoło machając do zgromadzonych wokół tłumów i rodziców, którzy dopiero teraz przypomnieli sobie legendę o Pstrokatym Kobziarzu, dzieci zaczęły szybko wchodzić po stromym, gładkim zboczu. Nie poruszały nogami i niebawem wszyscy dostrzegli, że ich ciała są pochylone pod kątem prostym do tego niezwykłego trapu. Najwidoczniej miał własną grawitację mogącą znosić działanie ziemskiej. Wciąż ciesząc się tym nowym, nieznanym doznaniem i zastanawiając się, co też ciągnie je do góry, dzieci zniknęły we wnętrzu statku.

Na całym świecie zapadła całkowita cisza trwająca dwadzieścia sekund — choć później nikt nie wierzył, że trwała ona tak krótko. Potem wszystkim wydało się, że ciemny otwór poruszył się i przesunął do przodu, lecz to Karellen wyszedł na światło dnia. Na jego prawym ramieniu siedział chłopczyk, a na lewym dziewczynka. Oboje byli zbyt zajęci skrzydłami Karellena, aby zwracać uwagę na otaczające ich tłumy.

Należy oddać sprawiedliwość psychologii Zwierzchników i długoletnim, starannym przygotowaniom — bardzo niewielu ludzi zemdlało. Jednak na całym świecie mało było i takich, którzy przez jedną krótką chwilę nie poczuli, że ogarnia ich fala atawistycznego lęku, którą rozum natychmiast przegnał na zawsze.

Nie było żadnych wątpliwości. Błoniaste skrzydła, małe rogi, rozwidlony ogon, wszystko na swoim miejscu. Z zamierzchłej przeszłości powróciła najstraszliwsza z legend. I stała uśmiechnięta, w hebanowo-czarnym majestacie, a słońce lśniło na jej ogromnym ciele, gdy dwójka dzieci ufnie spoczywała w jej ramionach.

Pięćdziesiąt lat to wystarczający szmat czasu, aby niemal nie do poznania zmienić świat i ludzi. Potrzeba do tego jedynie głębokiej wiedzy w dziedzinie ofcernetyki społecznej, precyzyjnego określenia celu i siły.

Wszystko to posiadali Zwierzchnicy. Chociaż ich cel pozostawał zagadką, wiedza była bezdyskusyjna; to samo dotyczyło ich siły.

Owa siła przybierała różne formy, a niewiele z nich było zauważane przez ludzi, o których losach decydowali teraz Zwierzchnicy. Jednak moc kryjąca się w ich wielkich statkach była oczywista dla każdego. A przecież oprócz tej milczącej potęgi posiadali również i inne, dużo subtelniejsze rodzaje broni.

— Wszystkie problemy polityczne — powiedział kiedyś Karellen do Stormgrena — można rozwiązać przez właściwe stosowanie siły.

— Ta uwaga brzmi dość cynicznie — z powątpiewaniem odparł sekretarz. — Za bardzo przypomina mi hasło „Siła jest prawem". W naszej przeszłości stosowanie siły najczęściej niczego nie rozwiązywało.

— Kluczowym słowem jest „właściwe". Nigdy nie mieliście prawdziwej siły ani wiedzy potrzebnej, by ją stosować. Do każdego problemu można podejść w sposób odpowiedni lub nieodpowiedni. Załóżmy, na przykład, że jeden z waszych narodów pod przywództwem jakiegoś fanatyka, próbowałby się przeciw mnie zbuntować. Siła kilku miliardów koni mechanicznych w postaci bomby atomowej byłaby wysoce nieodpowiednią reakcją na taką groźbę. Gdybym użył dostatecznej liczby bomb, rozwiązanie byłoby całkowite i ostateczne. Byłoby również, jak już zaznaczyłem, nieodpowiednie; nawet gdyby nie miało ubocznych skutków.

— A rozwiązanie odpowiednie?

— Wymaga zastosowania siły o mocy rzędu małego radionadajnika i podobnej umiejętności posługiwania się nią. Istotny jest bowiem punkt przyłożenia siły, a nie jej wielkość. Jak pan myśli, czy Hitler długo utrzymałby się przy władzy w Niemczech, gdyby wciąż słyszał głos szepczący mu do ucha i towarzyszący mu wszędzie? Albo gdyby jeden jednostajny dźwięk, na tyle głośny, by zagłuszyć inne i uniemożliwić sen, rozlegał się w jego mózgu w dzień i w nocy? Proszę zauważyć, że w tej metodzie nie ma nic specjalnie brutalnego. A jednak w ostatecznym rozrachunku jest ona równie skuteczna jak bomba trytowa.

— Rozumiem — powiedział Stormgren. — I nigdzie nie można się przed tym ukryć?

— Nie ma takiego miejsca, do którego nie mógłbym wysłać moich… hmm, urządzeń, gdyby mi na tym zależało. I właśnie dlatego nie muszę posługiwać się naprawdę drastycznymi metodami, aby wzmocnić swoją pozycję.

Tak więc, wielkie statki nigdy nie były niczym innym jak tylko symbolem siły, a teraz świat dowiedział się, że oprócz jednego wszystkie były fantomami. A jednak samą swoją obecnością zmieniły historię Ziemi. Teraz zadanie zostało wykonane, lecz pozostała pamięć

o ich dokonaniach, która miała rozbrzmiewać echem przez stulecia.

Przewidywania Karellena spełniły się co do joty. Szok szybko minął, choć wielu było takich, którzy szczycili się swoim brakiem przesądów i uprzedzeń, a jednak nie potrafili stanąć twarzą w twarz ze Zwierzchnikiem. Było w tym coś dziwnego, coś nie poddającego się logice i rozumowi. W średniowieczu ludzie wierzyli w diabła i bali się go. Jednakże teraz był już dwudziesty pierwszy wiek; czyżby, mimo wszystko, istniało coś takiego jak pamięć genetyczna czy pamięć całej rasy?

Oczywiście, powszechnie uważano, że Zwierzchnicy lub istoty bardzo do nich podobne popadły niegdyś w gwałtowny konflikt z Człowiekiem. Musiało się to zdarzyć w odległej przeszłości, ponieważ nie pozostawiło śladów w przekazach historycznych. Tkwiła w tym jakaś zagadka, a Karellen wcale nie kwapił się z pomocą przy jej rozwiązywaniu.

Zwierzchnicy, choć teraz już pokazywali się ludziom, rzadko opuszczali jedyny pozostały statek. Być może nie czuli się na Ziemi zbyt dobrze, bo ich rozmiary i posiadanie skrzydeł wskazywały na to, że pochodzili ze świata o dużo niższej grawitacji. Żadnego z nich nigdy nie widziano bez pasa zaopatrzonego w różne skomplikowane urządzenia, które, jak powszechnie uważano, kontrolowały ich ciężar i pozwalały na wzajemne komunikowanie się. Światło słoneczne sprawiało im ból i nigdy nie wystawiali się nań dłużej niż przez kilka sekund. Kiedy musieli pozostawać na otwartej przestrzeni przez dłuższy czas, nosili okulary nadające im dość niezwykły wygląd. Choć wszystko wskazywało na to, że mogą oddychać ziemskim powietrzem, niekiedy nosili ze sobą małe pojemniki z gazem, którym się od czasu do czasu odświeżali.

Może te czysto fizyczne cechy były powodem tego, że trzymali się na uboczu. Tylko nieliczni ludzie spotkali się kiedykolwiek oko w oko ze Zwierzchnikiem i nikt nie miał pojęcia, ilu ich jest na pokładzie statku. Nigdy nie widziano więcej jak pięciu naraz, lecz ten olbrzymi statek mógł pomieścić ich setki, a nawet tysiące.

Z wielu powodów ukazanie się Zwierzchników stworzyło więcej nowych problemów niż rozwiązało starych. Ich ojczyzna pozostawała nadal nieznana, a biologia stała się powodem nie kończących się dyskusji. W wielu sprawach chętnie udzielali informacji, lecz w innych ich zachowanie można było określić jedynie słowem „tajemnicze". Ogólnie rzecz biorąc, irytowali jedynie naukowców. Przeciętny człowiek, choć może wolał nie spotykać się ze Zwierzchnikami, był im wdzięczny za to, co zrobili dla świata.

Według norm z wcześniejszych wieków, nastał teraz czas utopii. Ignorancja, choroby, nędza i strach niema!

przestały już istnieć. Wspomnienie wojny znikało w mroku

przeszłości niczym senny koszmar rozwiewający się o świcie; wkrótce miało odejść na zawsze.

Ukierunkowane twórczo wysiłki całej ludzkości zmieniły oblicze planety. Był to naprawdę nowy świat. Miasta dość dobre dla poprzednich generacji zostały przebudowane albo opuszczone jako nie spełniające swej roli i pozostawione w funkcji skansenów. Ten los spotkał wiele miast, ponieważ całkowicie zmieniła się koncepcja przemysłu i handlu. Produkcja została w większości zautomtyzowana; fabryki-roboty wylewały z siebie dobra konsumpcyjne nie kończącym się strumieniem, zaspokajając wszystkie życiowe potrzeby. Ludzie pracowali, jeśli pragnęli czegoś luksusowego lub nie pracowali w ogóle.

Taki był Zjednoczony Świat. Dawne nazwy państw były jeszcze w użyciu, lecz nie oznaczały nic prócz umownych okręgów pocztowych. Na Ziemi nie było nikogo, kto nie mówiłby po angielsku, nie umiałby czytać, nie posiadałby telewizora i w ciągu dwudziestu czterech godzin nie mógłby się znaleźć po przeciwnej stronie globu.

Zbrodnia praktycznie przestała istnieć. Przestępstwa stały się zarówno niepotrzebne, jak i niemożliwe. Kiedy nikomu niczego nie brakuje, kradzież traci sens. Co więcej, potencjalni przestępcy wiedzieli, że nie uda im się ujść przed karzącą ręką Zwierzchników. We wcześniejszych latach swoich rządów tak skutecznie popierali oni prawo, że nigdy nie zapomniano tej lekcji.

Zbrodnie popełnione w afekcie, choć czasami się zdarzały, bywały jednak coraz rzadsze. Od kiedy rozwiązano tak wiele problemów ludzkości, była dużo zdrowsza psychicznie i bardziej racjonalna. A to, co dawniej nazywano przestępstwem, teraz często było zaledwie ekscentrycznym zachowaniem lub, co gorsze, złymi manierami.

Jedną z najbardziej charakterystycznych zmian było spowolnienie zwariowanego tempa, tak typowego dla dwudziestego wieku. Życie stało się bardziej leniwe i beztroskie niż kiedykolwiek przedtem. Dlatego też miało nieco mniej smaku dla pewnej, niewielkiej zresztą, liczby osób, ale dawało więcej upragnionego spokoju dużo większej liczbie jego zwolenników. Zachód ponownie dowiedział się tego, czego reszta świata nigdy nie zapomniała, a mianowicie, że brak pośpiechu nie jest niczym grzesznym, chyba że przeradza się w pospolite lenistwo. Jakiekolwiek problemy miała przynieść przyszłość, czas nie grał już decydującej roli w ich rozwiązywaniu. System edukacji był już znacznie doskonalszy i lepiej zaplanowany. Niewielu ludzi porzucało szkoły przed ukończeniem dwudziestu lat, a był to zaledwie pierwszy etap kształcenia. W wieku dwudziestu pięciu lat większość, po zebraniu potrzebnych doświadczeń i odbyciu licznych podróży, podejmowała naukę na co najmniej trzy następne lata. A i później co jakiś czas ludzie najczęściej dokształcali się na różnych

kursach z interesujących ich dziedzin.

Wydłużenie okresu przygotowania do życia poza etap osiągania dojrzałości fizycznej spowodowało szereg zmian społecznych. Niektóre z nich powinny były nastąpić już wiele pokoleń wcześniej, ale w tamtych epokach nie ryzykowano stawienia czoła wyzwaniom lub też udawano, że nie ma takiej potrzeby. Szczególnie zmieniły się normy obyczajów seksualnych, jeśli takie normy kiedykolwiek istniały, i to zmieniły się radykalnie. Zapewne padły ofiarą dwóch wynalazków, które, jak na ironię, zostały wprowadzone przez człowieka, bez żadnej inspiracji ze strony Zwierzchników.

Pierwszym był absolutnie skuteczny doustny środek antykoncepcyjny; drugim — równie niezawodna metoda, dokładna tak samo jak daktyloskopia, a oparta na analizie krwi identyfikacja ojcostwa. Efekt, jaki w ludzkim społeczeństwie wywarło wprowadzenie tych dwóch wynalazków, można określić jako druzgocący; przekreśliły one całkowicie pozostałości purytańskich dewiacji.

Kolejną wielką zmianą była niezwykła ruchliwość nowej społeczności. Dzięki sprawności transportu powietrznego każdy miał możliwość dotarcia dokądkolwiek, dostarczanym niemal natychmiast środkiem komunikacji. Na niebie było więcej miejsca niż niegdyś na drogach i dwudzieste pierwsze stulecie w większej skali powtórzyło sukces Ameryki polegający na dodaniu narodowi kół. Dano światu skrzydła.

Chociaż może nie dosłownie. Zwyczajny prywatny glider lub aerobus w ogóle nie posiadał skrzydeł i jakichkolwiek bocznych układów sterowniczych. Zni-knęły nawet niezgrabne śmigła starych helikopterów. Jednak Człowiek jeszcze nie odkrył antygrawitacji; jedynie Zwierzchnicy posiadali tę tajemnicę. Aerobusy ludzi poruszały się za pomocą napędu, którego zasadę pojęliby i bracia Wright. Zasada odrzutu stosowanego wprost, tylko w nieco bardziej skomplikowany sposób, poprzez sterowanie zewnętrznymi warstwami strumienia, poruszała glidery i utrzymywała je w powietrzu. Małe, wszędobylskie aerobusy unicestwiły ostatnie granice między narodami znacznie skuteczniej niż uczyniłyby to prawa i edykty wydawane przez Zwierzchników.

Zniknęły także problemy znacznie istotniejsze. Był to wiek absolutnie świecki. Ze wszystkich religii istniejących przed przybyciem Zwierzchników, ostał się jedynie zreformowany buddyzm, może najbardziej z nich wszystkich surowy. Wiary opierające swój byt na cudach i objawieniach bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Podupadały już wcześniej, wraz ze wzrostem poziomu wykształcenia, chociaż Zwierzchnicy początkowo nie wypowiadali się na ten temat. Mimo iż często proszono Karellena, aby przedstawił swój pogląd na

sprawy religii, jego stanowisko sprowadzało się do tego, że przekonania każdego człowieka są jego prywatną sprawą tak długo, jak długo nie kolidują z wolnością innych.

Może te stare wierzenia zwlekałyby z odejściem jeszcze przez całe pokolenia, gdyby nie ludzka ciekawość. Było powszechnie wiadome, że Zwierzchnicy mają dostęp do przeszłości i coraz więcej historyków prosiło Karellena o rozstrzygnięcie pewnych zadawnionych sporów. Może zmęczyły go te nagabywania, choć było bardziej prawdopodobne, że doskonale zdawał sobie sprawę z ewentualnych skutków swojej uprzejmości.

Urządzenie, które przekazał Światowej Federacji Historyków w formie bezzwrotnej pożyczki, nie było niczym innym jak zwyczajnym odbiornikiem telewizyjnym, zaopatrzonym w precyzyjny system urządzeń nastawczych zapewniających wybór miejsca w czasie i przestrzeni. Musiało ono być w jakiś sposób połączone z daleko bardziej skomplikowaną maszyną działającą na nie znanych nikomu zasadach, a znajdującą się na pokładzie statku Karellena. Wystarczyło po prostu nastawić urządzenie kontrolne i otwierało się okno na przeszłość. W ten sposób ludzkość uzyskała dostęp do pięćdziesięciu wieków swojej historii. Głębiej machina nie sięgała — jej ekran pozostawał ciemny. Być może działo się tak z naturalnych przyczyn, a może był to skutek cenzury Zwierzchników.

Chociaż żaden racjonalnie myślący człowiek nie mógł sądzić, że wszystkie religie mają rację, szok był jednak głęboki. Było to objawienie nie pozostawiające żadnych wątpliwości; za pomocą cudów nauki Zwierzchników widziano początki wszystkich wielkich religii świata. Większość budziła szacunek i dumę, lecz to nie wystarczało. W ciągu kilku dni całe zastępy mesjaszy utraciły boski nimb. W promieniach bezlitosnego, okrutnego światła prawdy, wierzenia krzepiące miliony ludzi przez dwa tysiące lat, zniknęły jak poranna rosa. Definiowane przez ich kryteria pojęcia dobra i zła odeszły w głęboki mrok przeszłości i przestały mieć wpływ na ludzi.

Ludzkość utraciła starych bogów; teraz była już na tyle dorosła, że nie potrzebowała nowych.

Chociaż niewielu jeszcze zdawało sobie z tego sprawę, upadkowi religii towarzyszyło podupadanie nauki. Zaprzątnięci nowymi technologiami naukowcy rzadko zapuszczali się poza znane granice ludzkiej wiedzy. Pozostała ciekawość i chęć jej zaspokajania, lecz stracono zapał do badań podstawowych. Trawienie życia w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, na które Zwierzchnicy już przed wiekami znaleźli odpowiedź, wydawało się zajęciem jałowym.

Ten schyłek był częściowo maskowany niezwykłym rozkwitem nauk opisowych, takich jak zoologia, botanika i astronomia obserwacyjna. Nigdy przedtem tylu naukowców-amatorów nie

zbierało danych dla własnej satysfakcji, ale niewielu teoretyków je zestawiało.

Kres napięć i wszelkiego rodzaju konfliktów oznaczał także faktyczny koniec sztuki wytwórczej. Rzesza odtwórców, zawodowych i amatorów przez całe pokolenie nie stworzyła żadnego wybitnego dzieła literackiego, muzycznego, obrazu czy rzeźby, świat wciąż żył minioną chwałą, która nie mogła wrócić.

Jednak nikogo to nie martwiło, z wyjątkiem paru filozofów. Mieszkańcy Ziemi byli zbyt zajęci konsumowaniem uzyskanej dopiero co swobody, by sięgać poza przyjemności dnia dzisiejszego. W końcu była to utopia i jej świeżości nie skaził jeszcze najgorszy wróg wszelkich utopii — nuda.

Być może Zwierzchnicy mieli odpowiedź i na to, tak jak na wszystkie dotychczasowe problemy. Nikt nie miał pojęcia, tak samo jak pół wieku temu tuż po ich przybyciu, jaki jest ostateczny cel Zwierzchników. Ludzkość przyzwyczaiła się ufać im i akceptować bez zastrzeżeń nadludzki altruizm, który na tak długo uczynił Karellena i jego towarzyszy wygnańcami z ich własnej planety.

Oczywiście jeżeli to był altruizm. Ponieważ wciąż jeszcze byli tacy, którzy zastanawiali się, czy plany Zwierzchników mają zawsze na uwadze pomyślność rasy ludzkiej.

Kiedy Rupert Boyce rozsyłał zaproszenia na przyjęcie, odległość miejsc zamieszkania adresatów robiła wrażenie. Biorąc pod uwagę tylko pierwszy tuzin gości, byli wśród nich Fosterowie z Adelajdy, Shoen-bergowie z Haiti, Farranowie z Moskwy, państwo Moravia z Cincinnati, Ivankowie z Paryża i Sullivano-wie mieszkający zasadniczo w pobliżu Wyspy Wielkanocnej, tyle że cztery kilometry pod powierzchnią oceanu. Sporym komplementem dla Ruperta było i to, że choć zaprosił trzydziestu gości, pojawiło się ich czterdziestu, czego zresztą właściwie oczekiwał. Zawiedli jedynie Krausowie, a to tylko dlatego, że zapomnieli o Linii Zmiany Daty i przybyli dwadzieścia cztery godziny później].

Do południa w parku zebrała się już imponująca kolekcja gliderów i spóźnieni przybysze musieli pokonywać spory kawał drogi spacerkiem, jeśli już udało im się wylądować. No, przynajmniej bezchmurne niebo i 110°F w cieniu sprawiały, że spacer nie wydawał im się krótki. Zaparkowane glidery były różnych typów: od jednoosobowych flitterbusów po familijne cadillaki, bardziej przypominające napowietrzne pałace niż zwykle maszyny latające. Jednak w tej epoce nie można było określić statusu społecznego gościa, patrząc na jego środek transportu.

— To bardzo brzydki dom — powiedziała Jean Morrel, gdy „Meteor" spiralnym lotem opuszczał się w dół. — Wygląda jak pudełko, na które ktoś nadepnął.

George Greggson, zdradzający staroświecką niechęć do automatycznych systemów lądowania, skorygował ręcznie szybkość opadania i dopiero wtedy przemówił.

— Trudno oceniać jakieś miejsce, patrząc pod takim kątem — odparł rozsądnie. — Z Ziemi może to wyglądać zupełnie inaczej. O, do licha!

— O co chodzi?

— Są tu Fosterowie. Ten kolorowy wzorek rozpoznam wszędzie.

— No cóż, jeśli nie chcesz, nie musisz z nimi rozmawiać. To jedna z zalet przyjęć u Ruperta; zawsze możesz skryć się w tłumie.

George wybrał miejsce do lądowania i teraz opuszczał się w jego kierunku. Wolno ześlizgnęli się w dół, by osiąść między innym „Meteorem", a czymś, czego żadne z nich nie potrafiło zidentyfikować: „To wygląda na coś bardzo szybkiego — pomyślała Jean — i bardzo niewygodnego. Pewnie ktoś z technicznych kręgów przyjaciół Ruperta — zdecydowała. — I prawdopodobnie majsterkował sam". Niejasno przypominała sobie, że wydano jakąś ustawę zabraniającą takich rzeczy.

Kiedy wyszli z glidera, upał dopadł ich jak płomień z miotacza ognia. Skwar wysysał wilgoć z ich ciał i George prawie słyszał, jak z trzaskiem pęka mu skóra. Rzecz jasna, częściowo sami byli sobie winni. Wylecieli z Alaski trzy godziny temu i powinni byli pamiętać o odpowiednim nastawieniu klimatyzacji kabiny.

— Ależ klimacik! — sapnęła Jean. — Myślałam, że tutaj się go kontroluje!

— I tak właśnie jest — odparł George. — Kiedyś była tu pustynia, a spójrz teraz dookoła. No, chodźze, wewnątrz będzie lepiej!

Przesadnie wzmocniony głos Ruperta wesoło zahuczał im wprost do uszu. Gospodarz stał przy gliderze ze szklanicą w każdej ręce i z łajdackim uśmiechem spoglądał na nich z góry. Z góry, z tej prostej przyczyny, że mierzył około dwunastu stóp wysokości; był również półprzeźroczysty. Bez trudu można go było przejrzeć na wylot.

— Ładnie to tak traktować gości? — zaprotestował George. Wyciągnął rękę po drinki, których z trudem mógł dosięgnąć. Jego dłoń oczywiście przeszła przez nie na wylot. — Mam nadzieję, że kiedy wejdziemy do domu, dostaniemy coś konkretniejszego!

— Nie ma obawy — zaśmiał się Rupert. — Powiedzcie tylko, co chcecie, a będzie na was czekało.

— Dwa duże piwa chłodzone ciekłym powietrzem — powiedział pospiesznie George. — Zaraz tam będziemy.

Rupert skinął głową, odłożył jedną ze szklanek na niewidzialny stół, poprawił coś na równie niewidzialnej tablicy kontrolnej i szybko zniknął im z oczu.

— No, no! — skomentowała Jean. — Pierwszy raz widziałam, jak

działa jeden z tych gadgetów. Skąd Rupert go wytrzasnął? Myślałam, że mają je tylko Zwierzchnicy.

— Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby Rupert nie zdobył tego, na co ma ochotę? — odparł George. — Dla niego to po prostu zabawka. Może sobie wygodnie siedzieć w pracowni i jednocześnie włóczyć się po całej Afryce. Bez wysiłku, upału, robactwa i stale z lodówką w zasięgu wyciągniętej ręki. Zastanawiam się, co powiedzieliby na to Stanley i Livingstone?

Dalszą rozmowę przerwało słońce, zmuszając ich do milczenia aż do chwili, gdy dotarli do domu. Kiedy podeszli do frontowych drzwi (które z trudem odnaleźli w ścianie ze szkła), te otworzyły się automatycznie przy dźwiękach fanfar. Jean domyślała się, i słusznie, że przed końcem dnia zdąży je serdecznie znienawidzić.

W miłym chłodzie przedsionka powitała ich aktualna pani Boyce. Prawdę powiedziawszy, to właśnie ona była powodem nadmiaru gości. Połowa z nich przybyłaby i tak, chcąc zobaczyć nowy dom Ruperta, a niezdecydowanych zwabiły doniesienia o jego nowej żonie.

Właściwie można ją było określić tylko jednym przymiotnikiem: oszałamiająca. Nawet w świecie, gdzie piękno było czymś powszechnie spotykanym, mężczyźni oglądali się za nią, gdy wchodziła do pokoju. George domyślił się, że była ćwierć krwi Murzynką. Idealne greckie rysy i długie, lśniące włosy były nieco zaskakujące wobec świadczącej o pochodzeniu głęboko ciemnej karnacji, nieodparcie przywołującej na myśl nadużywane słowo „czekoladowa".

— To wy jesteście Jean i George, prawda? — powiedziała, wyciągając dłoń. — Miło mi was poznać. Rupert robi coś skomplikowanego z drinkami. Chodźcie i poznajcie resztę gości.

Mówiła głębokim kontraltem wywołującym delikatne dreszcze przebiegające George'owi po plecach, jakby ktoś grał na jego kręgosłupie jak na flecie. Spojrzał nerwowo na Jean, która zdobyła się na nieco wymuszony uśmiech i w końcu udało mu się odzyskać głos.

— Na… nam też miło cię poznać — powiedział z lekkim zająknięciem. — Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na to przyjęcie.

— Rupert zawsze wydaje udane przyjęcia — wtrąciła Jean.

Sposób w jaki podkreśliła słowo „zawsze", dawał do zrozumienia, że miała na myśli „zawsze, kiedy się żeni". George zaczerwienił się lekko i skarcił Jean spojrzeniem, ale gospodyni nie dała po sobie poznać, że zrozumiała przytyk. Prowadząc ich do salonu zatłoczonego reprezentatywną próbką rozlicznych znajomości Ruperta, była uosobieniem przyjaźni. Sam Rupert siedział za konsolą czegoś, co wyglądało na pulpit sterowniczy systemu telewizji przemysłowej; George domyślił się, że właśnie to urządzenie wytworzyło obraz witającego ich gospodarza. W tej chwili demonstrował sztuczkę, raz

jeszcze zaskakując kolejną parę przybyłych, którzy przed chwilą wylądowali na parkingu, ale przerwał, by przywitać Jean i George'a oraz przeprosić ich za to, że przeznaczone dla nich drinki oddał komuś innemu.

— Tam jeszcze sporo zostało — powiedział, niedbałym machnięciem jednej ręki wskazując gdzieś za siebie, a drugą poprawiając coś na konsoli. — Czujcie się jak u siebie w domu. Znacie większość gości, z pozostałymi zapozna was Maja. Cieszę się, że wpadliście.

— A my cieszymy się, że nas zaprosiłeś — powiedziała Jean, jednak bez większego przekonania.

George ruszył już w stronę baru, więc poszła za nim, wymieniając po drodze pozdrowienia z kimś, kogo rozpoznała. Mniej więcej trzy czwarte z obecnych nie znało się wzajemnie, co na przyjęciach u Ruperta było normalnym stanem rzeczy.

— Rozejrzyjmy się — powiedziała Jean do George'a, kiedy już się napili i pomachali do każdego, kogo znali. — Chciałabym obejrzeć dom.

George, bezskutecznie usiłując ukryć fakt, że oglądał się za Mają Boyce, poszedł za nią. Jego oczy miały ten nieobecny wyraz, który Jean nigdy się nie podobał. Kłopot w tym, że mężczyzna jest z natury poliga-mistą. Choć z drugiej strony, gdyby było inaczej… No cóż, może i dobrze, że tak jest.

Kiedy oglądali nową siedzibę Ruperta, George szybko wrócił do rzeczywistości. Dom wydawał się nieco zbyt duży dla dwojga ludzi, lecz w sam raz, jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że często musiał pomieścić całe hordy gości. Miał dwie kondygnacje. Wyższa była obszerniejsza, tak że wystawała poza obrys parteru, ocieniając go. Dom był w znacznym stopniu zmechanizowany, a kuchnia przypominała kabinę pilotów w naddźwiękowym liniowcu pasażerskim.

— Biedna Ruby — rzekła Jean. — Pokochałaby to miejsce.

— Z tego co słyszałem — odparł-George, który nie darzył przesadną sympatią poprzedniej pani Boyce — jest zupełnie szczęśliwa z tym swoim australijskim przyjacielem.

Fakt ten był powszechnie znany i Jean nie bardzo mogła oponować, więc zmieniła temat.

— Jest strasznie ładna, prawda? Jednak George miał się na baczności i nie dał się złapać.

— Och, tak sądzę — odparł obojętnie. — To znaczy, oczywiście, jeśli ktoś lubi brunetki.

— Których ty, zakładam, nie lubisz — powiedziała słodkim głosem Jean.

— Kochanie, nie bądź zazdrosna — zachichotał George, muskając

dłonią jej platynowe włosy. — Chodźmy obejrzeć bibliotekę. Jak myślisz, gdzie się znajduje?

— Gdzieś na górze; na dole nie ma już pokojów. Co zresztą zgadza się z ogólnym założeniem projektanta. Całe życie, jedzenie, spanie i tak dalej przeniesiono na parter. Tu, gdzie się znajdujemy, jest dział gier i zabaw, choć myślę, że umieszczenie basenu na pierwszym piętrze to zwariowany pomysł.

— Przypuszczam, że jest jakiś powód takiego rozwiązania — rzekł George, na chybił trafił otwierając różne drzwi. — Rupert musiał mieć dobrego doradcę, kiedy budował ten dom. Jestem.pewien, że sam nie dałby sobie z tym rady.

— Chyba masz rację. Gdyby robił to sam, pokoje nie miałyby drzwi, a schody prowadziłyby donikąd. Naprawdę bałabym się wejść do domu zaprojektowanego przez Ruperta.

— A tuś mi! — powiedział George z dumą nawigatora, któremu udało się lądowanie. — Bajeczna kolekcja Boyce'a w jego nowej siedzibie. Zastanawiam się, ile z nich Rupert naprawdę przeczytał.

Biblioteka zajmowała całą szerokość domu, ale faktycznie wielkie regały dzieliły ją na pół tuzina mniejszych pokoi. Składała się, jeśli George dobrze pamiętał, z około piętnastu tysięcy tomów zawierających wszystko, co kiedykolwiek opublikowano na temat czarnej magii, psychotroniki, prekognicji, telepatii i całego wachlarza nieokreślonych fenomenów zaliczanych do kategorii zjawisk parapsychicznych. Było to dość szczególne hobby jak na kogoś żyjącego w wieku rozumu. A może po prostu była to dla Ruperta szczególna forma ucieczki od rzeczywistości.

George wyczuł ten zapach, gdy tylko weszli do pokoju. Był słaby, ale wyczuwalny, nie tyle nieprzyjemny co niezwykły. Jean również go poczuła i zmarszczyła brwi, z trudem próbując określić jego źródło. „Ta woń chyba najbardziej przypomina kwas octowy — pomyślał George. — Chociaż zmieszany z czymś jeszcze…"

Na końcu biblioteki znajdowała się mała, pusta przestrzeń wystarczająca, by pomieścić stół, dwa fotele i kilka poduszek. Zapewne tutaj Rupert spędzał większość czasu, oddając się lekturze. Teraz też ktoś tu siedział, czytając przy nienaturalnie przyćmionym świetle.

Jean gwałtownie wstrzymała oddech i złapała George'a za rękę. Jej reakcja była częściowo zrozumiała. Co innego oglądać coś na ekranie telewizora, a co innego spotkać się z tym naprawdę. George, który rzadko dziwił się czemukolwiek, i tym razem stanął na wysokości zadania.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziliśmy panu, sŀr — powiedział uprzejmym tonem. — Nie mieliśmy pojęcia, że ktoś tu jest. Rupert w ogóle nas nie uprzedził…

Zwierzchnik odłożył książkę, spojrzał na nich uważnie i powrócił do lektury. W geście tym nie było nic obraźliwego, ponieważ wykonał go ktoś, kto potrafił czytać, rozmawiać i prawdopodobnie robić jeszcze kilka innych rzeczy jednocześnie. Jednak, mimo wszystko, dla ludzkich obserwatorów był to widok nieco denerwujący.

— Nazywam się Rashaverak — powiedział uprzejmie Zwierzchnik. — Obawiam się, że nie jestem zbyt towarzyski, ale biblioteka Ruperta to miejsce, które trudno opuścić, kiedy już się tu weszło.

Jean udało się powstrzymać nerwowy chichot.. Nieoczekiwanie spotkany Zwierzchnik dzielący z nimi gościnność Ruperta czytał, jak zauważyła, z szybkością mniej więcej dwóch stron na sekundę. Nie wątpiła, że nie opuścił ani jednego słowa i przez chwilę zastanawiała się, czy potrafiłby czytać dwie książki równocześnie, każdą z nich jednym okiem. A ponadto nauczyć się brajla, aby znaleźć zajęcie dla palców. Ta wizja była zbyt zabawna, by mogła utrzymać powagę, więc próbowała o niej zapomnieć, rozpoczynając rozmowę. Mimo wszystko, nie codziennie nadarza się okazja pogawędki z jednym z władców Ziemi.

George przedstawił ich i pozwolił jej szczebiotać, mając tylko nadziejecie nie powie niczego nietaktownego. Podobnie jak Jean, nigdy jeszcze nie stanął oko w oko ze Zwierzchnikiem. Chociaż na gruncie towarzyskim spotykali się oni z urzędnikami państwowymi, naukowcami oraz innymi ludźmi, z którymi mieli do czynienia, załatwiając różne sprawy, George nie słyszał, by któryś z nich dał się namówić na udział w zwyczajnym przyjęciu. Jedynym wyjaśnieniem tej zagadki mógł być niezupełnie prywatny charakter spotkania. Wskazywał na to również fakt posiadania przez Ruperta aparatu należącego do wyposażenia Zwierzchników. Połączywszy jedno z drugim, George zaczął się poważnie zastanawiać, o co tu chodzi. Będzie musiał pociągnąć Ruperta za język, kiedy przydybie go gdzieś sam na sam.

Ponieważ krzesła były dla niego zbyt małe, Rashaverak siedział na podłodze, gdzie najwidoczniej było mu bardzo wygodnie, bo zignorował leżące obok poduszki. W rezultacie głowę miał zaledwie dwa metry nad podłogą i George miał niepowtarzalną okazję poznać biologię pozaziemskiej istoty. Niestety, niewiele wiedział o biologii istot zamieszkujących Ziemię, zatem w tej sytuacji nie mógł dowiedzieć się niczego nowego. Jedyną nową dla niego rzeczą był szczególny, kwaśny zapach. Zastanawiał się, jak też Zwierzchnicy odbierają woń ludzi i miał nadzieję, że lepiej.

Rashaverak nie miał żadnych cech, które można by uznać za ludzkie. George zrozumiał, dlaczego prymitywne, wystraszone dzikusy, widząc z daleka Zwierzchników, mogły ich wziąć za

uskrzydlonych ludzi. W ten sposób powstały typowe portrety Diabla. Jednak oglądając obcego z bliska, obserwator natychmiast pozbyłby się przynajmniej części złudzeń. Małe różki (George zastanawiał się. do czego mogły służyć) stanowiły pewną cechę szczególną, ale ciało nie przypominało ciała człowieka ani żadnego ziemskiego zwierzęcia. Pochodzący z zupełnie innego drzewa ewolucji Zwierzchnicy nie byli ani ssakami, ani owadami czy gadami. Nie było nawet pewności, że są strunowcami: ich twardy pancerz mógł równie dobrze być szkieletem zewnętrznym.

Skrzydła Rashaveraka były złożone i George nie mógł ich dobrze obejrzeć, lecz ogon wyglądający jak kawał opancerzonego gumowego węża leżał ciasno zwinięty u jego stóp. Słynny kolec bardziej przypominał duży, spłaszczony kamień niż grot strzały. Powszechnie przyjęto, że służył do stabilizowania lotu, podobnie jak lotki ogonowe ptaków. Z niewielu faktów oraz podobnych przypuszczeń naukowcy wywnioskowali, że Zwierzchnicy pochodzą z planety o niskim ciążeniu i bardzo gęstej atmosferze.

W ukrytym głośniku rozległ się nagle głos Ruperta.

— Jean! George! Gdzie się ukrywacie, u licha? Zejdźcie na dół i przyłączcie się do zabawy. Ludziska zaczynają już plotkować.

— Ja też już chyba lepiej pójdę — powiedział Rashaverak, odkładając książkę na półkę. Zrobił to bez wysiłku, nie podnosząc się z podłogi. Dopiero wtedy George zauważył, że Zwierzchnik ma u każdej dłoni dwa przeciwstawne kciuki, a między nimi po pięć palców. „Wolałbym niczego nie liczyć — rzekł sobie w duchu — systemem czternastkowym".

Wstający na nogi Rashaverak stanowił widok godny uwagi, lecz kiedy nachylił się, aby nie uderzyć głową o sufit, stało się oczywiste, że nawet gdyby jego współplemieńcy mieli zamiar obcować cieleśnie z Ziemiankami, napotkaliby w tym względzie niemałe trudności praktyczne.

Przez ostatnie pół godziny przybyło jeszcze kilkanaście osób i pokój był solidnie zatłoczony. Pojawienie się Rashaveraka jeszcze pogorszyło ten stan rzeczy, ponieważ wszyscy goście znajdujący się w sąsiednich pokojach przybiegli, aby go zobaczyć. Rupert, oczywiście, świetnie się tym bawił. Jean i George byli znacznie mniej zadowoleni, ponieważ nikt ich nie zauważył. Właściwie niewielu ludzi mogło ich spostrzec, ponieważ stali za Zwierzchnikiem.

— Chodź tu, Rashy i poznaj trochę wiary — ryknął Rupert. — Siadaj na otomanie, przestaniesz wtedy robić rysy na suficie.

Rashaverak z przerzuconym przez ramię ogonem przeszedł przez salon jak lodołamacz przebijający się przez lodową kaszę. Kiedy usiadł obok Ruperta, pokój odzyskał swoje dawne rozmiary i George odetchnął z ulgą.

— Kiedy stał, miałem atak klaustrofobii. Zastanawiam się, jak Rupert go namówił, to mnie najbardziej interesuje.

— Tylko pomyśl! Rupert publicznie zwracający się tak poufale do Zwierzchnika! Jednak on wydaje się nie mieć nic przeciw temu. To bardzo dziwne.

— Założę się, że on ma jednak coś przeciw temu. Problem z Rupertem polega na tym, że lubi, by o nim mówiono ł nie ma za grosz wyczucia i taktu. A to mi przypomina niektóre z twoich pytań! Na przykład: „Jak długo pan tu jest? Jak pan sobie radzi z Kontrolerem Karellenem? Czy podoba się panu na Ziemi?" Doprawdy, kochanie! W ten sposób nie rozmawia się ze Zwierzchnikiem!

— Nie wiem dlaczego. Właśnie przed chwilą ktoś tak do jednego z nich mówił.

Zanim dyskusja stała się zbyt ożywiona, podeszli do nich Shoenbergowie i niebawem nastąpił podział na pary. Panie poszły w jedną stronę porozmawiać o pani Boyce, a panowie w drugą, robić dokładnie to samo, choć z zupełnie innego punktu widzenia. Benny Shoenberg, który był jednym z najstarszych przyjaciół George'a, miał sporo wiadomości o przedmiocie rozmowy.

— Na miłość boską, nie mów tego nikomu — zastrzegł się — ale to ja przedstawiłem ją Rupertowi.

— Myślę — zauważył z pewną dozą zazdrości George — że ona jest za dobra dla Ruperta. Tak czy owak, to nie potrwa długo. Ona wkrótce się nim znudzi.

Ta myśl w widoczny sposób poprawiła mu humor.

— Nie wierz w to! Oprócz tego, że jest piękna, ma naprawdę miły charakter. Najwyższy czas by ktoś wreszcie zajął się wychowaniem Ruperta i ona jest odpowiednią osobą.

Teraz zarówno Maja, jak i Rupert siedzieli obok Rashaveraka, uroczyście przyjmując gratulacje. Przyjęcia u Ruperta rzadko skupiały się wokół jednego punktu, najczęściej rozpadały się na kilka mniejszych grup zajętych własnymi sprawami. Tym razem jednak wszyscy zebrali się wokół ośrodka zainteresowania. George'owł zrobiło się trochę przykro ze względu na Maję. To miał być jej dzień, ale Rashaverak częściowo już usunął ją w cień.

— Słuchaj — powiedział George, nadgryzając kanapkę. — Jak, u licha, Rupert ściągnął tu Zwierzchnika? To niesłychane, a on uważa, że to normalne. Nawet o nim nie wspomniał, kiedy nas zapraszał.

Benny zachichotał.

— To po prostu jedna z jego małych niespodzianek. Lepiej zapytaj go o to sam. Jednak mimo wszystko to nie jest pierwszy taki wypadek. Karellen bywał już na przyjęciach w Białym Domu i w Buckingham Pałace, i…

— Tam do licha! To całkiem coś innego. Rupert jest przecież

prywatną osobą.

— Może i Rashaverak jest bardzo mało znaczącym Zwierzchnikiem. Sam ich o to zapytaj.

— Zrobię tak — obiecał George — jak tylko dopadnę Ruperta sam na sam.

— No to będziesz musiał długo poczekać.

Benny miał rację, ale ponieważ przyjęcie się rozkręcało, czekanie nie było takie przykre. Uczucie lekkiego skrępowania wywołane obecnością Rashaveraka szybko ustąpiło. Wokół Zwierzchnika tłoczyła się jeszcze mała grupka gości, lecz gdzie indziej doszło już do zwyczajowych podziałów i wszyscy zachowywali się zupełnie naturalnie. Na przykład Sullivan opowiadał zaciekawionym słuchaczom o swojej ostatniej wyprawie łodzią podwodną.

— Jeszcze nie jesteśmy pewni — mówił — jakie są ich naturalne granice wzrostu. W pobliżu naszej bazy jest kanion, w którym żyje prawdziwy.gigant. Kiedyś miałem okazję dobrze mu się przyjrzeć i oceniam rozpiętość jego macek na jakieś trzydzieści metrów. Poszukam go w przyszłym tygodniu. Czy ktoś chciałby mieć takie nowe domowe zwierzątko?

Jedna z pań pisnęła z przerażenia.

— Och! Na samą myśl dostaję gęsiej skórki! Pan musi być okropnie odważny!

Sullivan wyglądał na mocno zaskoczonego.

— Nigdy tak o tym nie myślałem — powiedział. — Rzecz jasna, odpowiednio się zabezpieczam, ale tak naprawdę to nigdy nic mi nie groziło. Kalmary wiedzą, że nie należę do ich pożywienia i dopóki nie podchodzę zbyt blisko, wcale nie zwracają na mnie uwagi. Większość mieszkańców morza nie ruszy człowieka, jeśli ich nie niepokoi.

— Jednak prędzej czy później — zapytał ktoś — trafi pan na takiego, który uzna, że jest pan jadalny.

— Och — odparł beztrosko Sullivan. — Takie rzeczy czasem się zdarzają. Staram się nie robić im krzywdy, bo mimo wszystko liczę, że zostaniemy przyjaciółmi. Tak więc dodaję wtedy gazu i zazwyczaj po minucie lub dwóch zostają w tyle. A jeśli jestem zbyt zajęty na takie zabawy, mogę potraktować natręta kilkoma setkami woltów. To załatwia sprawę i więcej mi się nie narzuca.

„Na przyjęciach u Ruperta można zawsze spotkać interesujących ludzi” — pomyślał George, przechodząc do następnej grupy. Literackie gusta Ruperta mogły być dość szczególne, ale sieci przyjaźni zarzucał daleko i szeroko. Nawet nie rozglądając się wokół, George widział ze swojego miejsca słynnego producenta filmowego, pomniejszego kalibru poetę, matematyka, dwóch aktorów, projektanta reaktorów atomowych, przewodnika safari, wydawcę tygodnika, statystyka pracującego dla Banku Światowego, skrzypka-wirtuoza, profesora

archeologii i astrofizyka. Nie było drugiego przedstawiciela profesji George'a, który pracował jako dekorator wnętrz w telewizji, co — jak uważał — świetnie się składało, bo pozwalało mu oderwać się od problemów zawodowych. Lubił swoją pracę, zresztą w tej epoce, po raz pierwszy w historii ludzkości, nikt nie robił tego, czego nie chciał robić. Mimo to George po zakończeniu każdego dnia pracy lubił psychicznie zamykać za sobą drzwi studia.

Wreszcie dopadł Ruperta w kuchni, gdzie ten eksperymentował coś z drinkami. Wydawało się, że sprowadzenie go na ziemię w chwili, gdy jego oczy miały ten nieobecny wyraz, jest okrucieństwem, lecz George w razie potrzeby umiał być bezwzględny.

— Słuchaj, Rupert — zaczął, przysiadając na najbliższym stole. — Myślę, że jesteś nam winien jakieś wyjaśnienie.

— Mhm… — mruknął Rupert, z nabożeństwem oblizując wargi końcem języka. — Obawiam się, że odrobinę zbyt dużo dżinu.

— Nie wymiguj się i nie udawaj zalanego, bo doskonale wiem, że jesteś trzeźwy. Skąd się tu wziął ten twój przyjaciel Zwierzchnik i co on tutaj robi?

— Nie mówiłem ci? — zdziwił się Rupert. — Myślałem, że powiedziałem wszystkim. Nie było was tu… No tak, ukrywaliście się w bibliotece — zachichotał w sposób, jaki George uznał za denerwujący. — Wiesz co, to ta biblioteka ściągnęła Rashy'ego.

— Niesamowite!

— Dlaczego?

George chwilowo powstrzymał się od dalszych komentarzy, wiedząc, że sytuacja wymaga sporo taktu. Rupert był bardzo dumny ze swojej specyficznej kolekcji.

— No wiesz, biorąc pod uwagę osiągnięcia Zwierzchników w dziedzinie nauki, trudno mi sobie wyobrazić, że interesują ich fenomeny psychotroniki i te inne bzdury.

— Bzdury czy nie — odrzekł Rupert — interesuje ich ludzka psychika, a ja mam tu kilka książek, z których mogą się dowiedzieć wielu rzeczy. Na krótko przed moją przeprowadzką tutaj skontaktował się ze mną jakiś podsekretarz czy nadsekretarz Zwierzchników i zapytał, czy nie zechciałbym im pożyczyć około pięćdziesięciu moich najrzadszych woluminów. Naprowadził ich na mnie jeden z pracowników biblioteki British Museum. Oczywiście domyślasz się, jak zareagowałem.

— Nie mam pojęcia.

— No… bardzo uprzejmie odpowiedziałem, że gromadziłem te zbiory od dwudziestu lat. Miło mi będzie, jeśli zechcą studiować moje książki, ale, do cholery, będą je musieli czytać na miejscu; No więc przybył tu Rashy i pożera mniej więcej dwadzieścia tomów dziennie. Bardzo chciałbym wiedzieć, co on z tym pocznie. George przez chwilę

zastanawiał się, a potem z niesmakiem wzruszył ramionami.

— Szczerze mówiąc — rzekł — Zwierzchnicy sporo stracili w moich oczach. Myślałem, że potrafią lepiej spożytkować swój czas.

— Jesteś niepoprawnym materialistą, prawda? Chociaż nie sądzę, żeby Jean zgodziła się z tym bez zastrzeżeń. Jednak nawet z twojego, tak zwanego „praktycznego" punktu widzenia, ma to swój sens. Na pewno sam chciałbyś poznać przesądy każdej prymitywnej rasy, z jaką miałbyś do czynienia.

— Pewnie tak — powiedział nie w pełni przekonany George. Kant stołu był dość twardy, więc zszedł na podłogę. Rupert wreszcie zmieszał drinka, który znalazł w jego oczach uznanie, i chciał wrócić do swoich gości, głośno domagających się jego powrotu.

— Hej! — zaprotestował George. — Zanim znikniesz, mam jeszcze jedno pytanie. Jak udało ci się zdobyć ten telenadajnik, którym próbowałeś nas nastraszyć?

— Trochę się potargowałem. Wykazałem, że przyda mi się to do pracy i Rashy przekazał problem w odpowiednie ręce.

— Wybacz, że jestem taki tępy, ale czym ty się teraz właściwie zajmujesz? Oczywiście, przypuszczam, że ma to coś wspólnego ze zwierzętami.

— Słusznie. Jestem starszym weterynarzem. Moja praktyka rozciąga się na obszar jakichś dziesięciu tysięcy mil kwadratowych dżungli, a ponieważ moi pacjenci do mnie nie przychodzą, muszę sam rozglądać się za nimi.

— To ci pewnie zajmuje sporo czasu.

— Och, oczywiście, nie zajmuję się drobnicą. Tylko lwy, słonie, nosorożce i tak dalej. Codziennie rano puszczam aparat na wysokość około stu metrów, siadam przed ekranem i ruszam na wycieczkę po okolicy. Kiedy widzę, że ktoś ma kłopoty, włażę do glidera z nadzieją, iż moje samarytańskie zamiary spotkają się z miłym przyjęciem. Czasem jest to dość kłopotliwe. Lwy i ich krewni to sprawa prosta, ale na przykład uśpienie nosorożca trafieniem z góry to piekielna robota.

— Rupert! — wrzasnął ktoś z sąsiedniego pokoju.

— No i popatrz, co narobiłeś! Przez ciebie zapomniałem o moich gościach! Masz, bierz tę tacę. Tamte są z wermutem, nie chcę, żeby się pomieszały.

Dopiero pod wieczór George zdołał wymknąć się na dach. Z kilku powodów bolała go głowa i od dawna miał ochotę uciec od panującego na dole hałasu i zamieszania. Jean, tańcząca znacznie lepiej od niego, nadal świetnie się bawiła i nie chciała z nim wyjść. George, którego alkohol nastroił amoroso, postanowił samotnie podąsać się w blasku gwiazd.

Na dach można było się dostać, wjeżdżając ruchomymi schodami na pierwsze piętro, a potem korzystając ze spiralnych schodów

biegnących wokół kornina aparatury klimatyzacyjnej. Schody kończyły się wąskim lukiem prowadzącym na piaski, szeroki dach. Z jednej jego strony znajdował się parking głłdera należącego do Ruperta, na środku nieco zapuszczony ogród, a po drugiej stronie — taras z kilkoma leżakami do obserwacji nieba. George opadł na jeden z nich i rozejrzał się wokół niczym Cezar. Czuł się absolutnym panem wszystkiego, co widział.

A widok był, bez przesady, całkiem, całkiem. Dom Ruperta wznosił się na skraju wielkiego uskoku, który opadając ku wschodowi, przechodził pięć kilometrów dalej w krainę bagien i jezior. Od zachodu teren był płaski i dżungla podchodziła prawie do kuchennych drzwi domostwa. Jednak za pasem dżungli, co najmniej w odległości pięćdziesięciu kilometrów, z północy na południe przebiegał łańcuch górski przypominający wysoką ścianę. Wierzchołki gór przyprószył śnieg, a unoszące się nad nimi chmury zapalały się czerwienią, gdy słońce odbywało ostatnie kilka minut swej codziennej wędrówki. Spoglądający na tę scenę George nagle wytrzeźwiał i serce ścisnął mu dziwny niepokój. Gwiazdy, które z niesamowitą szybkością pojawiły się na niebie, były mu zupełnie nie znane. Spróbował odszukać Krzyż Południa, ale bezskutecznie. Chociaż niewiele wiedział o astronomii, potrafił rozpoznać niektóre gwiazdozbiory i nieobecność starych znajomych mocno go zirytowała. Podobnie jak niepokojąco bliskie odgłosy dobiegające z dżungli. „Wystarczy już tego świeżego powietrza — pomyślał George. — Wrócę na przyjęcie, zanim nietoperz-wampir lub jakieś inne, równie miłe stworzenie przyleci tu, aby się rozejrzeć".

Ruszył z powrotem, kiedy z luku wyłonił się kolejny gość. Było już ciemno i George, nie mogąc rozpoznać przybyłego, zawołał:

— Proszę tutaj! Pan także ma dość?

— Rupert zaczyna wyświetlać swoje filmy. Widziałem już wszystkie.

— Chce pan papierosa?

— Dziękuję.

W świetle płomienia zapalniczki, George przepadał za takimi antykami, rozpoznał swojego rozmówcę: uderzająco przystojnego młodego Murzyna, którego imię zapomniał zaraz po tym, jak ktoś mu go przedstawił, zresztą tak samo jak imiona dwudziestu innych osób na tym przyjęciu. Jednak w wyglądzie przybyłego dostrzegł coś znajomego i nagle George domyślił się prawdy.

— Nie sądzę, żebyśmy przedtem mieli okazję poznać się bliżej, ale czy nie jest pan nowym szwagrem Ruperta?

— Nie da się zaprzeczyć. Jestem Jan Rodericks. Wszyscy mówią, że Maja i ja jesteśmy do siebie podobni.

George przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyrazić Janowi

wyrazów współczucia z powodu nowo nabytego krewnego. Jednak pomyślał, że lepiej będzie, jeśli biedak sam odkryje prawdę; a zresztą bardzo możliwe, że tym razem Rupert wsiąknie na dobre.

— Jestem George Greggson. Pan pewnie pierwszy raz na jednym ze słynnych przyjęć Ruperta?

— Tak. W ten sposób można poznać sporo nowych ludzi.

— I nie tylko ludzi — dodał George. — Po raz pierwszy miałem okazję spotkać Zwierzchnika na gruncie towarzyskim.

Tamten zawahał się chwilę, zanim odpowiedział i George zaczął się zastanawiać, w jakiż to czuły punkt trafił. Odpowiedź niczego nie wyjaśniła.

— Nie widziałem przedtem żadnego z nich, oczywiście nie licząc tych oglądanych w telewizji.

Dalsza rozmowa już się nie kleiła i George szybko zorientował się, że Jan chciałby zostać sam. Zresztą i tak zrobiło się chłodno. Pożegnał się i dołączył do reszty towarzystwa.

Dżungla ucichła i kiedy Jan oparł się o obłą ścianę nawiewnika powietrza, jedynym dźwiękiem, jaki usłyszał, był stłumiony szum mechanicznego oddechu płuc domu. Był bardzo samotny i właśnie tak chciał się czuć. Był także bardzo zdenerwowany, a tego wcale nie pragnął.

Żadna utopia nie zadowoli wszystkich. Gdy warunki życiowe człowieka poprawiają się, podnosi poprzeczkę wyżej i nie zadowala się już władzą ani stanem posiadania, które kiedyś zdawały mu się niemożliwym do spełnienia marzeniem. Nawet kiedy osiągnie już wszystko, co mógł zaoferować świat, pozostają jeszcze głębie umysłu i tęsknoty serca.

Jan Rodericks, chociaż rzadko z czegokolwiek się cieszył, w poprzedniej epoce byłby jeszcze bardziej niezadowolony. Sto lat wcześniej kolor skóry byłby mu ogromną, może nawet decydującą przeszkodą. Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Poczucie przewagi, jakie ze zrozumiałych względów mieli Murzyni na początku dwudziestego pierwszego wieku, dawno już zniknęło. Wygodne słowo „czarnuch” nie było już towarzyskim tabu, używano go powszechnie i bez skrępowania. Nie miało bardziej emocjonalnego zabarwienia niż takie określenia, jak: republikanin, metodysta, konserwatysta czy liberał.

Ojcem Jana był uroczy, ale nieco niezaradny życiowo Szkot, który zdobył sławę jako zawodowy iluzjonista. Jego przedwczesna śmierć w dość młodym wieku czterdziestu pięciu lat wiązała się z nadmiernym spożyciem najbardziej znanego produktu wytwarzanego w jego ojczyźnie. Chociaż Jan nigdy nie widział ojca pijanego, nie mógł także powiedzieć, by kiedykolwiek widział go trzeźwego.

Pani Rodericks, jak najbardziej żywa, wykładała rozwiniętą teorię

prawdopodobieństwa na uniwersytecie w Edynburgu. Niezwykła ruchliwość ludzi dwudziestego pierwszego wieku była powodem tego, że czarnoskóra pani Rodericks urodziła się w Szkocji, podczas gdy jej maż wyemigrował i większość życia spędził na Haiti. Maja i Jan nigdy nie mieli normalnego domu, lecz krążyli jak piłeczki pingpongowe między rodzinami swoich rodziców. Okazało się to niezłą zabawą, ale nie zlikwidowało braku systematyczności, jaki odziedziczyli po ojcu.

Dwudziestosiedmioletni Jan miał jeszcze przed sobą kilka lat studiów, zanim podejmie decyzję o wyborze kariery. Końcowe egzaminy zdał bez trudu, zgodnie z programem, który jeszcze sto lat wcześniej wydawałby się raczej niezwykły. Przedmiotami wiodącymi były matematyka i fizyka, a ponadto filozofia i kompozycja muzyczna. Nawet według surowych kryteriów swoich czasów Jan był również pierwszorzędnym pianistą.

Za trzy lata zrobi doktorat z fizyki stosowanej i astronomii. Będzie to wymagało sporo pracy, ale Janowi to odpowiadało. Studiował na uczelni, która chyba nie bez kozery cieszyła się sławą najpiękniej położonej szkoły wyższej na świecie — był nią Uniwersytet Kapsztadzki, znajdujący się u stóp Góry Stołowej.

Jan nie miał kłopotów materialnych, ale był rozgoryczony i nie widział możliwości zmiany tego stanu rzeczy. Szczęście Mai jeszcze pogarszało sytuację, chociaż w żadnym wypadku nie miał do niej o to żalu, gdyż przypominało o głównej przyczynie jego kłopotów.

Jan cierpiał bowiem w wyniku romantycznego złudzenia — powodu tylu nieszczęść i tylu napisanych wierszy — że człowiek tylko raz w życiu spotyka prawdziwą miłość. Zakochał się pierwszy raz, bardzo późno jak na normalnego mężczyznę, obdarzając swym uczuciem damę znaną raczej z urody niż ze stałości. Rosita Tsien twierdziła, zresztą zupełnie słusznie, że w jej żyłach płynie krew mandżurskich imperatorów. Nadal miała wielu wiernych poddanych, do których zaliczała się większość studentów Wydziału Nauk w Kapsztadzie. Jan padł ofiarą jej delikatnej urody egzotycznego kwiatu i sprawy zaszły na tyle daleko, że zerwanie było tym bardziej bolesne. Nie miał pojęcia, co się właściwie stało.

W końcu się z tym pogodzi, oczywiście. Inni mężczyźni wychodzili z takich katastrof bez większego uszczerbku i po pewnym czasie mogli nawet mówić: „Jestem pewien, że tak naprawdę, to nigdy mi na niej nie zależało!” Jednak ta chwila, kiedy będzie w stanie traktować całą sprawę z odpowiednim dystansem, jeszcze nie nadeszła i Jan był bardzo niezadowolony z życia.

Druga przyczyna ponurego nastroju Jana mogą być nawet trudniejsza do usunięcia, ponieważ jej źródłem był wpływ Zwierzchników na jego ambicje. Jan był romantykiem z krwi i kości. Podobnie jak wielu innych młodych ludzi, od chwili gdy stało się

jasne, że dokonano podboju powietrza, skierował swoje marzenia i tęsknoty ku niezbadanym otchłaniom kosmosu.

Sto lat wcześniej Człowiek stanął na pierwszym szczeblu drabiny wiodącej do gwiazd. I oto w tej samej chwili — czy mógł to być przypadek? — zatrzaśnięto mu przed nosem drzwi do innych światów. Zwierzchnicy zakazywali niewielu rzeczy, chyba najważniejszy był zakaz prowadzenia wojen, ale badania w dziedzinie astronautyki praktycznie ustały. Wyzwanie rzucone przez naukę Zwierzchników było zbyt wielkie. Człowiek stracił zapał, przynajmniej na pewien czas, i skierował swoją aktywność w innych kierunkach. Nie widziano sensu w konstruowaniu rakiet, skoro Zwierzchnicy dysponowali nieporównanie lepszymi napędami opartymi na zasadach, których nigdy nie zdradzili.

Kilkuset ludzi odwiedziło Księżyc, aby zbudować tam obserwatorium astronomiczne. Latali wówczas małym statkiem napędzanym silnikami rakietowymi, pożyczonym od Zwierzchników. Mimo iż właściciele przekazali go, nie stawiając żadnych warunków odnośnie do wścibstwa ziemskich naukowców, nie ulegało wątpliwości, że badając tak prymitywny pojazd, niewiele można się dowiedzieć.

W ten sposób Człowiek stał się więźniem własnej planety. Była to dużo przyjemniejsza, ale i znacznie mniejsza planeta niż przed stu laty. Od kiedy za sprawą Zwierzchników zniknęły wojny, głód i choroby, zniknęła także Przygoda.

Wschodzący księżyc zaczął malować niebo na wschodzie bladomleczną poświatą. Jan wiedzial, że gdzieś tam, w okolicach Plutona, znajdowała się baza Zwierzchników. Chociaż ich statki zaopatrzeniowe musiały przybywać i odlatywać od ponad siedemdziesięciu lat, dopiero za życia Jana ujawnili ten fakt i sprawili, że manewry statków były widoczne z Ziemi. Teleskop o dwustucalowej ogniskowej pozwalał wyraźnie dostrzec wielkie cienie, jakie w porannych lub wieczornych promieniach słońca rzucały na księżycowe równiny. Ponieważ wszystko co robili Zwierzchnicy, niezmiernie intrygowało ludzi, systematycznie obserwowano przyloty i odloty statków, powoli stwierdzając pewne prawidłowości, jakie tym rządziły. Przed kilkoma godzinami jeden z wielkich cieni zniknął. Jan wiedział, co to oznacza: gdzieś w pobliżu Księżyca statek Zwierzchników, zgodnie ze swym tajemniczym rozkładem, szykował się do podróży ku odległemu, nieznanemu domowi.

Nigdy nie udało mu się zauważyć momentu startu. W sprzyjających warunkach spektakl ten mogło oglądać pół świata, ale Jan zawsze miał pecha. Startu nie dawało się przewidzieć, a Zwierzchnicy nie podawali terminu do wiadomości. Jan postanowił, że poczeka jeszcze dziesięć minut, a potem zejdzie na przyjęcie.

A to co? Tylko meteor przecinający rejony Alfa Eridani. Jan rozluźnił się, stwierdził, że zgasł mu papieros i zapalił następnego.

Wypalił go do połowy, gdy w odległości pół miliona kilometrów uruchomiono gwiezdny silnik. Z samego serca rozszerzającej się mgławicy księżycowej poświaty wystrzeliła ku zenitowi maleńka iskierka. Wspinając się wciąż wyżej, lśniła coraz intensywniej, aż nagle znikła. Po chwili pojawiła się znowu, nadal nabierając szybkości i blasku. Pulsując miarowo, z rosnącą prędkością przenikała w głąb nieba, rysując jasną linię światła na tle gwiazd. Nawet komuś, kto nie miał pojęcia, w jakiej znajdowała się odległości, wrażenie pędu zapierało dech w piersiach; a gdy wiedziało się, że odlatujący statek był gdzieś za Księżycem, w głowie kręciło się na myśl o związanej z tym energii i szybkości.

Jan wiedział, że to, co teraz oglądał, było ubocznym efektem zastosowania tej energii. Sam statek był już niewidoczny i znajdował się gdzieś daleko przed tym wznoszącym się światełkiem. Tak jak lecący wysoko odrzutowiec pozostawia za sobą smugę rozrzedzonego powietrza, tak oddalający się statek Zwierzchników zostawiał swój szczególny ślad. Ogólnie przyjęta teoria — nie budząca większych wątpliwości — głosiła, że niesamowite przyspieszenie gwiezdnego silnika powodowało lokalne zniekształcenia przestrzeni. Jan wiedział, że to, na co patrzy, jest światłem dalekich gwiazd, zebranym i zogniskowanym tam, gdzie wzdłuż śladu powstały po temu odpowiednie warunki. Był to widomy dowód słuszności teorii względności — ugięcie światła spowodowane kolosalnym polem grawitacyjnym.

Teraz koniec tej ogromnej soczewki, mającej kształt ołówka zdawał się poruszać wolniej, lecz i to było złudzeniem spowodowanym perspektywą. W rzeczywistości statek stale zwiększał szybkość; po prostu ślad jego lotu skracał się, w miarę jak kolos oddalał się ku gwiazdom. Jan wiedział, że na statek skierowano w tej chwili wiele teleskopów, ponieważ ziemscy naukowcy nadal usiłowali odkryć tajemnicę napędu. Opublikowano już ponad tuzin teorii na ten temat i Zwierzchnicy niewątpliwie czytali je z najwyższym zainteresowaniem.

Widmowe światełko zaczęło znikać. Teraz było już gasnącą smugą skierowaną tak, jak się tego spodziewał, w serce konstelacji Cariny. Gdzieś w tym rejonie była ojczyzna Zwierzchników, mogąca znajdować się w pobliżu każdej z tysiąca gwiazd położonych w tym sektorze przestrzeni. W żaden sposób nie było można określić jej odległości od Układu Słonecznego.

Już po wszystkim. Chociaż statek dopiero rozpoczynał swoją podróż, ludzkie oko nie mogło nic więcej dostrzec. Jednak Jan miał wciąż w oczach wizję lśniącej smugi, promienia, który miał nigdy nie

zgasnąć, póki starczy mu ambicji i pragnień.

Przyjęcie skończyło się. Prawie wszyscy goście unieśli się już z powrotem w niebo ł rozlecieli w cztery strony świata. Pozostało tylko kilku.

Jednym z nich był poeta, Norman Dodsworth, który zalał się w trupa, ale miał na tyle rozsądku, by stracić kontakt z rzeczywistością, zanim trzeba było zastosować wobec niego środki fizycznego przymusu. Bez ceregieli przeniesiono go na trawnik w nadziei, że obudzi go tam wygłodniała hiena. Praktycznie można go więc było uznać za nieobecnego.

Pozostałymi gośćmi byli George i Jean. Nie był to pomysł George'a; chciał wracać do domu. Nie aprobował przyjaźni Jean z Rupertem, chociaż nie ze zwykłych w takich wypadkach pobudek. George chlubił się tym, że jest osobnikiem praktycznym i zrównoważonym, a zainteresowania łączące Jean i Ruperta uważał nie tylko za dziecinadę, ale i rzecz nienormalną. Myśl, że ktoś mógł jeszcze przywiązywać jakiekolwiek znaczenie do zjawisk nadprzyrodzonych, wydawała mu się aberracją ł spotkanie tu Rashaveraka zachwiało jego wiarą w Zwierzchników.

Teraz było oczywiste, że Rupert szykował jakąś niespodziankę, zapewne w zmowie z Jean. George z ponurą rezygnacją czekał na to, co miało nastąpić.

— Próbowałem wszystkiego, zanim skoncentrowałem się na tym — oznajmił dumnie Rupert. — Największym problemem jest zredukowanie tarcia, tak żeby uzyskać całkowitą swobodę ruchu. Staromodny politurowany stolik i wirujący talerzyk nie są złe, ale używano ich już od stuleci i byłem pewien, że współczesna nauka potrafi wymyśleć coś lepszego. I oto mamy rezultat. Przysuńcie krzesła. Rashy, czy jesteś absolutnie pewny, że nie chcesz się do nas przyłączyć?

Przez ułamek sekundy zdawało się, że Zwierzchnik się waha. Potem potrząsnął głową. „Czy nauczyli się tego gestu tu, na Ziemi?" — zastanawiał się George.

— Nie, dziękuję. Wolę obserwować. Może innym razem.

— No, dobrze, masz jeszcze sporo czasu, żeby zmienić zdanie.

„Czyżby?" — pomyślał George, ponuro spoglądając na zegarek.

Rupert posadził przyjaciół wokół małego, ale solidnego i idealnie kolistego stolika. Mebel miał płaski, plastikowy blat, który Rupert podniósł, ukazując błyszczące morze ciasno upakowanych kuleczek. Lekko wystająca ku górze krawędź stołu nie pozwalała im się rozsypać i George stwierdził, że nie jest w stanie domyślić się, do czego służą. Setki błysków odbitego światła układało się w fascynujący, hipnotyczny wzór, od którego George'owi zakręciło się w głowie.

Kiedy przysunęli krzesła, Rupert sięgnął pod stół i wyjął krążek

mający jakieś dziesięć centymetrów średnicy, po czym położył go na powierzchni kulek.

— No i proszę — powiedział. — Połóżcie teraz na nim ręce, a zobaczycie, że porusza się w ogóle bez tarcia.

George obrzucił urządzenie wzrokiem pełnym niesmaku. Zauważył, że na obrzeżu stołu umieszczono w regularnych odstępach, choć nie po kolei, litery alfabetu. Ponadto widniały tam liczby od jeden do dziewięć, również w przypadkowej kolejności, oraz dwie tabliczki z napisami „Tak" i „Nie".

— To mi wygląda na jakieś gusła — mruknął. — Dziwię się, że w tych czasach ktoś traktuje to poważnie.

Wyraziwszy ten nieśmiały protest skierowany pod adresem Jean ł Ruperta, poczuł się trochę lepiej. Rupert bynajmniej nie twierdził, że interesuje się tym fenomenem bardziej, niż powinien to robić bezstronny naukowiec. Miał otwarty umysł i nie był naiwny. Zaś Jean… O nią George czasami trochę się martwił. Wyglądało na to, że ona naprawdę wierzy, iż w tych historiach o telepatii i prekognicji coś jest.

Dopiero po wygłoszeniu swojej uwagi zdał sobie sprawę z tego, że pośrednio skrytykował Rashaveraka. Rzucił mu niespokojne spojrzenie, lecz Zwierzchnik nie zareagował. Co oczywiście o niczym nie świadczyło.

Teraz wszyscy zajęli swoje miejsca. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara siedzieli kolejno: Rupert, Maja, Jan, Jean, George i Benny Shoenberg. Ruth Shoenberg siedziała poza kręgiem, z notatnikiem w ręku. Miała pewne obiekcje co do udziału w seansie, co wywołało kilka sarkastycznych docinków ze strony Benny'ego wymierzonych w ludzi, którzy wciąż biorą na serio Talmud. Jednak nie miała nic przeciwko notowaniu przebiegu eksperymentu.

— Teraz słuchajcie — zaczął Rupert. — Wyjaśnijmy sobie pewne sprawy na użytek sceptyków takich jak George. Nieważne czy jest w tym coś nadprzyrodzonego, czy nie, ale to działa! Osobiście uważam, że wyjaśnienie jest bardzo proste. Kiedy kładziemy ręce na dysku, nawet jeśli staramy się unikać świadomego oddziaływania na jego ruchy, nasza podświadomość zaczyna nam płatać figle. Analizowałem wiele seansów i okazało się, że ani razu nie otrzymaliśmy odpowiedzi, której by nie znał lub nie potrafił odgadnąć ktoś z grupy, chociaż czasem ci ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy. Mimo wszystko chciałbym przeprowadzić eksperyment w tych właśnie… hmm… dość szczególnych okolicznościach.

„Szczególne okoliczności" siedziały, obserwując ich w milczeniu, lecz z niewątpliwym zainteresowaniem. George zastanawiał się, co Rashaverak o tym myśli. Czy jego zachowanie nie było przypadkiem zachowaniem antropologa przyglądającego się jakiemuś

prymitywnemu obrzędowi? Sytuacja była zupełnie nierealna i absurdalna i George czuł się tak głupio jak jeszcze nigdy w życiu.

Jeśli pozostali myśleli podobnie, to udawało im się to ukryć. Jedynie Jean była podniecona i zaczerwieniona, lecz mógł to być skutek wypitych drinków.

— Wszyscy już siedzą? — zapytał Rupert. — W porządku. — Zrobił dramatyczną pauzę, a następnie nie zwracając się do nikogo w szczególności, spytał poważnym tonem: — Czy jest tu ktoś?

George poczuł, że dysk lekko drży pod jego palcami. Nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę nacisk wywierany nań przez ręce sześciu siedzących wokół ludzi. Krążek zatoczył małą ósemkę i wrócił na środek stołu.

— Czy jest tu ktoś? — powtórzył Rupert i dodał wyjaśniająco: — Często mija dziesięć do piętnastu minut, zanim się zacznie. Jednak czasem…

— Psst! — szepnęła Jean.

Krążek poruszył się. Zaczął szerokim łukiem krążyć między tabliczkami z napisem „Tak” i „Nie”. George z trudem stłumił chichot. Ciekawe, co oznaczałaby odpowiedź „Nie”? Przypomniał mu się stary dowcip: „Nikogo tu nie ma, panie, tylko my, mrówki”.

Jednak odpowiedzią było „Tak”. Dysk szybko wrócił na środek stołu. Teraz zdawał się żywym stworzeniem. czekającym na następne pytanie. Wbrew samemu sobie, George poczuł lekkie zainteresowanie.

— Kim jesteś? — zapytał Rupert.

Teraz krążek bez wahania zaczął wskazywać litery. Śmigał po stole jak rozumna istota, poruszając się tak szybko, że George momentami z trudem utrzymywał na nim palce. Mógłby przysiąc, że nie miał udziału w jego ruchach. Szybko rozejrzawszy się wokół, nie dostrzegł w twarzach przyjaciół niczego podejrzanego. Byli tak samo spięci i zainteresowani jak on.

— JESTEMWSZYSTKIM — przeliterowała płytka i wróciła do punktu równowagi.

— Jestem wszystkim — powtórzył Rupert. — To typowa odpowiedź. Wymijająca, ale stymulująca. Prawdopodobnie oznacza, że nie ma tu nic prócz naszych połączonych umysłów. — Przerwał na chwilę, najwidoczniej rozmyślając nad następnym pytaniem. Później jeszcze raz zapytał: — Czy masz jakieś posłanie dla kogokolwiek z nas?

— NIE — natychmiast odparła płytka. Rupert popatrzył na przyjaciół.

— Pozostawia nam inicjatywę. Niekiedy samo chętnie udziela informacji, ale tym razem musimy zadawać konkretne pytania. Czy ktoś ma ochotę zacząć?

— Czy jutro będzie padać deszcz? — zapytał kpiąco George.

Krążek natychmiast zaczął poruszać się po linii łączącej „Tak” i „Nie”.

— To głupie pytanie — karcąco powiedział Rupert. — Gdzieś z pewnością będzie padać, a gdzieś nie. Zadawaj pytania, na które można udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

George poczuł się jak skarcony uczniak. Postanowił nie zadawać następnego pytania.

— Jaki jest mój ulubiony kolor? — zapytała Maja.

— NIEBIESKI — padła natychmiast odpowiedź.

— Zgadza się.

— Ależ to niczego nie dowodzi. Spośród obecnych wiedzą o tym co najmniej trzy osoby — wytknął George.

— Jaki jest ulubiony kolor Ruth? — spytał Benny.

— CZERWONY.

— Czy to prawda, Ruth?

Notująca przebieg eksperymentu żona Shoenberga uniosła głowę znad notatnika.

— Tak, to prawda. Ale wie o tym Benny, a on jest w kręgu.

— Nie wiedziałem — odparł Benny.

— A powinieneś, psiakrew, tyle razy ci o tym mówiłam!

— Pamięć podświadoma — mruknął Rupert. — To się często zdarza. Słuchajcie, proszę, czy nie możemy zadać paru inteligentnych pytań? Teraz, kiedy tak dobrze idzie, nie chciałbym tego zepsuć.

To dziwne, ale trywialność zjawiska zaczęła robić wrażenie na George’u. Był pewien, że można je wytłumaczyć, nie odwołując się do sił nadprzyrodzonych; jak powiedział Rupert, płytka po prostu reagowała na podświadome ruchy ich mięśni. Jednak ten fakt sam w sobie był zaskakujący i robił wrażenie;

George nigdy nie uwierzyłby, że można w ten sposób otrzymywać tak szybkie i dokładne odpowiedzi. Za którymś razem próbował sprawić, by krążek podał jego imię. Udało mu się z „G”, lecz reszta była bezsensownym zlepkiem liter. „To rzeczywiście niemożliwe — pomyślał — aby jedna osoba bez udziału pozostałych przejęła kontrolę nad spodkiem”.

Po pół godzinie Ruth miała już zanotowanych ponad tuzin wiadomości. Niektóre były dość długie. Czasem zdarzały się pomyłki ortograficzne lub stylistyczne, ale było ich niewiele. Na czymkolwiek opierało się to zjawisko, George był pewien, że nie mógł świadomie wpłynąć na wyniki. Kilka razy, gdy stolik literował jakieś słowo, próbował przewidzieć następną literę, a w konsekwencji treść wiadomości. W każdym przypadku płytka zachowywała się zupełnie nieoczekiwanie i wychodziło zupełnie coś innego. Chwilami istotnie — ponieważ nie było przerw wskazujących na koniec jednego słowa i początek następnego — odpowiedź wydawała się pozbawiona sensu,

dopóki nie była pełna i póki Ruth nie przeczytała jej na głos.

Cały ten eksperyment sprawił, że George miał niesamowite wrażenie obcowania z jakimś skupionym, niezależnym umysłem. A jednak nie było na to żadnego jednoznacznego dowodu. Odpowiedzi były tak trywialne, tak ogólnikowe. Cóż, na przykład, można wywnioskować z takiej:

WIERZCIEWCZLOWIEKAPRZYRODAJESTZWAMI.

Czasem jednak odpowiedzi sugerowały rzeczy głębsze i bardziej niepokojące:

PAMIĘTAJCIECZLOWIEKNIEJESTSAMOBOKCZLOWIEKAJESTE

Przecież o tym, rzecz jasna, wszyscy wiedzieli. A jednak czy można było mieć pewność, że wiadomość dotyczyła tylko Zwierzchników?

George'owi chciało się już bardzo spać. „Najwyższy czas — pomyślał sennie — udać się do domu". Wszystko to było bardzo intrygujące, ale do niczego nie prowadziło, a nawet smacznym tortem można się przejeść. Rozejrzał się wokół. Benny wyglądał, jakby czuł się podobnie. Maja i Rupert mieli już lekko szkliste spojrzenia, a Jean… No cóż, ona brała to wszystko zbyt poważnie. Jej wygląd zaniepokoił George'a. Sprawiała wrażenie osoby obawiającej się przerwać seans — a jednocześnie pełnej lęku przed jego kontynuowaniem.

Pozostał więc tylko Jan. George zastanawiał się, co chłopak myśli o swoim ekscentrycznym szwagrze. Młody inżynier nie zadawał żadnych pytań i nie okazywał zdziwienia odpowiedziami krążka. Wydawało się, że traktuje seans jak kolejne zjawisko naukowe wymagające zbadania.

Rupert ocknął się z letargu, w jaki zdawał się zapadać.

— Jeszcze jedno pytanie — powiedział — i będziemy mogli uznać, że poszło nieźle. Może ty, Jan? Jeszcze o nic nie pytałeś.

Zdumiewające było to, że Jan w ogóle się nie zawahał. Jakby miał to pytanie już od dawna przygotowane i tylko czekał na okazję. Spojrzał na nieruchomą sylwetkę Rashaveraka, po czym zapytał wyraźnym, spokojnym głosem:

— Która gwiazda jest słońcem świata Zwierzchników?

Rupert powstrzymał się i nie gwizdnął z podziwu. Maja i Benny wcale nie zareagowali. Jean zamknęła oczy i zdawała się spać. Rashaverak pochylił się naprzód, tak że przez ramię Ruperta mógł widzieć krążek.

Płytka zaczęła się poruszać. Kiedy wreszcie zatrzymała się, nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległ się zdziwiony głos Ruth:

— Co to jest NGS 549672? Nie doczekała się odpowiedzi, ponieważ w tejże chwili George zawołał niespokojnie:

— Pomóżcie mi podnieść Jean. Obawiam się, że zemdlała.

— Ten Boyce — powiedział Karellen. — Opowiedz mi o nim.

Oczywiście, Kontroler nie użył tych właśnie słów, a i myśli, które wyraził, były dużo bardziej zawiłe. Przysłuchujący się temu człowiek odebrałby krótką serię modulowanych dźwięków przypominającą przyspieszony nadajnik Morse'a w akcji. Chociaż zarejestrowano wiele próbek języka Zwierzchników, opierał się on wszelkim próbom analizy ze względu na maksymalne zagęszczenie przekazywanych w nim informacji. Szybkość przekazu była tak wielka, że żaden tłumacz, nawet gdyby opanował ten jęzpk, nie byłby w stanie dotrzymać kroku normalnie rozmawiającym Zwierzchnikom.

Kontroler stał odwrócony plecami do Rashaveraka, spoglądając w różnobarwną otchłań Kanionu Kolorado. Dziesięć kilometrów dalej słońce oblewało swym blaskiem niemal nie zatarte odległością tarasowate urwisko. Setki metrów niżej, w cieniu ściany, na krawędzi której stał Karellen, karawana mułów podążała krętą ścieżką w głąb kanionu. „To dziwne — pomyślał Karellen — że wciąż jeszcze tylu ludzi korzysta z każdej okazji, aby zachowywać się prymitywnie. Gdyby chcieli, mogliby przecież dotrzeć na dno parowu w ułamku tego czasu i w dużo wygodniejszy sposób. Jednak woleli męczyć się na szlaku, który prawdopodobnie był tak niebezpieczny, jak na to wyglądał".

Karellen nieznacznie poruszył ręką. Wielka panorama zniknęła, pozostawiając jedynie gęsty mrok. Realia urzędu i zajmowanej pozycji raz jeszcze przytłoczyły Kontrolera.

— Rupert Boyce to dość ciekawa postać — odrzekł Rashaverak. — Odpowiada zawodowo za stan zdrowia zwierzyny w Głównym Rezerwacie Afrykańskim. Pracuje z zaangażowaniem i ma dobre wyniki. Ponieważ musi obserwować kilka tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni, dostał jedną z piętnastu kamer panoramicznych, jakie dotychczas pożyczyliśmy ludziom, oczywiście ze zwykłymi zabezpieczeniami. Akurat jest to jedyna mająca możliwość pełnej projekcji. Udało mu się przekonująco uzasadnić taką potrzebę, więc poszliśmy mu na rękę.

— Jak to uzasadniał?

— Chciał, by różne dzikie zwierzęta przyzwyczaiły się do jego obecności i nie atakowały go, kiedy pojawi się we własnej osobie. Udawało mu się to dość dobrze ze zwierzętami, które bardziej polegają na wzroku niż na węchu, chociaż zapewne w końcu zostałby kiedyś zabity. Ponadto był jeszcze jeden powód, dla którego pozwoliliśmy mu korzystać z naszego aparatu.

— Stał się przez to bardziej skłonny do współpracy?

— Właśnie. Początkowo skontaktowałem się z nim, ponieważ posiada jeden z najbogatszych na świecie zbiorów bibliotecznych dotyczący parapsychologii i dziedzin pokrewnych. Grzecznie, ale stanowczo odmówił wypożyczenia którejkolwiek z nich, więc chcąc nie chcąc musiałem go poprosić o gościnę. Do tej pory przeczytałem połowę jego zbioru. To ciężka praca.

— Wierzę — rzekł sucho Karellen. — Czy odkryłeś w tych śmieciach coś godnego uwagi?

— Tak. Jedenaście pewnych przypadków częściowego przebicia i dwadzieścia siedem prawdopodobnych. Jednak materiał jest dobrany tak przypadkowo, że nie można go użyć jako próbki reprezentatywnej dla celów statystycznych. Poza tym, rzeczy wartościowe mogące stanowić pewien dowód, są beznadziejnie zabarwione mistycyzmem, może największą aberracją ludzkich umysłów.

— A jaki jest stosunek Boyce'a do tego wszystkiego?

— Udaje otwartego na nowości sceptyka, lecz jest oczywiste, że nie poświęciłby tyle czasu i trudu tym sprawom, gdyby podświadomie w nie nie wierzył. Wykazałem mu to i przyznał, że prawdopodobnie mam rację. Chciałby znaleźć jakiś przekonujący dowód. Zapewne dlatego wciąż przeprowadza te eksperymenty, chociaż udaje, że to tylko zabawa.

— Jesteś pewien, że nie podejrzewa, iż twoje zainteresowanie nie jest jedynie akademickie?

— Całkowicie! Boyce pod wieloma względami jest tępy i prostoduszny. To sprawia, że jego próby badań w tej dziedzinie są skazane na niepowodzenie. Nie ma potrzeby podejmowania jakiejkolwiek dotyczącej go akcji.

— Rozumiem. A ta dziewczyna, która zemdlała?

— To najciekawszy element tej sprawy. Niemal na pewno Jean Morrel była kanałem, przez który nadeszła informacja. Jednak ona ma dwadzieścia sześć lat, stanowczo zbyt wiele, aby sama mogła być pierwotnym kontaktem. Wynika z tego, że musiał to być ktoś blisko z nią związany. Wniosek jest oczywisty. Może nie będziemy musieli czekać wiele lat. Musimy ją przeklasyfikować do kategorii purpurowej; może się okazać, że jest najważniejsza spośród żyjących ludzi.

— Zrobię to. A co z tym młodym człowiekiem, który zadał pytanie? Czy była to przypadkowa ciekawość, czy też miał jakiś inny powód?

— Znalazł się tam przypadkowo, jego siostra właśnie wyszła za mąż za Ruperta Boyce'a. Przedtem nie spotkał żadnego z gości. Jestem pewien, że pytanie było niezamierzone, zainspirowane niezwykłymi okolicznościami i prawdopodobnie moją obecnością. Biorąc to pod uwagę, trudno się dziwić, że je zadał. Żywo interesuje sią

astronautyka; jest sekretarzem Studenckiego Koła Miłośników Astronautyki na Uniwersytecie Kapsztadzkim i najwyraźniej zamierza poświęcić tym studiom resztę życia.

— Jego kariera może być interesująca. Przy okazji: jak sądzisz, jakie podejmie działania i co mamy z nim zrobić?

— Niewątpliwie sprawdzi kilka rzeczy najszybciej, jak będzie mógł. Jednak w żaden sposób nie uda mu się potwierdzić tej informacji, a ze względu na dość szczególny sposób jej uzyskania jest mało prawdopodobne, aby ją opublikował. A nawet jeśli to zrobi, czy to w ogóle wpłynie na bieg wydarzeń?

— Muszę przeanalizowć obie możliwości — odparł Karellen. — Chociaż nieujawnianie naszej bazy jest częścią obowiązującej dyrektywy, nie ma właściwie możliwości, aby ta informacja mogła być wykorzystana przeciwko nam.

— Zgadzam się z tym. Rodericks będzie miał nie sprawdzoną informację, bez żadnej praktycznej wartości.

— Tak mogłoby się wydawać — rzekł Karellen. — Jednak nie bądźmy zbyt pewni siebie. Ludzie są bardzo pomysłowi, a często bardzo uparci. Nie wolno ich nie doceniać, tak więc obserwowanie dalszej kariery pana Roderickса może okazać się interesujące. Muszę o tym później pomyśleć.

Rupert Boyce nigdy nie pojął, co naprawdę się wydarzyło. Kiedy goście, mniej hałaśliwie niż zazwyczaj, pożegnali się i odeszli, w zadumie przetoczył stolik z powrotem w kąt. Wywołany alkoholem lekki szum w głowie zapobiegł głębszej analizie minionych wydarzeń; zresztą fakty zaczęły mu się już nieco zacierać w pamięci. Niewyraźnie zdawał sobie sprawę, że zdarzyło się coś ważnego, ale nie wiedział co i zastanawiał się, czy nie powinien tego omówić z Rashaverakiem. Przemyślawszy rzecz gruntownie, doszedł do wniosku, że byłoby to nietaktowne. Mimo wszystko to miody Jan spowodował całe zamieszanie i Rupert był na niego trochę zły. Jednak czy to naprawdę wina Jana? Czy w ogóle ktoś tu zawinił? Sam przecież też nie czuł się w porządku, w końcu to był jego eksperyment. Pomyślał, że najlepiej zapomnieć o całej sprawie. I udało mu się to.

Może podjąłby jakieś działania, gdyby odnaleziono ostatnią stronę notatek Ruth, ale przepadła gdzieś w czasie zamieszania. Jan udawał, że o niczym nie wie, a raczej trudno było oskarżać Rashaveraka. I nikt nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie było treścią wiadomości, nikt też nie pamiętał tych liter, a tylko to, że wydawały się zupełnie bezsensowne.

Osobą, która najbardziej przejęła się owym zdarzeniem, był George Greggson. Na całe życie zapamiętał uczucie, jakiego doznał, gdy Jean zesztywniała mu w rękach. W jednej chwili przeobraziła się z miłej towarzyszki w bezbronną istotę wymagającą czułości i opieki.

Kobiety mdlały, nie zawsze wbrew swej woli, od niepamiętnych czasów, a mężczyźni nieodmiennie zachowywali się wtedy jak należy. Utrata przytomności nastąpiła u Jean zupełnie spontanicznie, lecz nie zrobiłaby większego wrażenia, gdyby była zaplanowana. W tym momencie George — jak to później pojął — podjął jedną z najważniejszych decyzji w swoim życiu. Jean z pewnością była dziewczyną, która dużo dla niego znaczyła, mimo iż miewała niesamowite pomysły i jeszcze bardziej niesamowitych przyjaciół.

Nie zamierzał całkowicie rezygnować z Naomi, Joy, Elzy lub — jak jej było na imię? — Denise, ale nadszedł czas na jakiś trwalszy związek. Nie wątpił, że Jean się zgodzi; jej uczucia od początku były oczywiste.

Na decyzję tę wpłynął jeszcze inny czynnik, z którego nie zdawał sobie sprawy. Doświadczenie tej nocy osłabiło niechęć i sceptycyzm wobec szczególnych zainteresowań Jean. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale tak właśnie było i ten fakt usuwał ostatnią dzielącą ich barierę.

Patrzył na bladą, lecz spokojną Jean leżącą na odchylonym w tył fotelu glidera. Pod nimi rozciągał się mrok, nad nimi lśniły gwiazdy. George nie za bardzo wiedział, gdzie się znajduje, lecz tysiąc kilometrów w tę czy w tamtą nie robiło mu różnicy. Zajmował się tym automat, który pilotował ich do domu i — co było widać na desce rozdzielczej — miał ich tam doprowadzić za pięćdziesiąt siedem minut.

Jean odpowiedziała mu uśmiechem i delikatnie wyjęła rękę z jego dłoni.

— Zdrętwiałam — wyjaśniła, poruszając palcami. — Chciałabym, żebyś mi uwierzył, że czuję się już doskonale.

— A jak myślisz, co się stało? Bo chyba coś pamiętasz?

— Nie, mam w głowie kompletną pustkę. Usłyszałam pytanie Jana i nagle wszyscy zaczęliście biegać koło mnie. Jestem pewna, że to jakiś trans. Zresztą…

Przerwała na chwilę, a potem postanowiła nie mówić George'owi, że takie omdlenia zdarzały się jej już wcześniej. Wiedziała, co myśli o takich sprawach i nie chciała denerwować go jeszcze bardziej, a może nawet całkiem go odstraszyć.

— Co, zresztą? — zapytał George.

— Och, już nic. Zastanawiam się, co o tym wszystkim pomyślał sobie Zwierzchnik. Prawdopodobnie zdobył więcej materiału do rozważań niż zamierzał. — Jean lekko drgnęła i w jej oczach pojawił się lęk. — George, ja się boję Zwierzchników. Nie chodzi mi o to, że uosabiają Zło czy tym podobne idiotyzmy. Jestem pewna, że pragną naszego dobra i robią dla nas to, co uważają za najlepsze. Zastanawiam się po prostu, jakie są ich plany?

George poruszył się niespokojnie.

— Ludzie próbują to odgadnąć, od kiedy Zwierzchnicy przybyli na Ziemię — powiedział. — Poinformują nas, kiedy uznają za stosowne, a prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Zresztą, mam na głowie ważniejsze sprawy.

Obrócił się do Jean i ujął ją za ręce.

— Co powiedziałabyś na to, żebyśmy poszli jutro do Archiwów i podpisali umowę, powiedzmy… na pięć lat.

Jean przez chwilę spoglądała na niego badawczo, po czym doszła do wniosku, że w sumie podoba jej się to, co zobaczyła.

— Niech będzie dziesięć — powiedziała.

Jan czekał, aż nadejdzie jego czas. Nie było powodu do pośpiechu, a chciał wszystko dokładnie przemyśleć. Wyglądało niemal tak, jakby bał się to sprawdzić, nie chcąc, aby niezwykła szansa, która pojawiła się przed nim, nie zniknęła zbyt szybko. Dopóki nie wiedział na pewno, mógł przynajmniej marzyć.

Zresztą, chcąc podjąć jakiekolwiek działanie, musiałby zobaczyć się z bibliotekarką Obserwatorium. Dobrze znała zarówno jego, jak i jego zainteresowania i na pewno zaciekawiłaby ją ta prośba. Prawdopodobnie nie miałoby to żadnego znaczenia, ale Jan postanowił niczego nie pozostawiać przypadkowi. Wiedział, że był przesadnie ostrożny, ale dodawało to przedsięwzięciu posmaku przygody. Równie mocno obawiał się śmieszności, jak i tego, co mogą zrobić Zwierzchnicy, aby go powstrzymać. Jeśli jego teoria miała się okazać pościgiem za cieniem, wolał, aby nikt o tym nie wiedział.

Miał świetny powód, aby udać się do Londynu: uzgodniono to już kilka tygodni wcześniej. Chociaż zbyt młody i niedostatecznie wykwalifikowany aby być delegatem, znalazł się jednak w grupie trzech studentów, którym pozwolono przyłączyć się do oficjalnej delegacji na międzynarodową konferencję Stowarzyszenia Astronomów. Pozostało jakieś wolne miejsce, szkoda wiec byłoby stracić okazję, szczególnie, że nie był w Londynie od dziecka. Wiedział, że niewiele prelekcji zaprzątnie jego uwagę, nawet gdyby zdołał je zrozumieć. Podobnie jak delegaci na inne konferencje naukowe zapisze się na te odczyty, które wydają się najbardziej interesujące, a resztę czasu spędzi na rozmowach z innymi entuzjastami i na zwiedzaniu zabytków.

W ciągu ostatnich piętnastu lat Londyn bardzo się zmienił. Liczył teraz zaledwie dwa miliony ludzi i sto razy tyle maszyn. Przestał być wielkim portem, bo teraz każdy kraj był niemal całkowicie samowystarczalny i w ten sposób światowy handel uległ gruntownej przemianie. Niektóre produkty najlepiej wytwarzano w pewnych krajach, ale transportowano je drogą powietrzną wprost do odbiorców. Szlaki handlowe, które kiedyś zbiegały się w wielkich

portach, a później na wielkich lotniskach, w końcu rozpłynęły się w pokrywającej świat gęstej pajęczynie lotniczych połączeń.

Jednak pewne rzeczy się nie zmieniły. Miasto pozostało ośrodkiem administracji, sztuki i nauki. W tych dziedzinach nie mogła z nim rywalizować żadna z kontynentalnych stolic, nawet Paryż, choć wielu twierdziło coś zupełnie przeciwnego. Żyjący w Londynie sto lat wcześniej mieszczuch także i dziś, przynajmniej w śródmieściu, odnalazłby bez trudu drogę. Nad Tamizą przerzucono nowe mosty, ale stanowiły one przedłużenie starych ulic. Wielkie, brudne dworce kolejowe zniknęły — przeniesiono je na przedmieścia. Gmach Parlamentu stał jednak jak dawniej, Nelson spoglądał z góry swoim jedynym okiem na Whitehall, a kopuła katedry Świętego Pawła nadal wznosiła się na Ludgate Hill, chociaż teraz wyższe budynki rzucały wyzwanie jej poprzedniej wielkości.

A przed Pałacem Buckingham nieodmiennie defilowali gwardziści…

Wszystko to, myślał Jan, może poczekać. Był właśnie okres wakacji i razem z dwoma pozostałymi studentami zakwaterowano go w domu akademickim uniwersytetu. Bloombury również pozostało sobą; mimo upływu stu lat nadal stanowiło enklawę hoteli i pensjonatów, mimo iż nie przylegały już one do siebie tak ciasno i nie tworzyły nie kończących się, identycznych szeregów z zakopconej cegły.

Dopiero drugiego dnia trwania kongresu Jan dostrzegł swoją szansę. Najważniejsze odczyty wygłaszano w wielkiej auli Centrum Nauk, w pobliżu Hali Koncertowej, która w tak wielkim stopniu przyczyniła się do tego, że Londyn stał się muzyczną stolicą świata. Jan zamierzał wysłuchać pierwszego z zaplanowanych na ten dzień wykładów, o którym wieść niosła, że miał rozbić w proch dotychczasowe teorie powstawania planet.

Może istotnie tak się stało, lecz opuszczając salę, Jan był niewiele mądrzejszy niż przedtem. Zbiegł na dół, aby odnaleźć na planie obiekty, które miał zamiar zwiedzić.

Jakiś dowcipny urzędnik umieścił siedzibę Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego na najwyższym piętrze wielkiego budynku, ustanawiając to aktem, który członkowie Towarzystwa w pełni doceniali, gdyż dzięki niemu mieli wspaniały widok na całą północną część miasta na drugim brzegu Tamizy. W pobliżu nie było nikogo, ale Jan, na wypadek indagacji niosąc w ręce swoją kartę uczestnika jak paszport, bez trudu odnalazł bibliotekę.

Blisko godzinę zajęło mu odnalezienie tego, czego szukał i nauczenie się korzystania z wielkich katalogów gwiazd zawierających miliony haseł. Zbliżając się do końca swoich poszukiwań, drżał z niecierpliwości i cieszył się, że w sąsiedztwie nie było nikogo, kto

zobaczyłby, jak bardzo jest zdenerwowany.

Odłożył katalog na miejsce i przez długą chwilę siedział nieruchomo, wbijając niewidzące spojrzenie w ścianę książek. Potem powoli wyszedł na opustoszały korytarz obok biura sekretariatu (ktoś tam był, zajęty rozpakowywaniem książek) i ruszył schodami w dół. Nie pojechał windą, bo chciał być sam i mieć swobodę ruchów. W programie figurował jeszcze jeden wykład, którego zamierzał wysłuchać, ale teraz nie było to już takie ważne.

Oparł się o balustradę i usiłując pozbierać myśli, zapatrzył się w niespiesznie podążającą ku morzu Tamizę. Niełatwo było komuś wychowanemu w duchu racjonalistycznym zaakceptować dowód, który właśnie odkrył. Oczywiście, nigdy nie zdobędzie absolutnej pewności, ale prawdopodobieństwo, że istotnie tak jest, było olbrzymie. Wolno spacerując wzdłuż balustrady, porządkował kolejne fakty.

Fakt numer jeden: na przyjęciu Ruperta nikt nie mógł przewidzieć, że Jan zamierza zadać to pytanie. Sam tego nie wiedział; w tamtych okolicznościach była to reakcja spontaniczna. Zatem nikt nie mógł przygotować odpowiedzi i czekać na jego pytanie.

Fakt numer dwa: symbol NGS 549672 oznacza cokolwiek prawdopodobnie tylko dla astronoma. Chociaż „Wielki Katalog Gwiazd" został skompletowany już przed stu laty, o jego istnieniu wiedziało jedynie kilka tysięcy specjalistów. Zaś wybierając zeń na chybił trafił jakiś numer, absolutnie nie można było przewidzieć z góry, w jakim rejonie nieba leży oznaczona nim gwiazda.

Jednak, i to był fakt numer trzy, który Jan odkrył właśnie przed chwilą, ta mała, niczym nie wyróżniająca się gwiazdka znana jako NGS 549672 znajdowała się dokładnie na właściwym miejscu. Leżała w centrum konstelacji Cariny, na końcu obserwowanego przez niego kilka dni wcześniej lśniącego szlaku, wiodącego przez głębie Układu Słonecznego.

Przypadek był wykluczony. NGS 549672 musi być ojczyzną Zwierzchników. Jednak zaakceptowanie tego faktu oznaczało dla Jana pogwałcenie wszystkich wpojonych mu zasad naukowego podejścia do każdego zjawiska. Bardzo dobrze, niech idą do diabła! Trzeba pogodzić się z faktem, że zwariowany eksperyment Ruperta w jakiś sposób otarł się o nieznane do tej pory źródło wiedzy.

Rashaverak? To było najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie całej sprawy. Wprawdzie Zwierzchnik nie był częścią kręgu, ale to pomniejszy problem. Zresztą Jana nie interesowały mechanizmy działań parapsychicznych, interesowały go jedynie ich rezultaty.

O NGS 549672 wiedziano bardzo niewiele. Nic jej nie wyróżniało spośród milionów innych gwiazd. Katalog podawał jednak jej wielkość, współrzędne i typ widma. Jan będzie musiał jeszcze trochę

poszperać i wykonać kilka prostych obliczeń; a wtedy, przynajmniej w przybliżeniu, dowie się, jak odległy od Ziemi jest świat Zwierzchników.

Uśmiech powoli wypływał na twarz Jana, gdy wracał znad Tamizy ku białej fasadzie Centrum Nauki. Wiedza to potęga, a on był jedynym człowiekiem znającym pochodzenie Zwierzchników. Na razie nie miał pojęcia, jak zużytkuje tę wiedzę. Bezpiecznie ukryta w jego umyśle miała oczekiwać na odpowiedni moment.

Ludzka rasa nadal wygrzewała się w ciepłym słońcu długiego, bezchmurnego letniego popołudnia, jakim był okres pokoju i dobrobytu. Czy kiedykolwiek nadejdzie zima? To było nie do pomyślenia. Nareszcie nastąpił wiek rozumu, przedwcześnie ogłoszony dwa i pół wieku temu przez przywódców rewolucji francuskiej. Tym razem nie było pomyłki.

Oczywiście, były pewne minusy, chociaż chętnie się na nie godzono. Jedynie bardzo starzy ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że gazety, które drukowano w domach przy pomocy telefaksów, były w rzeczywistości bardzo nudne. Minęły kryzysy będące dawniej powodem krzykliwych nagłówków na pierwszych stronach. Nie popełniano już tajemniczych morderstw wystawiających policję na ogień krytyki i rozdymających moralnym potępieniem miliony piersi, w których głębi kryły się często porywy zazdrości. Morderstwa, jakie zdarzały się teraz, nigdy nie były tajemnicze: wystarczyło tylko wybrać odpowiedni numer na kamerze wizyjnej i można było odtworzyć scenę zbrodni. To, że istniały podobne instrumenty, wywołało początkowo sporą panikę nawet w środowisku obywateli szanujących prawo. Był to fakt, jakiego nie przewidzieli Zwierzchnicy, choć zdołali poznać większość zakamarków ludzkiej natury. Trzeba było absolutnie niedwuznacznie wyjaśnić, że nikt nie będzie mógł podpatrywać innych i że te kamery, które znajdują się w rękach ludzi, są dokładnie kontrolowane.

Na przykład projektor Ruperta Boyce'a miał zasięg ograniczony do obszaru rezerwatu, w którym jedynymi ludźmi byli Maja i on.

Nawet te nieliczne zbrodnie, które zostały popełnione, nie zwróciły na siebie większej uwagi środków przekazu. Dobrze wychowani ludzie nie chcieli czytać o gafach popełnianych przez innych.

Tydzień pracy liczył teraz mniej więcej dwadzieścia godzin, ale ten czas nie był synekurą. Praca, jaką trzeba było wykonać, zawierała w sobie niewiele rutynowych, mechanicznych czynności. Ludzkie umysły były zbyt cenne, aby obciążać je zadaniami, które mogło wykonać kilka tysięcy tranzystorów i fotokomórek oraz metr sześcienny obwodów drukowanych. Niektóre fabryki pracowały całymi tygodniami bez potrzeby ingerencji choćby jednego człowieka.

Ludzie byli niezbędni tam, gdzie okoliczności wymagały uporania się z kłopotami, gdzie trzeba było podejmować decyzje lub planować pewne przedsięwzięcia. Resztę robiły roboty.

Taki nadmiar wolnego czasu przed stu laty byłby przyczyną ogromnych perturbacji. Z większością z nich uporano się poprzez odpowiednią edukację, ponieważ dobrze wykształcony umysł nie musi obawiać się nudy. Ogólna kultura wzniosła się na poziom, który kiedyś wydawałby się fantastyczny. Nic nie wskazywało na to, że wzrosła przy tym ogólna inteligencja rasy ludzkiej, ale po raz pierwszy każdy miał pełną możliwość wykorzystania wszystkich możliwości swojego umysłu.

Większość ludzi posiadała po dwa domy w bardzo oddalonych od siebie miejscach świata. Teraz, kiedy podbito obszary podbiegunowe, spora część ludzkiej populacji co sześć miesięcy przenosiła się z Arktyki na Antarktydę w pogoni za długim, pozbawionym nocy polarnym latem. Inni ruszyli na pustynie, w góry, a nawet w głąb mórz. Nie było na planecie miejsca, gdzie wiedza i technologia nie potrafiłyby stworzyć odpowiedniego mieszkania komuś, kto bardzo tego pragnął.

Niektóre bardziej ekscentryczne miejsca zamieszkania dostarczały nowych dreszczyków emocji. Nawet w najlepiej urządzonych społeczeństwach zdarzają się wypadki. Być może należało uznać za pozytywny fakt, że ludzie wciąż odczuwali potrzebę ryzykowania i czasami skręcali kark z powodu przytulnej willi przylepionej do zbocza Everestu lub spoglądania przez mgłę zasłony wodnej wodospadu Wiktorii. W rezultacie wciąż gdzieś kogoś ratowano. Stało się to rodzajem ogólnoplanetarnych zawodów, niemal sportem.

Ludzi bawiły takie kaprysy, ponieważ mieli zarówno czas, jak i pieniądze. Likwidacja sił zbrojnych prawie natychmiast podwoiła światowy majątek, a reszty dokonała wzrastająca produkcja. W efekcie trudno było porównywać poziom życia obywatela dwudziestego pierwszego wieku z jakimkolwiek poprzednim.

Wszystko było tak tanie, że rzeczy niezbędne do życia otrzymywano za darmo i traktowano je jako świadczenia socjalne, tak jak kiedyś drogi, wodę, oświetlenie uliczne czy kanalizację. Każdy mógł podróżować dokądkolwiek miał ochotę i jeść, co chciał, nie wydając ani grosza. Miał do tego prawo jako pracujący członek społeczeństwa.

Oczywiście, trafiali się i próżniacy, ale liczba ludzi mających wystarczająco silną wolę, aby oddawać się absolutnej bezczynności jest znacznie mniejsza niż się powszechnie uważa. Utrzymywanie tych pasożytów było dużo mniej kłopotliwe niż angażowanie armii kontrolerów, sprzedawców, maklerów i tak dalej, których jedynym zadaniem, najogólniej rzecz biorąc, było przenoszenie cyfr z jednej

księgi rachunkowej do drugiej. Jak obliczono, prawie czwartą część energii społeczeństwa pochłaniały teraz różne rodzaje sportu, poczynając od takich spokojnych zajęć jak gra w szachy, a kończąc na tak śmiertelnie niebezpiecznych jak loty narciarskie nad górskimi dolinami. Nieoczekiwanym skutkiem ubocznym był zanik sportu zawodowego. Pojawiło się zbyt wielu utalentowanych amatorów, a zmiana warunków finansowych wykazała absurdalność starego systemu.

Zaraz po przemyśle sportowym największym przemysłem stała się rozrywka, i to wszelkie jej rodzaje. Po upływie niemal stu lat nadal istnieli ludzie, którzy wierzyli, że stolicą świata jest Hollywood. Teraz mieli jeszcze poważniejsze podstawy, aby tak twierdzić, ale bezpieczniej było mówić, że większość produkcji z lat pięćdziesiątych drugiego tysiąclecia wydawałaby się niezrozumiale przeintelektualizowana widzom z potowy dwudziestego wieku. Był jednak pewien postęp — księgowy nie był już panem wszystkiego, co żyje.

Wśród tych różnorakich zabaw i rozrywek dostępnych na planecie, która zdawała się na najlepszej drodze do przeistoczenia się w jeden wielki lunapark, wciąż jeszcze trafiali się ludzie mający czas, aby powtarzać odwieczne pytanie, pozostające ciągle bez odpowiedzi:

Skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy?

Jan nachylił się i oparł dłonie o chropowatą jak pień drzewa skórę słonia. Popatrzył na wielkie kły i wygiętą trąbę, którą kunszt dermoplasty uchwycił w geście wyzwania lub pozdrowienia. „Jakież niezwykle stworzenia — rozmyślał — i na jakich nieznanych światach popatrzą kiedyś na tego wygnańca z Ziemi?”

— Ile zwierząt posłałeś Zwierzchnikom? — zapytał Ruperta.

— Co najmniej pięćdziesiąt, ale ten jest oczywiście największy. Wspaniały, prawda? Większość pozostałych eksponatów to małe sztuki: motyle, węże, małpy ł tak dalej, Jednak w zeszłym roku dopadłem hipka.

Jan uśmiechnął się krzywo.

— To przerażająca myśl, ale przypuszczam, że w swojej kolekcji mają już pięknie zabalsamowaną grupkę homo sapiens. Zastanawiam się, komu przypadł ten zaszczyt.

— Pewnie masz rację — powiedział niezbyt przejęty Rupert. — Można to bez trudu załatwić przez szpitale.

— A co stałoby się — kontynuował w zadumie Jan — gdyby ktoś zechciał na ochotnika polecieć do gwiazd jako żywy przedstawiciel gatunku? Zakładając, oczywiście, że zapewniono by mu ewentualny powrót.

Rupert zaśmiał się nie bez pewnej sympatii.

— Czy to oferta? Czy mam ją przekazać Rashaverakowi?

Jan przez chwilę potraktował ten pomysł niemal na serio. Potem potrząsnął głową.

— Eee… Nie, dziękuję. Tylko głośno myślałem. Prawdopodobnie odrzuciliby moją kandydaturę. Ale, ale; często ostatnio widujesz się z Kontrolerem?

— Skontaktował się ze mną jakieś sześć tygodni temu. Wyszperał gdzieś książkę, której poszukiwałem. To miłe z jego strony.

Jan wolno okrążał wypchanego potwora, podziwiając zręczność, z jaką go utrwalono.

— Czy kiedykolwiek odkryłeś coś, czego on poszukuje? — zapytał. — Mam na myśli fakt, że niełatwo pogodzić naukę Zwierzchników z ich zainteresowaniem okultyzmem.

Rupert spojrzał na Jana nieco podejrzliwie, zastanawiając się, czy szwagier nie pokpiwa sobie z jego hobby.

— Zadowalam się jego wyjaśnieniami. Jako antropologa interesują go wszelkie aspekty naszej kultury. Pamiętaj, że oni mają mnóstwo czasu. Mogą zbadać każdy problem o wiele dokładniej, niż uczyniłby to jakikolwiek człowiek. Przeczytanie całej mojej biblioteki prawdopodobnie stanowiło dla Rashaveraka niewielki wysiłek.

Moca to być odpowiedź, ale Jan nie był o tym przekonany. Czasami zastanawiał się, czy nie wtajemniczyć we wszystko Ruperta, lecz nie pozwalała mu na to wrodzona ostrożność. Gdyby Rupert ponownie spotkał się ze swoim przyjacielem Zwierzchnikiem, zapewne zdradziłby się z czymś; pokusa byłaby zbyt wielka.

— A przy okazji — rzekł Rupert, zmieniając nagle temat. — Jeżeli uważasz, że to jest poważna praca, to powinieneś zobaczyć zadanie, jakie przypadło Sullivanowi! Obiecał dostarczyć dwa największe stworzenia na świecie: kaszalota i kałamamicę-olbrzyma. Stoczą ze sobą śmiertelną walkę. Cóż to będzie za widok!

Jan przez chwilę nic nie mówił. Pomysł, który nagle eksplodował mu w głowie, był zbyt zuchwały, zbyt fantastyczny, aby rozważać go na serio. A jednak właśnie z powodu tej brawury mógł się udać…

— Co się stało? — spytał niespokojnie Rupert. — Znużył cię upał?

Jan z trudem powrócił do rzeczywistości.

— Czuję się świetnie. Po prostu zastanawiałem się, jak Zwierzchnicy zabiorą taką małą paczuszkę jak ta?

— No cóż — powiedział Rupert. — Jeden z tych ich statków transportowych zejdzie na dół, otworzy luk i wrzuci ją do środka.

— Właśnie tak to sobie wyobrażam — powiedział Jan.

Mogła to być kabina statku kosmicznego, ale nie była. Ściany były pokryte licznikami i wskaźnikami; zamiast okien przed pilotem znajdował się duży, ciemny ekran. Statek mógł unieść sześciu pasażerów, ale w tej chwili Jan był jedynym obcym na pokładzie.

Z napięciem wpatrywał się w ekran, chłonąc przesuwający się przed jego oczyma krajobraz tego dziwnego, tajemniczego rejonu. Tajemniczego? A jakże! Tak samo jak wszystko, na co mógł się natknąć pośród gwiazd, jeśli jego szalony plan się powiedzie. Oto wkraczał w królestwo koszmarnych stworzeń polujących na siebie w ciemnościach panujących od zarania świata. Było to królestwo, nad którym ludzie żeglowali przez tysiące lat, a znajdowało się nie dalej jak kilometr pod stępkami ich statków. A jednak jeszcze przed stu laty ludzie znali je słabiej niż widoczną stronę Księżyca.

Pilot opuszczał się z wyżyn powierzchni oceanu ku wciąż nie zbadanym obszarom Południowej Niecki Pacyfiku. Jan wiedział, że pojazd prowadziła niewidzialna wiązka fal dźwiękowych, wytwarzanych przez boje leżące na dnie oceanu. Nadal unosili się nad tym dnem, dużo wyżej niż chmury nad powierzchnią Ziemi.

Niewiele można było zobaczyć; skanery łodzi podwodnej na próżno przeszukiwały wodę. Zakłócenia wytwarzane przez silniki odrzutowe prawdopodobnie odstraszały mniejsze ryby, a jeśli pojawi się teraz jakieś większe stworzenie, pragnąc ustalić przyczynę hałasu, to będzie tak duże, że w ogóle nie zna strachu.

Maleńka kabina dygotała mocą — mocą, która była zdolna powstrzymywać napór niesamowitego ciężaru wody nad ich głowami i mogła wytworzyć ten mały pęcherzyk powietrza i światła, wewnątrz którego mogli żyć ludzie. „Gdyby ta moc zawiodła — pomyślał Jan, staliby się więźniami metalowego grobowca zakopanego głęboko w mule dna oceanu”.

— Pora sprawdzić pozycję — oznajmił pilot.

Przerzucił szereg przełączników i łódź podwodna powoli wytraciła szybkość, gdy silniki przestały popychać ją do przodu. Statek zastygł w bezruchu, unosząc się w wodzie jak balon w atmosferze.

Sprawdzenie pozycji na ekranie sonaru trwało tylko chwilę. Skończywszy odczytywać wskazania przyrządów, pilot zaproponował, aby przed ponownym uruchomieniem silników sprawdzić, czy nie uda się czegoś usłyszeć.

Małe pomieszczenie wypełnił cichy, jednostajny pomruk. Jan nie potrafił wyłowić z niego żadnego dźwięku, który wyróżniałby się spośród pozostałych. Był to stały szum składający się z wielu zmieszanych ze sobą odgłosów. Jan wiedział, że słucha niezliczonej liczby morskich stworzeń mówiących jednocześnie. Miał wrażenie, że stoi pośrodku kipiącej życiem puszczy — choć wtedy z pewnością rozpoznałby niektóre odgłosy. Natomiast tutaj, w tej plątaninie dźwięków nie zdołał zidentyfikować ani wyróżnić żadnego. Wszystkie zdawały się tak obce, tak odległe od wszystkiego, czego kiedykolwiek doświadczył, że włosy stanęły mu dęba na głowie. A przecież była to część jego własnego świata.

Przez rozedrgany szum przedarł się głośny wrzask jak błysk pioruna na tle burzowej chmury. Szybko ścichł w upiorny skowyt, wycie, które zamarło, lecz w chwilę później znów wróciło z oddali. Nagle z głośnika buchnął chór wrzasków, pandemonium, które sprawiło, że pilot szybko sięgnął do regulatora siły dźwięku.

— Na Boga, cóż to takiego? — sapnął Jan.

— Niesamowite, prawda? To szkółka wielorybów, jakieś dziesięć kilometrów stąd. Wiedziałem, że są tu gdzieś w pobliżu i pomyślałem, że zechciałby ich pan posłuchać.

Jan wzdrygnął się.

— A ja zawsze myślałem, że morze jest milczące! Dlaczego one robią taki harmider?

— Sądzę, że rozmawiają ze sobą. Sullivan mógłby to panu wyjaśnić. Mówią, że umie nawet rozpoznać poszczególne osobniki, chociaż trudno w to uwierzyć. Hej, mamy towarzystwo!

Na ekranie widokowym pojawiła się ryba o niewiarygodnie rozwiniętych szczękach. Wyglądała na dość sporą, ale Janowi trudno było ocenić jej rozmiary, ponieważ nie znał skali obrazu na ekranie. Tuż pod skrzelami miała sterczący do przodu długi wyrostek, zakończony jakimś dzwonkowatym organem.

— Widzimy ją w podczerwieni — powiedział pilot. — Spójrzmy na normalny obraz.

Ryba zupełnie zniknęła. Pozostał tylko kielich na końcu wyrostka, świecący jasnym, fosforyzującym blaskiem. Później, po króciutkiej chwili uwidoczniła się sylwetka stworzenia, gdy wzdłuż jego ciała zabłysła linia światełek.

— To wędkarz. Tym światełkiem zwabia inne ryby. Fantastyczne, prawda? Nie rozumiem tylko, jak to się dzieje, że ta przynęta nie zwabia ryb na tyle dużych, aby mogły go zjeść? Jednak nie możemy tu stać cały dzień. Proszę go obserwować, gdy zapuszczę silniki.

Kiedy statek ruszył do przodu, kabina znów zadygotała. Wielka, lśniąca ryba zamrugała ze strachu wszystkimi światłami i z szybkością meteoru zniknęła w mrocznej otchłani.

Po dalszych dwudziestu minutach powolnego upadku niewidzialne palce promieni skanerów złapały pierwszy kontakt z oceanicznym dnem. Daleko w dole przesuwał się łańcuch niskich wzgórz o dziwnie łagodnie zaokrąglonych wierzchołkach. Jakiekolwiek nieregularności tych pagórków już dawno zostały zatarte nieustannym deszczem spadającym na nie z górnych warstw. Nawet tutaj, na środku Pacyfiku, daleko od ujść wielkich rzek wolno spłukujących do mórz całe kontynenty, ten deszcz nigdy nie przestawał padać. Jego przyczyną były rzeźbione przez burze zbocza Andów oraz miliardy żywych stworzeń jak również pył meteorów, które od wieków krążyły w przestrzeni i tu wreszcie znalazły miejsce

spoczynku. Tutaj, w mroku wiecznej nocy, tworzyły się podstawy przyszłych lądów.

Pagórki zostały w tyle. Były to forpoczty licznej armii, o czym Jan przekonał się, spoglądając na mapę rozległej, podmorskiej równiny leżącej na zbyt wielkiej głębokości, by mogły ją dosięgnąć skanery.

Lodź podwodna nadal gładko ześlizgiwała się w głębiny. Teraz na ekranie pojawił się kolejny obraz i z powodu dziwnego kąta widzenia Jan dopiero po pewnym czasie zrozumiał, co widzi. Pojął, że zbliżają się do podwodnej góry wznoszącej się nad podmorską równiną.

Obraz stał się wyraźniejszy; z bliska skanery miały lepszą rozdzielczość i widok był niemal tak dobry jak przy świetle dziennym. Jan mógł już dostrzec dalsze szczegóły i obserwować dziwaczne ryby ścigające się wśród skał. Widział, jak groźnie wyglądająca ryba z rozdziawionym pyskiem przepływała nad prawie niewidoczną szczeliną w skale. Tak szybko, że ledwie zdążył uchwycić to okiem, z rozpadliny wystrzeliła długa macka i wciągnęła szamoczącą się ofiarę.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział pilot. — Za minutę zobaczy pan laboratorium.

Wolno przepływali nad skalną ostrogą wystającą z podstawy góry. Powoli ukazywała się pod nimi rozległa równina i Jan domyślił się, że łódź unosi się najwyżej kilkaset metrów nad dnem oceanu. Może kilometr przed nimi dostrzegł pęk kuł stojących na trójnogach i połączonych grubymi rurami. Wyglądały dokładnie tak samo jak zbiorniki fabryki chemicznej i rzeczywiście ich konstrukcja opierała się na podobnych zasadach. Jedyna różnica polegała na tym, że te tutaj musiały opierać się ciśnieniu z zewnątrz, a nie od wewnątrz.

— A to co takiego? — zakrztusił się Jan.

Drżącym palcem wskazał najbliższą kulę. Intrygująca plątanina linii na jej powierzchni okazała się siecią gigantycznych macek. Kiedy łódź podwodna podpłynęła bliżej, Jan zobaczył, że zbiegały się w jeden wielki, mięsisty wór, z którego łypała para ogromnych oczu.

— To prawdopodobnie jest Lucyfer — powiedział spokojnie pilot. — Znowu ktoś go dokarmia.

Przerzucił jakiś przełącznik i pochylił się nad pulpitem.

— S2 wzywa Lab. Cumujemy. Czy ktoś zechce przegonić waszego pieszczocha? Odpowiedź przyszła szybko.

— Lab do S2. Okay. Ruszajcie i podłączajcie się. Lucek zejdzie wam z drogi.

Ekran wypełniły zakrzywione, metalowe ściany. Jan dostrzegł jeszcze pospiesznie umykające w mrok gigantyczne odnóże usiane przyssawkami. Potem usłyszał stłumiony łomot i serię zgrzytnięć, gdy obejmy cumownicze wyszukiwały uchwyty na obłym kadłubie łodzi. Po kilku minutach statek został mocno przyciśnięty do ściany bazy, po czym włazy wejściowe obu zespoliły się i na ogromnej śrubie wsunęły

się w głąb batyskafu. Rozległ się sygnał: Ciśnienie wyrównane, otwarto grodzie i droga do Głębinowego Laboratorium Nr l stanęła otworem.

Jan odnalazł profesora Sullivana w niewielkim, zagraconym pomieszczeniu łączącym w sobie cechy biura, warsztatu i laboratorium. Uczony oglądał za pomocą mikroskopu coś, co wyglądało jak mała bomba. Prawdopodobnie była to kapsuła ciśnieniowa zawierająca jakichś przedstawicieli głębinowej fauny, pluskających się radośnie pod zwykłym dla nich ciśnieniem rzędu paru ton na centymetr kwadratowy.

— No — powiedział Sullłvan, odrywając się od okularu. — Jak się miewa Rupert? I co mogę dla ciebie zrobić?

— Rupert czuje się świetnie — odparł Jan. — Przesyła panu pozdrowienia oraz wiadomość, że chętnie odwiedziłby pana, gdyby nie jego klaustrofobia.

— No tak, mając nad głową pięć kilometrów wody, mógłby istotnie czuć się trochę nieswojo. Skoro o tym mowa, czy tobie to nie przeszkadza?

Jan wzruszył ramionami.

— Nie bardziej niż w stratoliniowcu. Jeśli coś nawali, rezultaty będą takie same.

— To dość rozsądne podejście, chłopcze, ale zdziwiłbyś się, jak niewielu ludzi podchodzi do tego w ten sposób. — Sullivan pokręcił gałkami mikroskopu, po czym obrzucił Jana badawczym spojrzeniem. — Z przyjemnością oprowadzę cię po okolicy — powiedział — ale muszę przyznać, że nieco zaskoczyła mnie twoja prośba, którą przekazał mi Rupert. Nie rozumiem, dlaczego jeden z ogarów kosmosu interesuje się naszą pracą. Czy przypadkiem nie pomyliły ci się kierunki? — zachichotał. — Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, dlaczego tak się tam spieszycie. Miną wieki, zanim wszystko w oceanach zostanie pomierzone i poszufladkowane.

Jan nabrał powietrza w płuca. Rad był, że Sullivan sam zahaczył o powód wizyty, upraszczając mu w ten sposób sprawę. Mimo kpinek ichtiologa ich zawody miały ze sobą wiele podobieństw. Znalezienie wspólnego języka, zdobycie sympatii i uzyskanie pomocy rozmówcy nie powinno być zbyt trudne. Sullivan był człowiekiem z wyobraźnią inaczej nie znalazłby się w tym podwodnym świecie. Jednak Jan musiał zachować ostrożność, ponieważ to, o co zamierzał prosić, było, łagodnie mówiąc, nieco niekonwencjonalne.

Jeden fakt dodawał mu pewności siebie. Nawet jeśli Sullivan odmówi pomocy, na pewno dochowa tajemnicy. A tu, w tym małym, spokojnym pomieszczeniu na dnie Pacyfiku chyba nie należało obawiać się, że Zwierzchnicy, jakiekolwiek posiadali umiejętności, mogą przysłuchiwać się ich rozmowie.

— Profesorze Sullivan — zaczął. — Gdyby interesował się pan oceanem, a Zwierzchnicy zabroniliby panu zbliżać się do niego, jak by pan się czuł?

— Niewątpliwie byłbym po prostu wściekły.

— Jestem tego pewien. A przypuśćmy, że pewnego dnia pojawiłaby się szansa prowadzenia dalszych badań bez ich wiedzy, co by pan zrobił? Skorzystałby pan z niej?

Sullivan nie wahał się ani chwili.

— Oczywiście. Potem spróbowałbym to wyjaśnić.

„O to mi chodziło! — pomyślał Jan. — Teraz nie może się wycofać, chyba że obawia się Zwierzchników. A wątpię, czy jest na świecie coś, czego Sullivan się boi". Pochylił się nad zawalonym eksponatami stołem i szykował się do przedstawienia swojej sprawy.

Profesor Sullivan nie był głupcem. Zanim Jan otworzył usta, wargi rozmówcy wykrzywił sardoniczny uśmiech.

— A więc o to chodzi, tak? — powiedział powoli. — To,bardzo, bardzo ciekawe! Teraz wal śmiało i powiedz mi, dlaczego miałbym ci pomóc?

Sto lat wcześniej uważano by profesora Sullivana za kosztowny kaprys. Nakłady na jego badania były porównywalne z kosztami niewielkiej wojny, a jego samego można bylo porównać do generała prowadzącego walkę z wrogiem, który nigdy nie przegrywał. Przeciwnikiem profesora Sullivana było morze, które używało przeciw niemu takich broni, jak zimno i mrok oraz najgroźniejszej: ciśnienia. Profesor ze swej strony przeciwstawiał wrogowi inteligencję i umiejętności techniczne. Wielokrotnie odnosił sukcesy, ale morze było cierpliwe; mogło poczekać. Sullivan wiedział, że pewnego dnia popełni błąd. Pocieszał się myślą, że na pewno się nie utopi. Nie będzie miał na to czasu.

Kiedy Jan poprosił go o pomoc, nie zadeklarował jej od razu, ale wiedział już, co zrobi. Nadarzała się okazja przeprowadzenia najbardziej interesującego eksperymentu. Żałował jedynie, że nie pozna rezultatów doświadczenia, ale to często się zdarzało w pracy naukowej; sam rozpoczynał programy, które miały się zakończyć po kilkudziesięciu latach.

Profesor Sulliyan był inteligentnym i dzielnym człowiekiem, ale patrząc wstecz na swoją karierę, był świadom tego, że nie przyniesie mu ona sławy utrwalającej imię w pamięci przyszłych pokoleń. Teraz miał szansę — nieoczekiwaną, lecz tym bardziej nęcącą — zapisania się w historii ludzkości. Nie była to ambicja, którą zdradziłby komukolwiek i należy sprawiedliwie przyznać, że pomógłby Janowi, nawet gdyby jego udział w spisku miał pozostać tajemnicą.

Natomiast Jana właśnie zaczęły dręczyć wątpliwości. Aż do tej chwili ponosił go impet odkrycia. Prowadził własne śledztwo, ale nie

podjął żadnych działań, by urzeczywistnić swoje marzenia. Jednak za kilka dni będzie musiał dokonać wyboru. Jeśli profesor Sulliyan zgodzi się mu pomóc, Jan nie będzie już mógł się wycofać. Będzie musiał stawić czoła losowi, który wybrał ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

Ostatecznie przekonała go myśl, że jeśli odrzuci tę niewiarygodną szansę, to nigdy sobie tego nie wybaczy. Resztę życia spędzi, żałując nie wykorzystanej okazji, a nic nie mogło być gorsze.

Kilka godzin później znał już odpowiedź Sulliyana i wiedział, że kości zostały rzucone. Zaczął porządkować swoje sprawy; powoli, bo teraz miał już mnóstwo czasu.

Droga Maju! (tak zaczynał się list). Wszystko to zapewne będzie dla Ciebie — łagodnie mówiąc — niespodzianką. Kiedy otrzymasz ten list, mnie już nie będzie na Ziemi. Nie mam na myśli tego, że wybieram się na Księżyc, jak to zrobiło tylu innych. Nie, ja będę już w drodze do ojczyzny Zwierzchników. Zostanę pierwszym człowiekiem, który kiedykolwiek opuścił Układ Słoneczny.

Składam ten list u przyjaciela, który mi pomaga: zatrzyma go do chwili, gdy upewni się, że mój plan się powiódł, a przynajmniej pierwsza jego faza, i że jest już za późno, aby Zwierzchnicy zdołali coś zrobić. Będę już wtedy tak daleko, podróżując z taką szybkością, że wątpię, czy jakakolwiek wiadomość odwołująca podróż zdoła mnie dogonić. Nawet gdyby tak się stało, to mało prawdopodobne, by zawrócono statek ku Ziemi. Zresztą, bardzo wątpię, abym był aż tak ważną osobą.

Pozwól, że wyjaśnię ci to od początku. Wiesz, że zawsze interesowały mnie loty kosmiczne i byłem rozgoryczony tym, iż nigdy nie dano nam ruszyć ku innym planetom ani dowiedzieć się czegokolwiek o cywilizacji Zwierzchników. Gdyby się nie wtrącili, zapewne do tej pory dotarlibyśmy na Marsa i Wenus. Choć muszę przyznać, że równie prawdopodobne jest, że unicestwilibyśmy się bombami wodorowymi oraz innymi rodzajami broni masowego rażenia, jakie wytwarzano w dwudziestym wieku. Jednak czasem chciałbym, aby dano nam szansę samodzielności.

Zwierzchnicy mają prawdopodobnie jakieś powody, dla których trzymają nas w żłobku i być może ich pobudki są bardzo szlachetne. Jednak nawet gdybym je znał, wątpię, czy miałoby to wpływ na moje postanowienia i działania.

Naprawdę wszystko zaczęło się na tym przyjęciu Ruperta. (Przy okazji — ono niczym nie wie, mimo iż podsunął mi ciekawy pomysł). Pamiętasz ten głupi seans, który zorganizował? Ten, który zakończył się omdleniem — zapomniałem jak jej na imię — dziewczyny. Zapytałem wtedy, która gwiazda jest ojczyzną Zwierzchników. Odpowiedź brzmiała NGS 549672. Prawdę mówiąc, nie oczekiwałem

żadnej odpowiedzi i aż do tej chwili całą sprawę traktowałem jako żart. Jednak kiedy uświadomiłem sobie, że symbol ten oznacza numer w katalogu gwiazd, postanowiłem to sprawdzić. Stwierdziłem, że odpowiada on gwieździe w konstelacji Cariny, a jednym z niewielu faktów, jakie wiemy o Zwierzchnikach, jest ten, że przybywają z tamtego rejonu.

Nie podejmuję się teraz wyjaśnić, w jaki sposób dotarła do nas ta informacja ani skąd pochodziła. Czyżby ktoś czytał w myślach Rashaueraka? Gdyby nawet tak było, jest mało prawdopodobne, by wiedział, jaki jest katalogowy numer jego słońca według naszej klasyfikacji. Rzecz jest zupełnie niepojęta i pozostawiam ją takim ludziom jak Rupert; niech próbują to rozgryźć, jeśli potrafią. Mnie zadowala sama informacja i możliwość jej wykorzystania.

Dzięki obserwacjom wiemy sporo o startach i szybkości statków Zwierzchników. Opuszczają Układ Słoneczny z takim przyspieszeniem, że już po niecałej godzinie osiągają szybkość światła. Ten fakt świadczy o tym, że posiadają napęd, który działa na każdy atom ich statku, w przeciwnym razie wszystko na pokładzie natychmiast zostałoby zniszczone. Zastanawiam się, dlaczego potrzebują tak kolosalnych przyspieszeń, skoro do nabrania szybkości mają tyle przestrzeni, ile dusza zapragnie, a i czasu też im chyba nie brakuje? Przypuszczam, że potrafią w pewnym stopniu wykorzystywać pola energetyczne gwiazd i dlatego muszą startować i zatrzymywać się w pobliżu słońc. Jednak to tak tylko przy okazji…

Najważniejsze, że wiem, dokąd się udają i stąd mogę przewidzieć czas trwania podróży. NGS 549672 leży w odległości czterdziestu lat świetlnych od Ziemi. Statek Zwierzchników osiąga ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent szybkości światła, tak że miesiące upływające na Ziemi będą dniami na pokładzie statku. Ten efekt jest jednym z podstawowych praw fizyki; został odkryty ponad sto lat temu przez wielkiego Einsteina.

Opierając się na tym, co wiemy o gwiezdnym silniku, wykonałem pewne obliczenia, posługując się od dawna potwierdzonym doświadczalnie aparatem matematycznej teorii względności.

Dla pasażerów statku Zwierzchników podróż do NGS 549672 potrwa nie dłużej niż dwa miesiące, mimo że na Ziemi upłynie czterdzieści lat. Wiem, że wygląda to na paradoks i jedynym pocieszeniem jest, że najtęższe umysły Ziemi połamały już sobie na tym zęby, od czasu gdy Einstein ogłosił swoją teorię.

Może lepiej wyjaśni ci to przykład ilustrujący, co może się zdarzyć. Jeśli Zwierzchnicy odeślą mnie na Ziemię, powrócę do domu starszy o cztery miesiące, ale na samej Ziemi minie osiemdziesiąt lat. Sama więc rozumiesz, Maju, że jest to list pożegnalny.

Jak dobrze wiesz, niewiele mnie łączyło z Ziemią i mogę ją

porzucić z czystym sumieniem. Jeszcze nic nie mówiłem matce. Wpadłaby w histerię, a tego nie mógłbym znieść. Tak jest lepiej. Od śmierci ojca próbowałem nawiązać z nią kontakt… No cóż, teraz i tak nie ma sensu znów tego wałkować.

Przerwałem studia i powiadomiłem władze uczelni, że z powodów rodzinnych przenoszę się do Europy. Wszystko już załatwiłem i nie powinnaś się o nic martwić.

W tej chwili myślisz pewnie, że zwariowałem, ponieważ dotychczas nikomu nie udało się dostać na którykolwiek ze statków Zwierzchników. Jednak ja wymyśliłem sposób. Taka okazja nie trafia się często, a w przyszłości może się już nie powtórzyć, ponieważ jestem przekonany, że Karellen nigdy nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Czy znasz legendę konia trojańskiego, za pomocą którego Grecy dostali się do Troi? A w Starym Testamencie jest jeszcze lepsza histońa…

— Na pewno będzie ci dużo wygodniej niż Jonaszowi — powiedział Sullivan. — Nie ma żadnych dowodów, że korzystał z elektrycznego oświetlenia czy łazienki. Jednak będzie ci potrzebna żywność i widzę, że bierzesz ze sobą tlen. Czy w tak ograniczonej przestrzeni zmieścisz zapasy na dwumiesięczną podróż?

Postukal palcem w rysunek, jaki Jan położył na stole. Jeden brzeg szkicu przycisnął mikroskopem, a drugi czaszką jakiejś niesamowitej ryby.

— Mam nadzieję, że tlen nie będzie mi potrzebny — powiedział Jan. — Wiemy, że mogą oddychać naszym powietrzem, choć niezbyt to lubią, ale ich atmosfera może mi zupełnie nie odpowiadać. Co do zapasów: użycie narkozaminy winno rozwiązać ten problem. Zaraz po starcie zrobię sobie zastrzyk, po którym powinienem zasnąć na mniej więcej sześć tygodni. Wtedy prawdopodobnie będziemy już niedaleko. Szczerze mówiąc, martwi mnie nie tlen i żywność, ale perspektywa nudy.

Profesor Sullivan w zadumie skinął głową.

— Zgadzam się, narkozamina jest niezła i można dość dokładnie obliczyć dawkę. Jednak pamiętaj o tym, mój drogi, że będziesz miał pod ręką mnóstwo żywności, a kiedy się ockniesz, będziesz otumaniony i słaby jak kocię. A jeśli zagłodzisz się na śmierć, bo zabraknie ci sił, aby otworzyć konserwę?

— Pomyślałem i o tym — odparł nieco dotknięty Jan. — Jak zwykle w takich wypadkach oprę się na słodyczach i czekoladzie.

— Dobrze. Miło mi słyszeć, że dokładnie wszystko przemyślałeś i nie traktujesz tego jak wyczynu, z którego zawsze możesz się wycofać, jeśli przestanie cię bawić. Wprawdzie ryzykujesz swoje życie, ale nie chciałbym pozostać z poczuciem winy, że pomogłem ci popełnić samobójstwo.

Podniósł czaszkę ryby i zważył jaw dłoni. Jan szybko złapał szkic, zapobiegając zwinięciu się rysunku.

— Na szczęście — mówił dalej profesor — potrzebne ci wyposażenie jest dość typowe i można je skompletować w ciągu paru tygodni. A gdybyś się rozmyślił…

— Nie rozmyślę się — powiedział Jan.

Rozważyłem ryzyko, które podejmuję, ale wydaje mi się. że mój plan nie ma slabych punktów. Po sześciu tygodniach wyjdę jak każdy pasażer na gapę i oddam się w ręce dowódcy statku. Jednak wtedy — pamiętaj, według mojego czasu — będziemy już niemal na miejscu. Będziemy podchodzili do lądowania na planecie Zwierzchników.

Oczywiście, to co się stanie potem, zależy od nich. Prawdopodobnie odeślą mnie do domu pierwszym statkiem, ale przynajmniej coś zobaczę. Mam cztero-milimetrową kamerę i tysiące metrów taśmy: jeśli nie uda mi się z tego skorzystać, to nie z mojej winy. Nawet gdyby miało dojść do najgorszego, udowodnię im, że nie da się na zawsze zamknąć Człowieka w klatce. Stworzę precedens, który zmusi Karellena do podjęcia jakiegoś działania.

I to już, droga Maju, wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Wiem, że nie bardzo odczujesz brak mojej osoby; bądźmy raz uczciwi wobec siebie i przyznajmy, że niewiele nas łączyło, a teraz, kiedy wyszłaś za Ruperta, będziesz zupełnie szczęśliwa w swoim własnym świecie. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Żegnaj więc i życzę ci szczęścia. Kiedyś postaram się spotkać z twoimi wnukami — zrób coś, żeby mnie poznały, dobrze?

Twój kochający brat Jan.

Kiedy Jan zobaczył to po raz pierwszy, omal nie uległ złudzeniu, że patrzy na montowany właśnie kadłub małego sterowca. Metalowy szkielet miał dwadzieścia metrów długości, idealnie opływowe kształty i był otoczony jasno oświetlonym pomostem, na którym krzątali się uzbrojeni w narzędzia robotnicy.

— Tak — odparł Sullivan w odpowiedzi na pytanie Jana. — Korzystamy z doświadczeń przemysłu lotniczego, a większość z tych ludzi pracowała przedtem przy budowie samolotów. Niełatwo uwierzyć, że coś o takich rozmiarach może być żywe, prawda? Albo że potrafi samo wyskoczyć z wody, a sam nieraz to widziałem.

Wszystko, co Jan oglądał, było wręcz fascynujące, ale musiał teraz myśleć o innych rzeczach. Uważnie obejrzał ogromny szkielet, szukając kryjówki dla swojej małej celi; „trumny z wentylacją”, jak ją nazwał Sullivan. Przynajmniej jeden z trapiących Jana problemów zniknął. Wewnątrz było wystarczająco dużo miejsca, by zmieścić nawet dwunastu pasażerów na gapę.

— Szkielet jest już prawie skończony — powiedział Jan. — Kiedy

będziecie naciągali skórę? Chyba wieloryba już złapaliście, bo inaczej skąd wiedzielibyście, jak wielki ma być szkielet?

Ta uwaga niezwykle ubawiła Sullivana.

— Wcale nie mieliśmy zamiaru lapać wieloryba. Zresztą one nie mają skóry w normalnym znaczeniu tego słowa. Ponadto okrywanie szkieletu powłoką grubości dwudziestu centymetrów byłoby kłopotliwe. Zrobimy ją z plastiku i odpowiednio pomalujemy Kiedy skończymy, nikt nie zauważy różnicy.

„W tym przypadku — pomyślał Jan — Zwierzchnicy postąpiliby rozsądniej, gdyby sfotografowali zwierzę i wykonali u siebie model w skali 1:1. Jednak, być może, statki zaopatrzeniowe wracają puste i taki drobiazg jak dwudziestometrowy wieloryb nie zrobi im żadnej różnicy. Ktoś, kto posiada taką wiedzę i środki, może sobie nie zawracać głowy drobnymi oszczędnościami…”

Profesor Sullivan stał obok jednego z tych wielkich posągów, które od czasu odkrycia Wyspy Wielkanocnej stanowiły wyzwanie dla archeologów. Gdy profesor patrzył na wytwór swoich rąk, król, bóg czy ktokolwiek to był, zdawał się śledzić go niewidzącym spojrzeniem. Naukowiec był dumny z tego, co zrobił i żałował, że jego dzieło zniknie niebawem na zawsze z oczu ludzi.

Mógłby je stworzyć szalony artysta, w dodatku cierpiący na delirium tremens. A jednak to Natura je wyrzeźbila: patrzył na nadzwyczaj wierną kopię żywego zwierzęcia. Zanim doprowadzono do perfekcji technikę zdjęć podwodnych, taką scenę widziało bardzo niewielu ludzi, a i wtedy obserwowano ją tylko wówczas, gdy gigantyczni przeciwnicy, spleceni w walce, wypływali na powierzchnię. Te boje staczano w wiecznych mrokach oceanicznych głębi, w których żerowały kaszaloty. Lecz ten żer stawiał zaciekły opór konsumentom…

Długa, dolna szczęka otwierała się szeroko, gotowa zatrzasnąć się na zdobyczy. Łeb wieloryba był niemal całkowicie okryty skłębioną masą białych, mięsistych ramion, przy pomocy których gigantyczny kalmar walczył o życie. Wyraźne ślady przyssawek o średnicy dwudziestu i więcej centymetrów znaczyły skórę walenia w miejscach, gdzie przyczepiły się macki. Jednak głowa zwisała już bezwładnie i nie było żadnych wątpliwości co do ostatecznego wyniku zmagań. Kiedy dwa największe z żyjących na Ziemi stworzeń zwierały się w walce, zwycięzcą zawsze zostawał wieloryb. Pomimo ogromnej siły wijących się ramion, jedyną nadzieją kalmara była ucieczka, zanim te cierpliwie rozwarte szczęki nie rozdarły go na strzępy. Wielkie, bezmyślne, półmetrowe ślepia stworzenia wpatrywały się w swego pogromcę, chociaż według wszelkiego prawdopodobieństwa obaj przeciwnicy nie mogli się widzieć w tej mrocznej otchłani.

Całość miała ponad trzydzieści metrów długości i była otoczona

klatką z aluminiowych prętów, do których przymocowano łapy podnośnika. Wszystko było już przygotowane aby, zabawić Zwierzchników.

Sullivan miał nadzieję, że cała operacja przebiegnie dość szybko; nerwowe napięcie zaczynało mu już doskwierać. Ktoś wyszedł z biura na jasne światło dnia, najwyraźniej szukając profesora. Sullivan poznał głównego księgowego i podszedł do niego.

— Cześć, Bili. Co to za zamieszanie? Tamten trzymał w ręku blankiet telegramu i wyglądał na zadowolonego.

— Dobre wiadomości, profesorze. Spotkał nas nie lada zaszczyt! Sam Kontroler zamierza przybyć i obejrzeć eksponat przed wysyłką. Proszę pomyśleć o rozgłosie! To nam bardzo pomoże, kiedy będziemy się ubiegać o nowe fundusze. Miałem nadzieję, że coś takiego się zdarzy.

Sullivan z trudem przełknął ślinę. Nie miał nic przeciwko rozgłosowi, ale obawiał się, że tym razem może go mieć trochę zbyt wiele.

Karellen zatrzymał się przy głowie wieloryba i spojrzał w górę, na wielki, tępo ścięty pysk. Ukrywając niepokój, Sullivan zastanawiał się, o czym myśli Kontroler. Jego zachowanie nie wskazywało na to, że cokolwiek podejrzewa, a wizytę można było z powodzeniem uznać za kurtuazyjną. Jednak Sullivan cieszyłby się, gdyby wreszcie dobiegła końca.

— Na naszej planecie nie ma tak dużych zwierząt — powiedział Karellen. — To jeden z powodów, dla których prosiliśmy, abyście zrobili tę grupę. Spodoba się moim… hmm… ziomkom.

— Ze względu na niską grawitację na waszej planecie — odparl Sullivan — podejrzewałbym, że żyjące tam zwierzęta są dość duże. Proszę spojrzeć choćby na to, o ile jesteście od nas wyżsi!

— No tak, ale u nas nie ma mórz. A pod względem rozmiarów mieszkańców, ląd nie wytrzymuje porównania z wodą.

„To prawda” — pomyślał Sullivan. O ile wiedział, ten fakt dotyczący ojczyzny Zwierzchników nie był dotychczas znany. Gdyby Jan to słyszał, byłby bardzo zainteresowany.

Młody człowiek siedział teraz w odległej o kilometr chatce, niespokojnie obserwując inspekcję za pomocą lornetki. Powtarzał sobie w duchu, że nie ma powodu do obaw. Oględziny wieloryba, nawet dość szczegółowe, nie mogły ujawnić jego sekretu. Zawsze jednak istniała możliwość, że Karellen coś podejrzewa i bawi się z nimi jak kot z myszą.

To samo podejrzenie wykiełkowało i w umyśle Sullivana, gdy Kontroler zajrzał w przepastną paszczę.

— Wasza Biblia — powiedział Zwierzchnik — zawiera świetną historię o hebrajskim proroku, niejakim Jonaszu, połkniętym przez

wieloryba i przeniesionym bezpiecznie na ląd po tym, jak został wyrzucony z okrętu do wody. Czy myśli pan, że u źródeł tej legendy mogły leżeć jakieś prawdziwe wydarzenia?

— Uważam — odparł ostrożnie Sullivan — że istnieje przynajmniej jeden dobrze osadzony w realiach opis wydarzenia, w którym łowca wielorybów został połknięty i wyrzucony na zewnątrz bez uszczerbku dla zdrowia. Oczywiście, udusiłby się, gdyby przebywal w żołądku wieloryba dłużej niż kilka sekund. Ta historia jest bardzo niewiarygodna, ale teoretycznie możliwa.

— To bardzo interesujące — powiedział Karellen.

Stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się ogromnym szczękom, a potem zaczął oglądać kalmara. Sullivan miał nadzieję, że Zwierzchnik nie usłyszał jego westchnienia ulgi.

— Gdybym wiedział, przez co będę musiał przejść — rzekł profesor Sullivan — wyrzuciłbym cię z biura, kiedy przyszedłeś zarazić mnie swoim szaleństwem.

— Przykro mi z tego powodu — odparł Jan. — Jednak udało się.

— Mam nadzieję. Tak czy owak, powodzenia. Gdybyś się rozmyślił, masz jeszcze co najmniej sześć godzin.

— Nie będę ich potrzebował. Teraz jedynie Karellen może mnie powstrzymać. Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Jeśli wrócę i napiszę książkę o Zwierzchnikach, zadedykuję ją panu.

— Dużo mi z tego przyjdzie — odparł ponuro Sullivan. — Od dawna będę już nieboszczykiem!

Ku swemu zaskoczeniu i lekkiej konsternacji, bo nie był człowiekiem sentymentalnym, odkrył, że to pożegnanie zaczyna go wzruszać. W ciągu minionych kilku tygodni zdążył polubić Jana. Teraz rodziła się w nim obawa, że pomaga chłopakowi popełnić samobójstwo.

Przytrzymał drabinę, gdy Jan wspinał się ku wielkiej paszczy. Przy świetle latarki elektrycznej zobaczył, jak Jan obrócił się, pomachał mu ręką i zniknął w przepaściste] głębi. Usłyszał jeszcze odgłos otwierania i zamykania pneumatycznego włazu, a potem zapadła cisza.

W świetle księżyca, które przemieniło walczące ze sobą zwierzęta w scenę z nocnego koszmaru, profesor Sullivan wolno wracał do swej pracowni. Myślał o tym, co zrobił i jakie to może mieć skutki. On, oczywiście, nigdy się niczego nie dowie. Jan może kiedyś tu wróci, straciwszy nie więcej niż parę miesięcy życia na podróż do ojczyzny Zwierzchników i powrót na Ziemię. Jeśli tak się stanie, chłopak znajdzie się po drugiej stronie nieprzekraczalnej bariery czasu, osiemdziesiąt lat w przyszłości.

Gdy tylko Jan zatrzasnął wewnętrzne drzwi włazu, w niewielkiej, cylindrycznej kapsule zgasły światła. Nie tracił czasu na rozmyślania,

lecz natychmiast rozpoczął kolejne, starannie przećwiczone czynności. Wszystkie zapasy i pożywienie zostały zapakowane kilka dni wcześniej, ale ostatnia kontrola pozwoli mu zachować przytomność umysłu i da absolutną pewność, że niczego nie zaniedbał.

W godzinę później zadowolony zakończył przegląd. Położył się na gąbczastym materacu i po raz kolejny punkt po punkcie przebiegł w myślach cały plan. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichutki pomruk elektronicznego zegara z kalendarzem, który ostrzeże go, że podróż zbliża się ku końcowi.

Wiedział, że tu, w tej celi nie odczuje niczego, ponieważ potężne siły poruszające statek Zwierzeńników muszą być idealnie skompensowane. Upewnił się o tym Sullivan, twierdząc, że jego grupa rozpadnie się, jeżeli zostanie poddana przeciążeniu większemu od kilku g. Jego… klienci zapewnili, że nie powinien się tego obawiać.

Jednak nastąpi dość znaczna zmiana ciśnienia atmosferycznego. To też nie było istotne, bowiem modele puste w środku muszą „oddychać" kilkoma otworami. Przed opuszczeniem kontenera Jan będzie musiaLwyrównać różnicę. Zakładał, że atmosfera na statku Zwierzchników nie nadaje się do oddychania. Zwykła maska na twarz i tlen powinny wystarczyć; nie trzeba stosować niczego wymyślnego. Jeśli będzie mógł oddychać bez pomocy urządzeń mechanicznych, na pewno to zrobi.

Nie było sensu dłużej zwlekać; tylko bardziej się zdenerwuje. Wyjął małą strzykawkę napełnioną starannie przygotowanym roztworem. Narkozaminę odkryto w trakcie badań nad hibernacją żywych istot; jednak błędne było twierdzenie, w które powszechnie wierzono, że powodowała zawieszenie wszystkich procesów życiowych. Po prostu znacznie je spowalniała; przemiany metaboliczne zachodziły nadal, tyle że z dużo mniejszą intensywnością. Mówiąc obrazowo, równało się to przygaszeniu ogniska życia przy pozostawieniu żaru płonącego pod popiołem. Kiedy zaś, po tygodniach lub miesiącach, przeminie efekt działania specyfiku, żar ponownie buchnie ogniem i śpiący obudzi się. Narkozamina była środkiem absolutnie pewnym. Od wielu milionów lat Natura używała jej, aby niektórym ze swych dzieci oszczędzić zimowego codu.

Tak więc Jan zasnął. Nie czuł nagłego szarpnięcia, gdy potężny, metalowy szkielet uniósł się do ładowni frachtowca Zwierzchników. Nie słyszał, jak zatrzaskują się luki, by otworzyć się dopiero 3 x 10'4 km dalej. Nie usłyszał też odległego i stłumionego przez grube ściany gniewnego wycia rozdzieranej atmosfery Ziemi, gdy statek szybko zagłębiał się w swoje naturalne środowisko.

Nawet nie poczuł, że włączono gwiezdny silnik.

Podczas cotygodniowych spotkań sala konferencyjna była zawsze

pełna, ale dziś panował taki tłok, że reporterom trudno było robić notatki. Po raz setny utyskiwali na konserwatyzm Karellena i jego brak zrozumienia. Gdzie indziej mieliby ze sobą kamery, magnetofony i inne narzędzia tego wysoce stechnicyzowanego zawodu. Tutaj musieli korzystać z tak archaicznych pomocy, jak papier i ołówek, a nawet — wprost niewiarygodne! — z czegoś takiego jak stenografia.

Oczywiście, swego czasu podjęto kilka prób przemycenia magnetofonów. Udało się nawet wynieść je z powrotem, ale jedno spojrzenie w dymiące wnętrze wykazało bezowocność tych wysiłków. Wtedy wszyscy zrozumieli, dlaczego zawsze ostrzegano ich, aby dla własnego dobra przed wejściem na salę konferencyjną, zostawiali zegarki i inne obiekty metalowe.

Sprawę pogarszał fakt, że Karellen filmował sobie przebieg całego spotkania. Reporterów, którzy niedokładnie przekazywali lub celowo przeinaczali jego wypowiedzi, podwładni Karellena wzywali na krótkie i nieprzyjemne rozmowy, podczas których winowajcy musieli wsłuchiwać się w przebieg odtwarzanej konferencji ł zwracać uwagę na to, co naprawdę powiedział Kontroler. Tych lekcji nigdy nie trzeba było powtarzać.

Tu i ówdzie rozchodziły się dziwne pogłoski. Wprawdzie nie podawano wcześniej żadnych informacji, ale jak zawsze, gdy Karellen miał przekazać coś istotnego, a zdarzało się to nie częściej niż dwa lub trzy razy w roku, wszędzie było pełno ciekawskich.

Kiedy wielkie drzwi otworzyły się i Kontroler wyszedł na podium, nad rozgorączkowanym zgromadzeniem zapadła głucha cisza. Przygaszono światła tak, by zbliżyć nieco warunki do tych, jakie panują na odległej planecie Zwierzchnika, i by Kontroler Ziemi mógł zdjąć ciemne okulary, które zazwyczaj nosił na otwartej przestrzeni.

Na bezładny chór powitań odpowiedział formalnym: Dzień dobry wszystkim! i zwrócił się do wysokiego człowieka stojącego w pierwszym szeregu gości. Mr Golde, senior Klubu Dziennikarzy, mógłby być inspiracją dla starego żartu o lokaju zapowiadającym gości: Teraz trzej reporterzy, madame, i dżentelmen z „Timesa". Ubierał się i zachowywał jak dyplomata starej daty; wszyscy bez wahania obdarzali go zaufaniem i nikt potem nigdy tego nie żałował.

— Niezły mamy tu dziś tłum, Mr Golde. Pewnie nie macie o czym pisać. Dżentelmen z „Timesa" uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że coś pan na to poradzi, panie Karellen.

Spojrzał bacznie na zastanawiającego się nad odpowiedzią Kontrolera. Wydawało się nie fair, że nieruchome jak maski twarze Zwierzchników nie zdradzały żadnych uczuć. Wielkie oczy o źrenicach zwężonych nawet w tym słabym świetle, z nieodgadnionym wyrazem wpatrywały się w zaciekawione oczy Człowieka. Dwie szpary oddechowe na policzkach, jeśli te żłobkowane, bazaltowoczarne

wypukłości można było nazwać policzkami, wydawały cichy, świszczący dźwięk, z jakim prawdopodobnie płuca Karellena pracowały w rzadkim, ziemskim powietrzu. Golde mógł dostrzec kurtynę białych, delikatnych włosów powiewających zgodnie z rytmem oddechu Zwierzchnika. Powszechnie uważano, iż są to filtry przeciwpyłowe i na tej kruchej podstawie zbudowano wiele skomplikowanych teorii na temat atmosfery świata Zwierzchników.

— O tak, mam dla was parę informacji. Jak na pewno wiecie, ostatnio wystartował z Ziemi jeden z naszych statków zaopatrzeniowych powracający do bazy. Właśnie odkryliśmy na jego pokładzie pasażera na gapę.

Sto ołówków nagle znieruchomiało i sto par oczu wbiło się w Karellena.

— Powiedział pan „pasażer na gapę", Kontrolerze — zapytał Golde. — Czy wolno mi spytać, kim jest i jak dostał się na pokład?

— Nazywa się Jan Rodericks, studiował inżynierię na Uniwersytecie Kapsztadzkim. Pozostałe szczegóły niewątpliwie odkryjecie sami, za pomocą własnych, niezwykle skutecznych sposobów.

Karellen uśmiechnął się. Uśmiech Zwierzchnika był dość nietypowy. Pozostawał jedynie w oczach;

sztywne, pozbawione warg usta prawie się nie poruszyły. Golde zastanawiał się, czy był to kolejny z ludzkich zwyczajów z taką zręcznością naśladowany przez Karellena. Jednak mimo wszystko sprawiał wrażenie uśmiechu i rozmówcy właśnie tak go odbierali.

— Jeśli chodzi o to, w jaki sposób — kontynuował Kontroler — ma to mniejsze znaczenie. Mogę zapewnić zarówno was, jak i każdego potencjalnego astronautę, że tego wyczynu z pewnością nie da się powtórzyć.

— Co stanie się z tym młodym człowiekiem? — zapytał Golde. — Czy zostanie odesłany na Ziemią?

— Chociaż sprawa nie podlega mojej jurysdykcji, przypuszczam, że powróci następnym statkiem. Stwierdzi, że tam dokąd dotarł, warunki są zbyt różne, zbyt odmienne, aby człowiek mógł się w nich dobrze czuć. I w ten sposób dochodzimy do głównego tematu naszego dzisiejszego spotkania. — Karellen przerwał i zapadła jeszcze głębsza cisza. — Młodsi i bardziej romantyczni członkowie waszej rasy skarżą się na to, że przestrzeń zewnętrzna została przed wami zamknięta. Czyniąc tak, mieliśmy w tym swój cel; nie wydajemy zakazów dla samej przyjemności zakazywania. Czy kiedykolwiek zadaliście sobie trud, by rozważyć, jeśli wybaczycie mi tę mało pochlebną analogię, co czułby człowiek z epoki kamiennej, który znalazłby się nagle we współczesnym mieście?

— Ależ — zaprotestował przedstawiciel „Herald Tribune" — to

zasadnicza różnica. Jesteśmy przyzwyczajeni do zdobyczy nauki. W waszym mieście na pewno nie potrafilibyśmy zrozumieć wielu rzeczy, ale nie wydałyby nam się one cudami.

— Czy jesteście tego zupełnie pewni? — zapytał Karellen tak cichym głosem, że trudno było dosłyszeć jego słowa. — Wiek elektryczności od wieku pary dzieli zaledwie sto lat, lecz cóż począłby inżynier z epoki królowej Wiktorii z odbiornikiem telewizyjnym albo elektroniczną maszyną liczącą? I jak długo udałoby mu się przeżyć, gdyby zaczął badać zasady ich działania? Przepaść między dwiema technologiami może łatwo stać się tak wielka, że próba jej przeskoczenia może skończyć się śmiercią.

— Hej — szepnął Reuter do BBC. — Mamy szczęście. Właśnie zamierza ogłosić jakąś ważną deklarację dotyczącą całej ich polityki. Znam te objawy.

— Są też jeszcze inne powody, dla których zamknęliśmy rasę ludzką na Ziemi. Patrzcie.

Światła przygasły, a potem zgasły zupełnie. Równocześnie na środku pokoju zaczęła formować się fosforyzująca plama. Po chwili znieruchomiała w gwiezdny wir, w spiralną mgławicę widzianą z ogromnej odległości: z punktu położonego daleko poza najbardziej oddalonym od centrum słońcem.

— Tego widoku nie oglądał jeszcze żaden człowiek — rozległ się w ciemności głos Kontrolera. — Widzicie swój Wszechświat, archipelag planet, wśród których żyjecie i wasze Słońce, z odległości pół miliona lat świetlnych.

Zapadło długie milczenie. Po chwili Karellen podjął wątek, ale teraz w jego głosie pojawiło się coś, co można by uznać za litość zmieszaną ze wzgardą.

— Wasza rasa wykazała godną podziwu niezdolność do uporania się z problemami wlasnej, niezbyt dużej planety. Kiedy przybyliśmy, znajdowaliście się o włos od samounicestwienia przy pomocy sił, jakie przedwcześnie dała wam w ręce nauka. Gdybyśmy nie zmienili biegu wydarzeń, Ziemia byłaby dziś radioaktywną pustynią. Teraz macie zjednoczony świat i ludzkość. Wkrótce będziecie już na tyle cywilizowani, aby zarządzać własną planetą bez naszej pomocy. Może uda się wam też kiedyś uporać z problemami całego Układu Słonecznego. Jednak czy naprawdę wyobrażacie sobie, że kiedykolwiek sprostacie temu?

Mgławica zaczęła gwałtownie rosnąć. Obok dziennikarzy przelatywały pojedyncze gwiazdy, pojawiając się i znikając jak skry z paleniska. A każda z tych ulotnych iskierek oznaczała słońce i któż zgadnie ile krążących wokół niego światów.

— W jednej tylko, naszej galaktyce — mruczał Karellen — jest osiemdziesiąt siedem miliardów słońc. Jednak nawet i ta liczba daje

jedynie słabe pojęcie o rozmiarach i przestrzeni. Stając z tym twarzą w twarz, będziecie jak mrówki próbujące zbadać i sklasyfikować wszystkie ziarnka piasku na wszystkich pustyniach waszego świata.

— W obecnym stadium ewolucji wasza rasa nie zdoła sprostać tej niezwykłej próbie. Jednym z moich obowiązków jest chronić was przed potęgami i siłami kryjącymi się wśród gwiazd, siłami przewyższającymi wszystko, co moglibyście sobie wyobrazić.

Obraz wirującej, ognistej galaktycznej mgły nagle zbladł i zniknął i w nagłej ciszy wielkiej sali znów zapaliło się światło.

Karellen odwrócił się, aby wyjść; audiencja była skończona. Przy drzwiach zatrzymał się i raz jeszcze spojrzał na milczące zgromadzenie.

— To gorzka myśl, ale musicie do niej przywyknąć. Być może, któregoś dnia zawładniecie planetami. Jednak gwiazdy nie są dla Człowieka.

„Gwiazdy nie są dla Człowieka”. O tak, fakt, że zatrzaśnięto im przed nosem bramy niebios, mocno ich rozzłości. Jednak muszą wreszcie spojrzeć prawdzie w twarz, a przynajmniej w ten jej fragment, który litościwie mógł im pokazać.

Samotny na wyżynach stratosfery Karellen patrzył na świat i lud, który — choć niechętnie — wziął pod opiekę. Myślał o przyszłości, o tym, czym ten świat będzie zaledwie za tuzin lat.

Nawet nie dowiedzą się, jakie mieli szczęście. Przez okres jednego ludzkiego pokolenia ludzkość zaznała tyle radości, ile nie było dane żadnej rasie przed nią. Był to Złoty Wiek. Lecz złoty jest również kolorem schyłku, barwą jesieni — i tylko uszy Karellena były w stanie usłyszeć pierwsze zawodzenia zimowych zawiei.

I tylko Karellen wiedział, z jaką nieubłaganą szybkością nadchodził koniec Złotego Wieku.

OSTATNIE POKOLENIE

— Spójrz na to! — wybuchnął George, ciskając gazetę w stronę Jean. Dziennik zatrzymał się dopiero na skraju stołu. Cierpliwie zeskrobała dżem ze strony i starając się okazywać dezaprobatę, przeczytała notatkę, która wywołała takie oburzenie męża. Niezbyt jej to wyszło, bo zwykle podzielała zdanie krytyków. Najczęściej zatrzymywała swoje świętokradcze opinie dla siebie i to nie tylko dla świętego spokoju. George znakomicie przyjmował pochwały, zresztą nie tylko od niej, lecz jeśli ośmielała się krytykować jego prace, natychmiast częstował ją wykładem, który z miażdżącą logiką wykazywał jej kompletny brak artystycznego gustu.

Przeczytała wywiad dwukrotnie i poddała się. Artykuł wydawał się jej dość przychylny; dała temu wyraz.

— Chyba spodobało mu się przedstawienie. Co cię tak zdenerwowało?

— To! — prychnął George, pukając palcem w środek kolumny. — Przeczytaj jeszcze raz.

— „Szczególnie mila dla oka była delikatna pastelowa zieleń tła w scenie baletowej". No i co z tego?

— To nie była zieleń. Straciłem masę czasu, aby uzyskać właściwy odcień błękitu. I co się dzieje? Albo jakiś, szlag by go trafił, technik w studio spartolił równowagę barw, albo ten bałwan krytyk ma rozregulowane kolory w telewizorze. Słuchaj, a jak to wyglądało na naszym ekranie?

— Hmm… Nie mogę sobie przypomnieć — wyznała Jean. — Maleństwo zaczęło wtedy płakać i musiałam wyjść, żeby zobaczyć, co jej jest.

— Och — powiedział pozornie uspokojony, ale w rzeczywistości kipiący wewnątrz George. Jean wiedziała, że w każdej chwili należało oczekiwać kolejnego wybuchu. Jednak kiedy do tego dojdzie, będzie on utrzymany w granicach rozsądku. — Właśnie wymyśliłem nową definicję telewizji — mruknął ponuro. — Podejrzewam, że jest to urządzenie do zakłócania komunikacji między artystą a widownią.

— I co w związku z tym zamierzasz zrobić? — odparła Jean. — Wrócić do teatru na żywo?

— A dlaczego nie? — zapytał George. — Właśnie o tym myślałem. Czytałaś list, który dostałem od mieszkańców Nowych Aten? Napisali do mnie ponownie. Tym razem zamierzam im odpowiedzieć.

— Naprawdę? — powiedziała lekko zaniepokojona Jean. — Uważam, że to banda dziwaków.

— No cóż, jest tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Za dwa

tygodnie zamierzam tam pojechać i zobaczyć się z nimi. Muszę powiedzieć, że literatura, którą piszą, wydaje się zupełnie normalna. I mają tam paru bardzo dobrych ludzi.

— Jeżeli myślisz, że zacznę gotować na ognisku albo chodzić ubrana w skóry, to czeka cię…

— Och, nie bądź głupia! Te historie to po prostu bzdury. Kolonia ma wszystko, co jest potrzebne do cywilizowanego życia. Oni po prostu uważają, że ekstrawaganckie zachcianki niczemu nie służą, to wszystko. A przy okazji zauważ, że minęło już parę lat, od kiedy ostatni raz widziałem Pacyfik. Oboje zrobimy sobie wycieczkę.

— Co do tego, jesteśmy zgodni — powiedziała Jean. — Jednak nie mam zamiaru pozwolić, aby Junior i Maleństwo wyrośli na parę polinezyjskich dzikusów.

— Nie wyrosną — odparł George. — To mogę ci obiecać.

Miał rację, ale niezupełnie tak, jak sobie to wyobrażał.

— Jak zauważyliście w czasie lotu — powiedział niewysoki człowiek po drugiej stronie werandy — Kolonia składa się z dwu wysp połączonych groblą. Ta, na której się znajdujemy, to Ateny, tę drugą nazwaliśmy Spartą. Jest dzika i skalista, wspaniałe miejsce do uprawiania sportu.

Obrzucił szybkim spojrzeniem brzuchy oraz biodra gości i George niespokojnie poruszył się na wiklinowym fotelu.

— Nawiasem mówiąc, Sparta to wygasły wulkan. A przynajmniej geologowie twierdzą, że wygasi, ha, ha! Jednak wróćmy do Aten. Ideą przyświecającą powstaniu Kolonii, jak się domyślacie, jest stworzenie niezależnej, trwałej grupy o własnych artystycznych tradycjach. Powinieneś wiedzieć, że zanim rozpoczęliśmy realizować to przedsięwzięcie, przeprowadziliśmy szeroko zakrojone badania. To naprawdę niezły kawał socjologicznej roboty, oparty na solidnych podstawach matematycznych i nie będę udawał, że coś z tego rozumiem. Wiem tylko tyle, że socjologowie i matematycy wyliczyli, jak duża powinna być Kolonia, z ilu i jakich ludzi powinna się składać, a przede wszystkim, jaką powinna mieć konstytucję, aby przez długie lata mogła zachować stabilność. Wszystkim kieruje Rada ośmiu dyrektorów reprezentujących działy: Produkcji, Energii, Socjologii, Ekonomii, Sztuki, Nauki, Sportu oraz Filozofii. Funkcja przewodniczącego nie jest stała. Pełni ją kolejno każdy z dyrektorów przez jeden rok. Populacja Kolonii liczy obecnie trochę ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, to znaczy nieco poniżej pożądanego optimum. Właśnie z tego powodu chętnie widzimy ochotników. Ponadto w tym wszystkim kryje się pewien przykry fakt: nie jesteśmy jeszcze samowystarczalni w kilku bardziej specjalistycznych dziedzinach. Tu, na tej wyspie, próbujemy uratować to, co pozostało z niezależności ludzkiej rasy i jej kulturowego dziedzictwa. Nie żywimy

żadnych wrogich uczuć w stosunku do Zwierzchników, chcemy jedynie, aby zostawiono nas w spokoju. Kiedy położyli kres istnieniu dawnych narodów ł sposobowi życia, jaki ludzie znali od zarania wieków, wraz z rzeczami złymi zniknęło również wiele dobrych. Dzisiejszy świat jest spokojny, bezbarwny i kulturalnie martwy; od czasu pojawienia się Zwierzchników nie powstało żadne istotne dzieło. Nie pozostało nic, o co warto byłoby walczyć, jest też zbyt wiele rozrywek i rzeczy rozpraszających uwagę. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że codziennie z odbiorników telewizyjnych na różnych kanałach płynie potok ponad pięciuset godzin programu? Gdybyście zrezygnowali ze snu i nie robili nic innego, zdołalibyście uczestniczyć w zaledwie dwudziestej części zabawy, jaką zapewnia wam zwykłe dotknięcie przełącznika! Nic dziwnego, że ludzie stają się intelektualnie pasywni jak gąbka: niczego nie tworzą sami, tylko absorbują. Czy wiecie, że na jedną osobę przypada teraz dziennie trzy godziny spędzane przed telewizorem? Niebawem ludzie przestaną żyć własnym życiem. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę będą śledzili losy bohaterów telewizyjnych seriali! Tutaj, w Atenach rozrywka zajęła należne jej miejsce. Co więcej, jest to zabawa czynna, a nie bierne obserwowanie przeżyć kogoś innego. W społeczeństwie tak niewielkim jak nasze, możliwe jest uczestnictwo w zabawie całej populacji, z wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z tego dla aktorów i artystów. Mamy, na przykład bardzo dobrą orkiestrę symfoniczną, prawdopodobnie jedną z sześciu najlepszych na świecie. Wcale nie chcę, abyście mi uwierzyli na słowo. Zazwyczaj potencjalni obywatele pozostają tu przez kilka dni, poznając miejsce i ludzi. Jeśli postanawiają przyłączyć się do nas, poddajemy ich całej serii testów psychologicznych, które są naszą jedyną obroną. Mniej więcej jedna trzecia wszystkich kandydatów odpada, i to z powodów, które wydają się im nieistotne, i które gdzie indziej w ogóle nie byłyby brane pod uwagę. Ci, którzy pomyślnie przechodzą przez testy, udają się do domów, aby pozałatwiać swoje sprawy, a potem wracają do nas. Czasem niektórzy zmieniają zamiar, ale zdarza się to rzadko i zawsze z powodów osobistych, na które nie mają wplywu. Nasze testy dają teraz niemal stuprocentową pewność: ludzie, którzy przez nie przechodzą, naprawdę chcą się do nas przyłączyć.

— A jeśli ktoś zmieni zdanie później? — spytała niespokojnie Jean.

— Może odejść. Nikt nie będzie go zatrzymywał. Zdarzyło się to już raz czy dwa razy.

Nastała chwila ciszy. Jean spojrzała na George'a, który w zadumie gładził bokobrody będące obecnie w modzie wśród cyganerii artystycznej. Póki nie palili za sobą mostów, nie przejmowała się zbytnio. Kolonia wydawała się interesującym miejscem i na pewno nie

była takim szaleństwem, jak Jean początkowo sądziła. I dzieciom na pewno spodoba się tutaj. A to liczyło się najbardziej.

Przeprowadzili się sześć tygodni później. Parterowy domek był niewielki, ale całkowicie wystarczał rodzinie składającej się z czterech osób i nie planującej pojawiania się nowych członków. Był wyposażony we wszystkie urządzenia ułatwiające prace domowe i Jean musiała przyznać, że nie groził jej powrót do ponurych wieków mozolnej krzątaniny. Jednak obecność kuchni była pewnym zaskoczeniem. W tak dużej społeczności należało raczej oczekiwać, że wystarczy zadzwonić do Centrum Żywnościowego, zaczekać pięć minut i otrzymać wybrany posiłek. Indywidualizm jest dobrą rzeczą, ale to było chyba lekką przesadą — obawiała się Jean. Zastanawiała się, czy oplrócz przygotowywania posiłków dla całej rodziny, będzie musiała też szyć ubrania. Jednak między zmywarką do naczyń i kuchenką mikrofalową nie zauważyła wrzeciona, więc może trochę przesadziła z obawami.

Oczywiście, reszta domku wyglądała bardzo pusto i surowo. Byli jego pierwszymi gospodarzami i wiedzieli, że musi upłynąć nieco czasu, zanim to aseptyczne wnętrze zamieni się w ciepły, ludzki dom. Niewątpliwie dzieci skutecznie przyspieszą ten proces. Jeffrey (choć Jean nic jeszcze o tym nie wiedziała) stał się już ofiarą nieszczęśliwego wypadku w czasie ćwiczeń ze wstrzymywaniem oddechu podczas kąpieli w łazience. Powodem była jego nieznajomość podstawowej różnicy między wodą słodką a słoną.

Jean podeszła do okna pozbawionego jeszcze zasłon i popatrzyła na Kolonię. Z całą pewnością miejsce było piękne. Dom stał na zachodnim zboczu wzgórza, które z braku rywali dominowało nad całą wyspą Aten. Dwa kilometry na północ widziała groblę, wąskie ostrze tnące wodę, która prowadziła do Sparty. Ta skalista wysepka, nad którą wznosił się wulkaniczny stożek, stanowiła tak niezwykły kontrast z tym pięknym, spokojnym miejscem, że Jean czasem to przerażało. Zastanawiała się, skąd naukowcy mieli pewność, że wulkan nie obudzi się któregoś dnia i nie pochłonie ich wszystkich.

Jej wzrok przycjągnęła postać pedałująca zygzakiem pod górę i, niezgodnie z zasadami ruchu drogowego, trzymająca się tej strony drogi, która była ocieniona przez palmy. George wracał ze swej pierwszej konferencji. Najwyższy czas przestać marzyć i zająć się domem.

Metaliczny trzask oznajmił przybycie George'a i jego pojazdu. Jean zastanawiała się, ile upłynie jeszcze czasu, zanim oboje nauczą się jeździć na rowerze. Był to jeden z wielu nieoczekiwanych aspektów życia na wyspie. Używanie samochodów osobowych było objęte zakazem; zresztą nie było takiej potrzeby, ponieważ dwa najbardziej oddalone od siebie punkty Kolonii leżały w odległości niecałych

piętnastu kilometrów. Nielicznym pojazdom służącym całej społeczności: ciężarówkom, ambulansom, wozom straży pożarnej, z wyjątkiem nagłych wypadków, ograniczono prędkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W rezultacie mieszkańcy Aten mieli sporo ruchu, a ponadto nie wiedzieli, co to korki uliczne i wypadki drogowe.

George machinalnie cmoknął żonę w policzek i z westchnieniem ulgi opadł na najbliższy fotel.

— O rany! — sapnął, ocierając pot z czoła. — Pod górę wszyscy mnie prześcigali, więc chyba można się do tego przyzwyczaić. Straciłem już chyba z dziesięć kilogramów.

— I jak ci dziś poszło? — zapytała znająca swoje obowiązki Jean.

Miała nadzieję, że George nie jest zbyt wyczerpany, aby pomóc jej przy rozpakowywaniu.

— Bardzo ciekawie. Oczywiście, nie zapamiętałem nazwisk połowy ludzi, których poznałem, ale wszyscy wydają się bardzo mili. A teatr jest właśnie taki, jak się spodziewałem. W przyszłym tygodniu rozpoczynamy pracę nad Powrotem do Matuzalema Shawa. Dali mi całkowicie wolną rękę w sprawie scenografii. Nareszcie tuzin facetów nie mówi mi, czego nie mogę zrobić. Wiesz, myślę, że chyba polubimy to miejsce.

— Mimo rowerów?

George zebrał resztki energii i uśmiechnął się.

— Tak! — powiedział. — Za parę tygodni nawet nie zauważę tej górki.

Wcale w to nie wierzył, ale okazało się, że miał absolutną rację. A przed upływem następnego miesiąca Jean przestała tęsknić za samochodem i odkryła, ile też rzeczy można zrobić we własnej kuchni.

Nowe Ateny nie rozrastały się tak naturalnie i spontanicznie jak miasto, którego imię nosiły. Wszystko, co dotyczyło Kolonii, było starannie zaplanowane i stanowiło wynik wielu lat pracy i badań grupy naprawdę nietuzinkowych ludzi. Początkiem był otwarty sprzeciw wobec Zwierzchników, wyzwanie rzucone ich polityce, wobec niemożności przeciwstawienia się ich sile. Założyciele Kolonii byli prawie pewni, że Karellen zręcznie pokrzyżuje ich plany; jednak Kontroler nie podjął żadnej akcji, dosłownie żadnej. A przecież wcale nie dodało im to tyle otuchy, ile należałoby oczekiwać. Karellen miał mnóstwo czasu — mógł szykować jakieś przeciwdziałanie. Albo był tak pewny klęski ich przedsięwzięcia, że nie uważał za konieczne podejmowanie jakiejkolwiek akcji.

Większość ludzi przepowiadała upadek Kolonii. Jednak nawet w przeszłości, na długo przedtem zanim stworzono choćby podwaliny wiedzy o dynamice ruchów społecznych, istniały społeczności ukierunkowane na cele religijne lub filozoficzne. To prawda, że ich

żywot z reguły nie trwał długo, ale niektóre pomyślnie przeszły próbę czasu. A podstawy istnienia Nowych Aten były tak solidne, jak tylko mogła to zapewnić nowoczesna nauka.

Wiele przemawiało za tym, żeby eksperyment przeprowadzić na wyspie. Jednym z bardziej istotnych elementów był aspekt psychologiczny. W erze łatwo dostępnego transportu powietrznego ocean nie stanowił istotnej przeszkody, lecz nadal zapewniał poczucie odosobnienia. Co więcej, ograniczona przestrzeń i obszar sprawiały, że Kolonia nie mogła być nazbyt liczna. Górną granicę jej populacji określono na sto tysięcy ludzi; przekroczenie tej liczby zniwelowałoby korzyści wynikające z życia w małej, zwartej społeczności. Jednym z celów, jakie wytyczyli sobie założyciele, było, aby każdy obywatel Nowych Aten znał osobiście wszystkich tych, którzy podzielali jego zainteresowania i jeden, może dwa procent pozostałych.

Człowiek, którego energia napędzała całe przedsięwzięcie, był Żydem. I podobnie jak Mojżeszowi, nie było mu dane dotrzeć do ziemi obiecanej, ponieważ Kolonia powstała w trzy lata po jego śmierci.

Urodził się w Izraelu — państwie, które jako ostatnie uzyskało niepodległość, a co za tym idzie, najkrócej istniało jako twór samodzielny. Izraelczycy dotkliwiej niż inni odczuli utratę narodowej niezależności, ponieważ niełatwo wyrzec się marzeń, o których realizację walczono całe wieki.

Ben Salomon nie był fanatykiem, ale wspomnienia dzieciństwa musiały wywrzeć znaczny wpływ na filozofię, którą wcielał w życie. Zaledwie pamiętał, jaki był świat przed przybyciem Zwierzchników i wcale nie zamierzał przywracać tego stanu. Wraz z wcale pokaźną liczbą innych inteligentnych i szlachetnych ludzi potrafił cieszyć się efektami dokonań Karellena, a jednocześnie martwić się, co wyniknie z jego długofalowych planów. Czyż nie było możliwe — mówił sobie niekiedy — że mimo ogromnej inteligencji, Zwierzchnicy naprawdę nie pojmują rodzaju ludzkiego i, kierując się najszlachetniejszymi intencjami, popełniają straszliwą pomyłkę? Przypuśćmy, że powodowani atawistycznym umiłowaniem porządku i sprawiedliwości postanowili przekształcić nasz świat, ale nie zdawali sobie sprawy z tego, że niszczą istotę człowieczeństwa?

Schyłek dopiero się rozpoczynał, ale nietrudno było dostrzec jego pierwsze objawy. Salomon nie był artystą, lecz miał doskonałe rozeznanie w sztuce i wiedział, że jego stulecie w żadnej dziedzinie nie mogło się równać z osiągnięciami poprzednich wieków. Być może, ten stan rzeczy poprawi się z czasem, kiedy minie szok wywołany spotkaniem z cywilizacją Zwierzchników. Jednak wcale nie musiało się tak stać i rozsądny człowiek powinien rozważyć możliwość podjęcia odpowiednich przeciwdziałań.

Takim działaniem były Nowe Ateny. Założenie Kolonii trwało

dwadzieścia lat i pochłonęło kilka miliardów funtów — w sumie drobny ułamek światowego dochodu narodowego. Przez pierwsze piętnaście lat nic się nie działo; wszystko wydarzyło się przez ostatnie pięć.

Salomon nie zdołałby zrealizować swojego celu, gdyby nie udało mu się przekonać paru najbardziej znanych na świecie artystów, że jego plan jest wart rozważenia. Przystali nań, ponieważ mile połechtał ich próżność; znaczenie dzieła dla rasy ludzkiej znacznie mniej ich interesowało. Skoro jednak przekonali się do projektu, świat dał im posłuch, wyrażając niezbędne poparcie moralne i materialne. Za spektakularną fasadą chwilowej popularności przystąpili do dzieła prawdziwi architekci Kolonii.

Społeczeństwo składa się z jednostek, których indywidualnych zachowań nie da się przewidzieć. Jednak jeżeli zebrać dostateczną liczbę jednostek, zaczynają zarysowywać się pewne prawidłowości, co już dawno temu odkryły towarzystwa ubezpieczeniowe. Nie można przewidzieć, które jednostki umrą w określonym terminie, ale ogólną liczbę zgonów da się przewidzieć z dość dużą dokładnością.

Były i inne, bardziej precyzyjne prawa, a pierwsze z nich odkryli już na początku dwudziestego wieku matematycy, Weiner i Rashavesky. Udowodnili oni, że takie zjawiska, jak: kryzysy ekonomiczne, wyniki wyścigu zbrojeń, stabilność społeczeństw, rezultaty wyborów i tak dalej, można analizować, używając odpowiednich metod matematycznych. Spory kłopot sprawiała przy tym mnogość czynników zmiennych, a wiele z nich trudno było wyrazić w postaci liczbowej. Nie można było wykreślić kilku krzywych i stwierdzić autorytatywnie: „Kiedy dojdziemy do tej linii, będzie to oznaczało wojnę". Nie można było także nie dostrzegać wpływu takich absolutnie nieprzewidywalnych wydarzeń, jak zabójstwa pewnych kluczowych postaci lub efektów niektórych odkryć naukowych, a tym bardziej katastrof żywiołowych, takich jak trzęsienia ziemi czy powodzie, które mogły mieć ogromne znaczenie dla dużej liczby ludzi i całych grup społecznych.

Dzięki wiedzy pracowicie gromadzonej w ciągu ostatnich stu lat udało się jednak sporo osiągnąć. Zadanie byłoby niewykonalne bez pomocy gigantycznych komputerów, które w ułamkach sekund.potrafiły wykonać pracę obliczeniową setek tysięcy rachmistrzów. Tę pomoc w pełni wykorzystano podczas opracowywania planów Kolonii.

Jednak nawet uwzględniając to wszystko, założyciele Kolonii byli w stanie stworzyć co najwyżej glebę i klimat, w jakich upragniona roślina mogła, lecz nie musiała, zakwitnąć. Sam Salomon określił to tak: „Możemy być pewni talentu; ale o geniusz musimy się już modlić". Jednak ci, którzy oczekiwali, że w tak zagęszczonym

roztworze muszą zajść jakieś interesujące reakcje, mieli trochę racji. Niewielu artystom sprzyja samotność, a nie ma potężniejszego bodźca niż konflikt umysłów o podobnych zainteresowaniach.

Jak do tej pory, wynikiem owych konfliktów były cenne osiągnięcia w dziedzinie rzeźby, muzyki, krytyki literackiej i reżyserii filmowej. Przedwcześnie byłoby oceniać czy grupa zajmująca się badaniami historycznymi spełniła nadzieje sponsorów, którzy otwarcie liczyli na odrodzenie dumy z własnych osiągnięć, jaką niegdyś odczuwała ludzkość. Wciąż podupadające malarstwo wykazywało słuszność twierdzeń tych, którzy dowodzili, że statyczne, dwuwymiarowe formy sztuki wyczerpały już możliwości dalszego rozwoju.

Jednakże zauważono, chociaż nie udało się znaleźć zadowalającego wyjaśnienia tego zjawiska, że w najciekawszych osiągnięciach artystycznych Kolonii decydującą rolę odgrywał czas. Nawet tworzone tu rzeźby rzadko bywały nieruchome. Intrygujące bryły i krzywe Andrew Carsona przekształcały się powoli na oczach widza, zgodnie z pewnym zbiorem zasad i reguł, które cieszyły umysł, nawet jeśli nie były w pełni zrozumiałe. W rzeczy samej Carson twierdził, zresztą nie bez racji, że doprowadził zrodzone sto lat wcześniej „mobile" do formy ostatecznej, dokonując w ten sposób zaślubin rzeźby i baletu.

Większość eksperymentów muzycznych Kolonii, zgodnie z zamierzeniami artystów, skupiała się na tym, co można byłoby nazwać „rozciągłością czasową". Jaka była najkrótsza nuta wychwytywana przez ludzkie ucho, a jaką najdłuższą mogło ono znieść bez znużenią? Czy można to zmienić, używając innej orkiestracji lub inaczej dyrygując? Dyskutowano o tym bez końca, a argumenty były nie zawsze wyłącznie akademickiej natury. W wyniku tych sporów powstały niekiedy bardzo interesujące kompozycje.

Jednak najciekawsze doświadczenia w Nowych Atenach dotyczyły filmów rysunkowych i ich nieograniczonych możliwości. W sto lat po Disneyu nadal były środkiem przekazu, w którym pozostało najwięcej do zrobienia. Pod względem realizmu filmy te były czasem trudne do odróżnienia od kręconych zwykłymi technikami filmowymi — ku sporemu wzburzeniu tych artystów, którzy reprezentowali szkołę abstrakcyjną.

Wśród grup artystów i naukowców jedyną nie wykazującą szczególnych postępów była ta, której osiągnięcia budziły znaczne zainteresowanie, ale i spore obawy. Był to zespół pracujący nad „całkowitą identyfikacją". Wskazówkę dla ich działalności stanowiła historia filmu. Najpierw dźwięk, potem barwa, stereoskopia, panoramiczny ekran coraz bardziej zbliżały stare „ruchome obrazy" do rzeczywistości. Do czego to miało doprowadzić? Można było

przypuszczać, że ostatecznym wynikiem postępu w tej dziedzinie będzie film, podczas którego widzowie zapomną o tym, że są tylko widzami i staną się uczestnikami akcji. Aby to osiągnąć, trzeba by oddziaływać na wszystkie zmysły, a może ponadto posłużyć się hipnozą, lecz wielu uważało, że gra jest warta świeczki. Kiedy to nastąpi, ludzkie doznania ogromnie się wzbogacą. Człowiek będzie mógł zostać, przynajmniej na krótko, kimś innym, uczestniczyć w każdej możliwej do wymyślenia przygodzie, prawdziwej czy urojonej. Będzie nawet mógł stać się rośliną lub zwierzęciem, jeśli okaże się możliwy zapis odtwarzający wrażenia zmysłowe innych żywych stworzeń. A kiedy „program" się skończy, w jego pamięci pozostaną wrażenia tak żywe jak wspomnienia autentycznych przeżyć, w istocie nie dające się odróżnić od rzeczywistych.

Ta perspektywa była oszałamiająca. Wielu ludzi uważało, że jest też przerażająca i miało nadzieję, że całe przedsięwzięcie spełznie na niczym. Jednak w głębi serca i oni wiedzieli, że jeśli nauka raz uzna jakiś pomysł za wykonalny, to nie uda się uniknąć jego realizacji.

Takie więc były Nowe Ateny i niektóre marzenia żyjących tam ludzi. Stały się tym, czym mogłyby się stać stare Ateny, gdyby zamiast niewolników miały maszyny, a zamiast przesądów i zabobonów — naukę. Jednak, mimo wszystko, eksperyment trwał jeszcze zbyt krótko, aby można było mówić o jego powodzeniu.

Jak do tej pory Jeffrey Greggson był jedynym mieszkańcem wyspy nie zajmującym się ani nauką, ani estetyką, które stanowiły dwa główne przedmioty zainteresowania starszych. Jednak z powodów osobistych z całej duszy aprobował Kolonię. Fascynowało go morze, a tu nigdzie nie było doń dalej niż kilka kilometrów. Większą część swego niedługiego życia spędził w głębi lądu i fakt, że nowe miejsce zamieszkania ze wszystkich stron otaczała woda, był dla niego czymś nowym i niezwykłym. Pływał dobrze i często jeździł z przyjaciółmi na rowerowe wycieczki, zabierając płetwy i maskę, by badać płytkie wody laguny. Początkowo Jean nie była tym szczególnie zachwycona, ale gdy sama zanurkowała kilka razy, przestała obawiać się morza z jego dziwnymi stworzeniami i pozwoliła Jeffreyowi cieszyć się nim do woli, pod warunkiem, że nigdy nie wypłynie samotnie.

Innym członkiem rodziny Greggsonów, któremu zmiana miejsca zamieszkania wyszła na dobre, była Fey, piękna, złocista wyżlica nominalnie należąca do George'a, ale rzadko widywana bez Jeffreya. Ta dwójka przez cały dzień tworzyła nierozłączną parę i gdyby nie stanowczy sprzeciw Jean, tak samo byłoby i w nocy. Fey pozostawała w domu tylko wówczas, gdy Jeffrey jechał gdzieś na rowerze; leżała wtedy niespokojnie przed drzwiami i złożywszy pysk na przednich łapach, patrzyła na drogę wilgotnymi, smutnymi oczami. Irytowało to

George'a, który przecież zapłacił za Fey i jej rodowód całkiem okrągłą sumkę. Wyglądało na to, że jeśli chce mieć swojego psa, to musi czekać na następny miot, co powinno nastąpić za trzy miesiące. Jean miała całkiem inny pogląd na tę sprawę. Lubiła Fey, ale uważała, że jeden pies w domu zupełnie wystarczy. Jedyną osobą, która nfe mogła się zdecydować, czy lubi Fey, była Jennifer Annę. Jednak nie należało się temu dziwić, ponieważ na razie nie widziała świata poza plastikowymi ściankami dziecinnego kojca i nie podejrzewała, że coś takiego w ogóle istnieje.

George Greggson nieczęsto myślał o przeszłości; całkowicie pochłaniały go plany na przyszłość, praca i zabawy z dziećmi. Naprawdę rzadko zdarzało mu się wracać myślą do tamtego wieczoru w Afryce i nigdy nie rozmawiał o tym z Jean. Zgodnie z milczącą umową oboje unikali tego tematu, nigdy też nie odwiedzili Boyce'ów, mimo wielokrotnie ponawianych zaproszeń. Kilka razy do roku dzwonili do Ruperta z przeprosinami, aż w końcu przestał im zawracać głowę. Ku ogólnemu zaskoczeniu jego małżeństwo z Mają okazało się bardzo udane.

Jednym z następstw tamtego przyjęcia było to, że Jean straciła cały zapał do babrania się w tajemnicach obrzeży wiedzy. Naiwny, bezkrytyczny zachwyt, który pociągał ją do Ruperta i jego doświadczeń, zniknął zupełnie. Być może została przekonana i nie potrzebowała żadnych dowodów; George wolał o to nie pytać. Wolał sądzić, że to troski macierzyństwa przegnały z jej myśli te niewczesne zainteresowania.

George wiedział, że nie ma po co rozmyślać o tajemnicy, której nie da się wyjaśnić, a jednak czasem budził się w środku nocy i myślał. Wspominał swoje spotkanie z Janem Rodericksem na dachu domu Ruperta i te kilka słów, jakie zamienił z jedynym człowiekiem, któremu udało się obejść zakaz Zwierzchników. Ze wszystkich nadprzyrodzonych zjawisk — myślał George — nic nie wydaje się bardziej niesamowite niż prosty, naukowy fakt, iż choć od jego rozmowy z Janem upłynęło prawie dziesięć lat, znajdujący się gdzieś daleko podróżnik postarzał się tylko o kilkanaście dni.

Wszechświat był ogromny, lecz to przerażało George'a mniej niż jego tajemnice. Nie był osobą, która poświęcałaby tym problemom wiele uwagi, ale czasami zdawało mu się, że ludzie są jak dzieci bawiące się na wydzielonym placu zabaw i chronione przed zetknięciem się z brutalną rzeczywistością zewnętrznego świata. Jan Rodericks zrezygnował z tej ochrony i uciekł i nikt nie wiedział, co go spotkało. Jednak w tej sprawie George całkowicie popierał Zwierzchników. Wcale nie ciekawiło go to, co kryło się w niezgłębionych mrokach tuż za małym kręgiem światła rzucanym przez lampę Wiedzy.

— Jak to się dzieje — powiedział żałośnie George — że zawsze kiedy jestem w domu, Jeff gdzieś przepada? Dokąd poszedł tym razem?

Jean podniosła wzrok znad szydełkowania, archaicznego zajęcia, jakie ostatnio wróciło do łask. Takie mody regularnie przechodziły nad wyspą. Głównym rezultatem tego szaleństwa było obdarowywanie wszystkich mężczyzn różnokolorowymi swetrami, o wiele za ciepłymi w dzień, ale całkiem użytecznymi po zachodzie słońca.

— Razem z kilkoma przyjaciółmi udał się na Spartę — odparła Jean. — Obiecał wrócić na obiad.

— Właściwie wróciłem do domu, żeby trochę popracować — rzekł George w zadumie. — Jednak skoro mamy taki ładny dzień, to pójdę popływać. Jaką rybę ci przynieść?

George nigdy niczego nie złowił, a ryby w lagunie były zbyt cwane, aby dać się schwytać czy upolować. Jean właśnie zamierzała mu to powiedzieć, kiedy ciszę popołudnia zakłócił dźwięk, który w tym wieku spokoju i bezpieczeństwa nadal mroził krew w żyłach i jeżył włosy na głowie.

Ryk syreny, miarowo unosząc się i opadając, słał w morze sygnał grożącego niebezpieczeństwa.

Od prawie stu lat w płonącej otchłani pod dnem oceanu powoli wzrastały napięcia. Chociaż podwodny kanion sformował się w starszych epokach geologicznych, udręczone skały nigdy nie pogodziły się ze swoim położeniem. Niezliczoną liczbę razy warstwy geologiczne trzeszczały i przesuwały się pod niewyobrażalnie wielkim ciężarem wody. Właśnie były gotowe zrobić to jeszcze raz.

Jeff penetrował skaliste zatoczki wzdłuż wąskiej plaży Sparty; zajęcie to nigdy go nie nużyło. Nigdy też nie można było przewidzieć, na jakie egzotyczne stworzenie człowiek się tu natknie, bo morskie zwierzęta chętnie chroniły się w tym miejscu przed falami biegnącymi nieustannie po Pacyfiku i rozbijającymi się o przybrzeżne rafy. Dla dziecka była to baśniowa kraina, a w tej chwili miał ją wyłącznie dla siebie, bo jego przyjaciele poszli w góry.

Dzień był cichy i spokojny. Nawet najlżejsze tchnienie wiatru nie przeleciało po wodzie, a i nieustanny huk fal bijących o rafy ścichł, zmieniając się w poszum. Oślepiające słońce odbyło już połowę swej wędrówki po niebie, lecz opalone na ciemny brąz ciało chłopca było teraz uodpornione na jego ataki.

Plaża w tym miejscu była wąskim pasem piasku ostro opadającym ku lagunie. Spoglądając w kryształowo czystą toń, Jeff widział podwodne skały, znane mu równie dobrze, jak góry na powierzchni wyspy. Na głębokości dziesięciu metrów obrośnięte wodorostami wręgi starego szkunera unosiły swe krzywizny ku światu, który opuściły prawie dwieście lat temu. Jeff z przyjaciółmi kilkakrotnie

przeszukali wrak, lecz ich nadzieje na znalezienie skarbu nie ziściły się. Wydobyli jedynie obrośnięty małżami kompas okrętowy.

Coś stanowczo wzięło plażę w dłonie i szarpnęło nią krótkim, energicznym ruchem. Wstrząs trwał tak krótko, że Jeff nie był pewny, czy w ogóle się zdarzyl. Może ogarnęło go chwilowe znużenie, bo wszystko wokół pozostało zupełnie nie zmienione. Wody laguny nie wzburzyły się, niebo było nadal bezchmurne i pogodne. A potem zaczęły się dziać bardzo dziwne rzeczy.

Szybciej niż w czasie jakiegokolwiek odpływu woda zniknęła z brzegu. Mocno zaintrygowany Jeff bez obawy patrzył na odsłonięty, lśniący w promieniach słońca piach. Ruszył za cofającym się oceanem, postanawiając wykorzystać nieoczekiwaną szansę, jaką zesłał mu los, otwierając przed nim podwodny świat. Wody cofnęły się tak daleko, że złamany maszt starego wraku sterczał w powietrzu, a porastające go glony zwisały ciężko pozbawione płynnego oparcia. Jeff pobiegł przed siebie, chcąc jak najszybciej zobaczyć inne cuda.

Wtedy zwrócił uwagę na odgłos dochodzący zza raf. Nigdy nie słyszał czegoś podobnego; zatrzymał się, aby to przemyśleć i jego bose stopy powoli zapadły się w wilgotny piach. Kilka kroków dalej wielka ryba trzepotała się w skurczach agonii, ale Jeff ledwie na nią spojrzał. Stał, słuchając w napięciu narastającego hałasu zza raf.

Był to bulgoczący, ssący dźwięk, ryk rzeki mknącej wąskim korytem. Był to odgłos niechętnie wycofującego się morza, rozzłoszczonego utratą, choćby chwilową, swoich prawowitych włości. Przez rozgałęzienia koralu, przez odkryte podwodne pieczary, miliony ton wody wyciekały z laguny w otchłań Pacyfiku.

Jednak niebawem miały wrócić — i to bardzo szybko.

Kilka godzin później jedna z ekip ratowniczych znalazła Jeffa na wielkim bloku koralu, który został wypchnięty dwadzieścia metrów nad zwykły poziom wody. Chłopiec nie był nawet specjalnie przestraszony, tylko zirytowany utratą roweru. Był także bardzo głodny, bo częściowo zniszczona grobla uniemożliwiła mu powrót do domu. Uratowano go w chwili, gdy zamierzał popłynąć do Aten, co niewątpliwie by mu się udało, chyba że nastąpiłaby jakaś radykalna zmiana kierunku prądów morskich.

Kiedy tsunami uderzyła w wyspę, Jean i George widzieli wszystko ze swego domu na wzgórzu. Mimo iż niżej położone rejony Aten poważnie ucierpiały, nikt nie stracił życia. Sejsmografy ostrzegły mieszkańców zaledwie z piętnastominutowym wyprzedzeniem, lecz to wystarczyło, aby ewakuować wszystkich poza strefę zagrożenia. Teraz Kolonia lizała rany i z faktów tworzyła legendę, która w przyszłości miała jeżyć włosy na głowach słuchaczy.

Jean wybuchnęła płaczem, kiedy zwrócono jej syna, ponieważ była przekonana, że zabrało go morze. Przecież widziała na własne,

przerażone oczy, jak czarna, spieniona ściana wody nadleciała z rykiem zza horyzontu, by rąbnąć w skały Sparty młotem piany i fal. Jean wydawało się niemożliwe, żeby Jeff zdążył uciec na czas.

W tym, że nie potrafił w żaden racjonalny sposób wytłumaczyć tego, co się stało, nie było niczego dziwnego. Kiedy już się najadł i położył do łóżka, Jean i George pochylili się nad nim.

— Spróbuj zasnąć, kochanie, i zapomnij o wszystkim — powiedziała Jean. — Jesteś już bezpieczny.

— Ale mamo, to było zabawne — zaprotestował Jeff. — Tak naprawdę, to wcale się nie bałem.

— To świetnie — odezwał się George. — Jesteś dzielnym chłopcem i dobrze, że byłeś mądry i uciekłeś w porę. Słyszałem już o tych wielkich falach. Wielu ludzi utonęło, kiedy poszli na odsłonięte dno, żeby zobaczyć, co się stało.

— Ja też tak zrobiłem — przyznał się Jeff. — Zastanawiam się, kto mi pomógł.

— Co ty mówisz? Nikogo z tobą nie było. Pozostali chłopcy byli na górze.

Jeff wyglądał na zaskoczonego.

— Jednak ktoś kazał mi uciekać.

Jean i George spojrzeli na siebie, nieco zaniepokojeni.

— Chcesz powiedzieć, że wydawało ci się, iż słyszysz jakiś głos?

— Och, daj mu już spokój — może zbyt pospiesznie wtrąciła się Jean. Lecz George był uparty.

— Chcę to wyjaśnić do końca. Powiedz mi, Jeff, co tam się właściwie stało?

— No, byłem na dole, na plaży, przy tym starym wraku, kiedy usłyszałem ten głos.

— I co ci powiedział?

— Dokładnie nie pamiętam, ale chyba coś takiego: „Jeffreyu, wejdź na wzgórze najszybciej jak potrafisz. Utopisz się, jeśli tu pozostaniesz”. Jestem pewien, że nazwał mnie Jeffreyem, a nie Jeffem. A więc nie mógł to być nikt, kogo znam.

— Czy to był głos człowieka? I skąd dobiegał?

— Słyszałem go tuż obok. I przypominał głos człowieka…

Jeff zawahał się i George ponaglił go:

— No, dalej! Wyobraź sobie, że znów jesteś tam, na plaży i opowiedz nam dokładnie, co się wtedy stało.

— No, ten głos nie przypominał żadnego z głosów, jakie kiedykolwiek słyszałem. Myślę, że to był bardzo duży człowiek.

— Czy to wszystko, co ci powiedział?

— Tak, dopóki nie zacząłem wspinać się pod górę. I wtedy zdarzyło się coś jeszcze śmieszniejszego. Znasz tę ścieżkę pod górę?

— Znam.

— Pobiegłem tamtędy, bo to była najkrótsza droga. Wiedziałem już, co się dzieje, bo widziałem tę nadlatującą wielką falę. Zresztą robiła okropny hałas. I wtedy zobaczyłem, że na drodze leży wielki głaz. Przedtem go tam nie było i nie mogłem go ominąć.

— Musiał spaść pod wpływem wstrząsu — powiedział George.

— Cii! Mów dalej, Jeff.

— Nie wiedziałem, co robić, a słyszałem, że ta fala jest coraz bliżej. I wtedy ten głos powiedział: „Jeffreyu, zamknij oczy i zasłoń twarz dłońmi". Wtedy to wydawało mi się śmieszne, ale zrobiłem tak, jak mi kazał. Potem był wielki błysk, czułem to dokładnie, i kiedy otworzyłem oczy, skała zniknęła.

— Zniknęła?

— No tak, po prostu jej tam nie było. Pobiegłem dalej i właśnie wtedy prawie poparzyłem sobie stopy, bo ścieżka była okropnie gorąca. Kiedy woda do niej dotarła, to aż syczała, ale wtedy nie mogła mnie już złapać, byłem wysoko na górze. I to wszystko. Kiedy już nie było fal, zlazłem na dół. No i wtedy zobaczyłem, że nie mam już roweru i że rozmyło drogę do domu.

— Nie martw się o rower, kochanie — powiedziała Jean, przyciskając syna do siebie. — Dostaniesz inny. Liczy się tylko to, że jesteś bezpieczny. Nieważne jak to się stało.

Oczywiście, nie mówiła prawdy, bo zaraz po tym jak opuścili pokój dziecinny, zaczęli się nad tym zastanawiać. Wprawdzie nie doszli do żadnych konkretnych wniosków, ale narada miała swoje następstwa. Następnego dnia, nic nie mówiąc George'owi, Jean zabrała synka do dziecięcego psychologa Kolonii. Wysłuchał uważnie historii, którą wcale nie speszony otoczeniem Jeff opowiedział jeszcze raz. Późnię], w czasie gdy niczego nie podejrzewający pacjent bawił się zabawkami w sąsiednim pokoju, doktor uspokajał Jean:

— W jego karcie nie ma niczego, co sugerowałoby jakiekolwiek odchylenia od normy psychicznej. Musi pani pamiętać, że chłopiec przeżył okropny szok i świetnie sobie z tym poradził. Jest dzieckiem o bardzo rozwiniętej wyobraźni i prawdopodobnie wierzy w swoją historię. Proszę więc ją zaakceptować i niczym się nie martwić, chyba że pojawią się inne objawy. Wtedy, oczywiście, proszę mnie natychmiast zawiadomić.

Tego samego wieczoru Jean przekazała opinię lekarza mężowi. Nie wyglądało Tia to, by poczuł ulgę, jakiej się spodziewała, ale złożyła to na karb szkód, jakie poniósł jego ukochany teatr. Mruknął po prostu: To doskonale, i powrócił do najnowszego wydania „Sceny i studia". Wydawało się, że cała sprawa go nie interesuje i Jean trochę to rozzłościło.

Jednak trzy tygodnie później, pierwszego dnia, w którym przywrócono ruch na grobli, George żwawo pomknął na swym

rowerze w kierunku Sparty. Plaża była jeszcze usłana odłamkami koralu, a bariera rafy w jednym miejscu wyglądała na przerwaną. George zastanawiał się, ile czasu zajmie miliardom cierpliwych polipów naprawa uszkodzenia.

Na skały prowadziła tylko jedna ścieżka i kiedy odsapnął, ruszył nią w górę. Kilka zeschniętych glonów tkwiących między głazami znaczyło granicę, do której sięgnęły fale.

George Greggson przez dłuższą chwilę stał na pustej dróżce, spoglądając na pasmo stopionej skały pod nogami. Próbował sobie wmówić, że to ślad pozostawiony przez dawno wygasły wulkan, ale niebawem dał spokój daremnym próbom. Wrócił myślą do tej nocy przed wielu laty, gdy razem z Jean uczestniczyli w tym idiotycznym eksperymencie Ruperta Boyce'a. Nikt w pełni nie pojął tego, co wtedy się zdarzyło i George wiedział, że w jakiś niepojęty sposób łączy się to z ostatnim wydarzeniem. Najpierw Jean, potem jej syn. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy martwić; w duchu odmówił dziękczynną modlitwę:

— Dzięki ci, Karellenie, za to, co twoi zrobili dla Jeffa, cokolwiek to było. Jednak bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego go ocalili?

Powoli poszedł w dół, ku play, a wielkie białe mewy krążyły wotó niego zaskoczone tym, że nie przyniósł nic do jedzenia i nie rzucał im, gdy krążyły po niebie.

Żądanie Karellena, chociaż można było się tego spodziewać od chwili założenia Kolonii, wywarło piorunujące wrażenie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Ateny znalazły się w kryzysowej sytuacji i nikt nie potrafił powiedzieć, czy wizyta obróci się na dobre, czy na złe.

Aż do tej pory Kolonia rozwijała się bez jakichkolwiek prób nacisku ze strony Zwierzchników. Zostawili ją w spokoju, podobnie zresztą jak ignorowali większość ludzkich działań, o ile nie były destrukcyjne i niezgodne z ich kodeksem postępowania. Trudno było ocenić, czy cele, ku którym zdążali mieszkańcy Kolonii, możnaby nazwać destrukcyjnymi. Nie dotyczyły polityki, lecz niosły wezwanie do niezależności artystycznej i intelektualnej. Któż mógł przewidzieć, do czego to doprowadzi? Może Zwierzchnicy widzieli przyszłość Aten wyraźniej niż założyciele Kolonii i niewykluczone, że nie spodobało im się to, co zobaczyli.

Oczywiście, jeśli Karellen chciał przysłać obserwatora, inspektora czy jak tam zechciał go nazwać, nic nie można było na to poradzić. Dwadzieścia lat wcześniej Zwierzchnicy oznajmili, że zrezygnowali z korzystania ze swoich aparatów śledzących, tak więc ludzkość nie powinna już czuć się podpatrywana. Jednak urządzenia te nadal istniały, co oznaczało, że przed Zwierzchnikami niczego nie dało się ukryć, jeśli naprawdę chcieli się czegoś dowiedzieć.

Byli na wyspie i tacy, którzy uznali tę wizytę za szansę rozstrzygnięcia jednego z wielu zagadnień dotyczących psychologii Zwierzchników, a mianowicie ich stosunku do sztuki. Czy uważali ją za dziecinną aberrację ludzkiej rasy? Czy oni sami mają jakikolwiek rodzaj sztuki? A jeśli tak, to czy cel tej wizyty był wyłącznie estetyczny, czy też motywy Karellena były mniej niewinne?

Wszystkie te problemy roztrząsano bez końca, jednocześnie przygotowując się na przyjęcie gościa. O przybywającym Zwierzchniku nie wiedziano niczego, lecz zakładano, że może wchłonąć nieograniczoną liczbę wytworów kultury. Przynajmniej tak to zaplanowano, a reakcje ofiary miał obserwować cały sztab bardzo bystrych umysłów.

Aktualnym przewodniczącym Rady był filozof, Charles Yan Sen, szyderca, ale w zasadzie miły człowiek, który jeszcze nie ukończył sześćdziesięciu lat, a zatem miał całe życie przed sobą. Platon widziałby w nim przykład filozofa-polityka, ale Yan Senowi niezbyt podobał się Platon, gdyż podejrzewał go o mylną interpretację myśli Sokratesa. Był jedynym wyspiarzem, który zamierzał wykorzystać wizytę Zwierzchnika choćby po to, żeby mu udowodnić, iż ludzie mają jeszcze mnóstwo pomysłów i nie zostali dotąd — jak to określał — całkowicie udomowieni.

W Atenach nie robiono niczego bez utworzenia odpowiedniego komitetu — tej firmowej nalepki demokracji. Istotnie, ktoś kiedyś określił Kolonię jako system komitetów wzajemnie uniemożliwiających sobie pracę. Jednak system ten funkcjonował, co należało przypisać cierpliwym studiom psyehosocjologów, którzy byli rzeczywistymi założycielami Aten. Społeczność wyspy nie była zbyt liczna i każdy jej członek mógł uczestniczyć w zarządzaniu nią, stając się tym samym obywatelem w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Było niemal pewne, że wysoko stojący w hierarchii artystycznej George wejdzie w skład komitetu powitalnego. Jednak upewnił się o tym, pociągając za kilka odpowiednich nitek. Jeśli Zwierzchnicy chcieli przyjrzeć się Kolonii, on chciał przyjrzeć się Zwierzchnikom. Jean nie była tym zachwycona. Od czasu owego wieczoru u Boyce'ów czuła dziwną niechęć do Zwierzchników, chociaż nie potrafiła wyjaśnić jej przyczyn. Po prostu wolała mieć z nimi jak najmniej do czynienia i jedną z największych atrakcji, jakie ofiarowywała jej wyspa, była domniemana niezależność Kolonii. Teraz Jean obawiała się, że tej niezależności może coś zagrażać.

Zwierzchnik przybył bez wielkiej pompy, w gliderze zbudowanym przez ludzi, rozczarowując tych, którzy oczekiwali czegoś bardziej widowiskowego. Mógł to być nawet Karellen we własnej osobie, ponieważ nikt nie potrafił odróżnić jednego Zwierzchnika od drugiego. Wszyscy wyglądali jak odlewy wykonane w tej samej

formie. Może dzięki jakimś procesom biologicznym tak właśnie było.

Po pierwszym dniu wyspiarze ledwie zwracali uwagę na przejeżdżający samochód gościa, odbywającego kolejną wycieczkę krajoznawczą. Prawdziwe imię przybysza — Thanathalteresco — było zbyt trudne do wymówienia, aby używać go na co dzień, tak więc wkrótce zaczęto nazywać go Inspektorem. Ta nazwa świetnie pasowała do jego nienasyconej ciekawości i apetytu na informacje.

Charles Yan Sen był mocno zmęczony, gdy dobrze po północy odprowadził Inspektora do glidera służącego gościowi za hotel. Niewątpliwie Zwierzchnik zamierzał kontynuować pracę w nocy, kiedy ludzie, ulegając jednej ze swoich słabostek, zapadli w sen.

Pani Sen z ulgą powitała wracającego męża. Stanowili dobraną parę, mimo iż on na użytek własny miał zwyczaj nazywać ją Ksantypą. Ona od dawna odgrażała się, że wyciągnie z tego wnioski i uwarzy mu puchar cykuty, lecz na szczęście wywar z tej rośliny nie był stosowany w Nowych Atenach tak często jak w starych.

— Udało się? — zapytała, gdy mąż zasiadł do spóźnionej kolacji.

— Chyba tak, chociaż nikt nie ma pojęcia, co się dzieje w tych wspaniałych umysłach. Był bardzo zainteresowany, a nawet prawił komplementy. Przy okazji przeprosiłem go za to, że nie zapraszam go do domu. Powiedział, że doskonale to rozumie ł nie ma ochoty rozbijać sobie głowy o nasze sufity.

— A co pokażesz mu jutro?

— Sposób, w jaki funkcjonuje Kolonia, co chyba nie nudzi go tak bardzo jak mnie. Zadawał najrozmaitsze pytania dotyczące produkcji, równoważenia budżetu, zasobów surowcowych, wskaźnika urodzin, gospodarki żywnościowej i tak dalej. Całe szczęście, że był ze mną sekretarz Harrison, który chyba wykuł na pamięć wszystkie.sprawozdania roczne od czasu powstania Kolonii. Szkoda, że nie słyszałaś, jak przerzucali się danymi statystycznymi. Inspektor sporo załapał i jestem gotów założyć się, że kiedy zobaczymy się z nim jutro, będzie mógł odtworzyć z pamięci wszystkie podane liczby. Uważam, że ta ich nadzwyczajna pamięć jest okropnie przygnębiająca. — Ziewnął i bez szczególnego entuzjazmu zaczął jeść. — Jutrzejszy dzień powinien być bardziej interesujący. Idziemy do szkół i do Akademii. Kiedy już tam będziemy, to dla odmiany ja zadam mu parę pytań. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Zwierzchnicy wychowują swoje dzieciaki, zakładając oczywiście, że w ogóle je posiadają.

Na to pytanie Charles Yan Sen nigdy nie otrzymał odpowiedzi, lecz w innych sprawach Inspektor okazał się zaskakująco rozmowny. W sposób godny podziwu potrafił unikać odpowiedzi na kłopotliwe pytania, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, stawał się gadatliwy.

Pierwsza nić sympatii zawiązała się między nimi, gdy wyjeżdżali

ze szkoły będącej największą chlubą całej Kolonii.

— Kształcenie tych młodych umysłów dla przyszłości — zauważył Yan Sen — to wielka odpowiedzialność. Na szczęście ludzkie istoty są nadzwyczaj oporne na wiedzę i sporo trzeba się natrudzić, żeby im naprawdę zaszkodzić. Nawet jeśli nasze cele są źle wybrane, to nasze małe ofiary prawdopodobnie to przetrzymają. A jak pan widział, wyglądają na bardzo szczęśliwe.

Przerwał i spojrzał figlarnie na swojego wysokiego towarzysza. Inspektor był od stóp do głów spowity w jakiś odbijający światło, srebrzysty materiał, tak że ani cal jego ciała nie ucierpiał od ostrych promieni słonecznych. Yan Sen wiedział, że za tymi ciemnymi okularami kryją się oczy nie wyrażające żadnych uczuć lub wyrażające uczucia, jakich nigdy nie zdoła zrozumieć.

— Nasze problemy z wychowywaniem dzieci są, jak przypuszczam, podobne do tych, jakie macie z wychowaniem rasy ludzkiej. Czy zgadza się pan z tym stwierdzeniem?

— W pewnym sensie — przyznał poważnym tonem Zwierzchnik. — Jednak może lepszą analogię dałoby się znaleźć w historii waszych podbojów kolonialnych. Z tych powodów zawsze interesowało nas imperium rzymskie i brytyjskie. Szczególnie pouczający jest przypadek Indii. Zasadniczą różnicą między nami a Brytyjczykami w Indiach jest fakt, że oni nie mieli żadnych powodów, aby podbijać półwysep; żadnych rozsądnych powodów, pomijając tak trywialne i irracjonalne, jak ekspansja handlowa czy wrogość innych państw europejskich. Imperium wpadło im w ręce, zanim zdecydowali, co z nim zrobić i nie zaznali spokoju, dopóki się od niego nie uwolnili.

— A czy wy — zapytał Yan Sen, nie mogąc oprzeć się pokusie — uwolnicie się od waszego imperium, kiedy nadejdzie właściwy czas?

— Bez chwili wahania — odparł Inspektor.

Yan Sen wolał nie rozwijać tego tematu. Szczerość odpowiedzi wcale nie była pochlebstwem; ponadto właśnie przybyli do Akademii, gdzie zebrani pedagogowie chcieli wypróbować ostrość swych umysłów na prawdziwym, żywym Zwierzchniku.

— Jak już powiedział panu nasz znakomity kolega — rzekł profesor Chance, rektor Uniwersytetu Nowych Aten — naszym głównym celem jest pobudzanie umysłów wychowanków i sprawianie, aby uświadomić sobie swoje możliwości. Obawiam się, że poza granicami tej wyspy — tu jednym gestem objął i odrzucił resztę świata — rasa ludzka straciła inicjatywę. Ludzkość ma pokój, ma dobrobyt, ale nie ma perspektyw rozwoju.

— Natomiast tutaj…? — przerwał śmiało Zwierzchnik.

Profesor Chance, który był pozbawiony poczucia humoru, ale niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że próbowano z niego zadrwić,

obrzucił gościa podejrzliwym spojrzeniem.

— My tutaj nie cierpimy na starą obsesję — mówił dalej — że lenistwo jest złem. Jednak nie uważamy też, iż wystarczy bierne uczestnictwo. Każdy mieszkaniec wyspy ma jedną ambicję, którą można wyrazić w dwóch prostych słowach. Zrobić cokolwiek, choćby to było coś naprawdę niewielkiego, lepiej niż ktokolwiek inny. To, rzecz jasna, ideał, który nie wszyscy osiągają. Jednak we współczesnym świecie już samo dążenie do ideału jest wielką sprawą. Osiągnięcie go jest już znacznie mniej istotne.

Wydawało się, że Inspektor nie zamierza tego komentować. Zdjął już swój ubiór ochronny, ale nawet w przyćmionym świetle auli nadal nosił ciemne szkła. Co oczywiście całkowicie uniemożliwiało i tak daremne próby odczytania jego myśli. Jednak najwidoczniej nie miał ochoty oponować przeciw temu nieco prowokującemu stwierdzeniu ani przeciw krytyce polityki, jaką jego rasa prowadzi wobec Ziemi.

Rektor zamierzał atakować dalej, kiedy przewodniczący Wydziału Nauk, profesor Sperlłng, postanowił włączyć się do dyskusji, nie popierając żadnej ze stron.

— Sir, jak pan zapewne wie, jednym z największych problemów naszej cywilizacji był rozdźwięk między nauką a sztuką. Bardzo chciałbym poznać pańską opinię w tej sprawie. Czy zgodziłby się pan z poglądem, że wszyscy artyści są nienormalni? Albo że ich dzieła, a przynajmniej pobudki ich działań, są efektem pewnego głęboko ukrytego w podświadomości rozczarowania?

Profesor Chance chrząknął znacząco, ale Inspektor go uprzedził.

— Powiedziano mi, że każdy człowiek jest w pewnym sensie artystą, jako że każdy może stworzyć coś nowego, nawet jeśli nie jest to rzecz wielka. Na przykład wczoraj w waszej szkole zauważyłem, jaki nacisk kładliście na umiejętność wypowiadania się poprzez malarstwo, rysunek ł rzeźbą. Wydawało mi się, że oczekujecie tego od wszystkich uczniów, nawet tych, którzy w przyszłości mają zostać naukowcami. Zatem jeśli wszyscy artyści są nienormalni i wszyscy ludzie są artystami, dochodzimy do ciekawego sylogizmu…

Wszyscy oczekiwali, że skończy zdanie. Jednak Zwierzchnicy, jeśli chcieli, potrafili wykazać zadziwiające wyczucie taktu…

Inspektor wysłuchał do końca koncertu symfonicznego połączonego z efektami świetlnymi, czego niestety nie dało się powiedzieć o wielu obecnych na sali. Jedynym ustępstwem na rzecz popularnych gustów była Symfonia psalmów Strawińskiego; pozostałe utwory były agresywnie modernistyczne. Niezależnie od poglądu na ten rodzaj muzyki trzeba przyznać, że wykonanie było wspaniałe, ponieważ przechwałki Kolonistów, że posiadają jedną z najlepszych orkiestr na świecie nie były wyssane z palca Koncert poprzedziły liczne kłótnie między rywalizującymi ze sobą kompozytorami o to,

komu przypadnie zaszczyt włączenia jego dzieła do programu, mimo iż kilku cyników zastanawiało się, czy w ogóle w tym wypadku można mówić o zaszczycie. Chociaż wszyscy zakładali, że jest inaczej, mogło się przecież okazać, że Zwierzchnik jest głuchy jak pień.

Zauważono jednak, że po koncercie Thanathal-teresco odszukał trzech obecnych na sali kompozytorów i pogratulował im tego, co nazwał „wybitną pomysłowością". Sprawiło to, że odeszli zadowoleni, ale i nieco zdziwieni.

George Greggson dopiero trzeciego dnia wizyty miał okazję spotkać Inspektora. W teatrze przygotowano składankę: dwie jednoaktówki, jeden monodram w wykonaniu światowej sławy aktora i jedną scenę baletową. I tym razem całość wypadła wspaniale i przepowiednia jednego z krytyków: „Teraz przynajmniej dowiemy się, czy Zwierzchnicy potrafią ziewać", nie spełniła się. Inspektor nawet zaśmiał się kilka razy, i to we właściwych momentach.

A jednak i tu nie można było mieć pewności. Mógł przecież wspaniale udawać, odbierając wyłącznie treść przedstawienia i nie czując przy tym absolutnie nic tak jak antropolog uczestniczący w jakimś prymitywnym obrzędzie. Fakt, że wydawał prawidłowe dźwięki i reagował tak jak należy, niczego nie dowodził.

Choć George naprawdę starał się porozmawiać z Inspektorem, nic z tego nie wyszło. Po spektaklu zamienili kilka zdawkowych słów, gdy ich sobie przedstawiano, a potem gość został porwany przez tłum. Odizolowanie go od otaczających ludzi okazało się absolutnie niemożliwe i George wrócił do domu strasznie rozczarowany. Nie miał pojęcia, co by powiedział, gdyby nadarzyła się okazja, lecz był wewnętrznie przekonany, że potrafiłby skierować rozmowę na Jeffa. A teraz okazja przeszła koło nosa.

Jego zły humor trwał dwa dni. Wśród obustronnych zapewnień o wzajemnej życzliwości Inspektor odleciał swoim gliderem, a potem okazało się, że historia ta ma jednak dalszy ciąg. Nikomu nie przyszło do głowy, aby zapytać Jeffa, a chłopiec musiał długo nad tym rozmyślać, zanim postanowił zwrócić się do George'a.

— Tato — powiedział tuż przed pójściem do łóżka. — Znasz tego Zwierzchnika, który nas odwiedził?

— Tak — mruknął ponuro George.

— Wiesz, on przyszedł do naszej szkoły i słyszałem, jak rozmawiał z niektórymi nauczycielami. Nie bardzo rozumiałem, co mówił, ale myślę, że poznałem jego głos. To on kazał mi uciekać, zanim nadeszła wielka fala.

— Czy jesteś tego zupełnie pewien? Jeff zawahał się.

— Niezupełnie, ale jeśli to nie on, to musiał to być inny Zwierzchnik. Zastanawiałem się, czy mu nie podziękować. Ale on już sobie poleciał, prawda?

— Tak — odparł George. — Obawiam się, że już odleciał. Myślę jednak, że jeszcze nadarzy ci się okazja. A teraz idź do łóżka jak grzeczny chłopiec i nie myśl o tym więcej.

Kiedy Jeff był już w łóżku, a Jenny wykąpana i nakarmiona zasypiała w kojcu, Jean przyszła i usiadła na dywanie, opierając się o nogi George'a. Ten zwyczaj denerwował go trochę jako irytująco sentymentalny, lecz nie uważał, aby było warto kruszyć o to kopie. Starał się tylko przyjąć możliwie elegancką pozycję.

— I co teraz o tym myślisz? — zapytała zmęczonym, obojętnym głosem. — Czy wierzysz, że to w ogóle miało miejsce?

— Wierzę — odparł mąż. — Ale może niemądrze robimy, martwiąc się na zapas. W końcu większość rodziców na naszym miejscu byłaby po prostu wdzięczna i oczywiście ja też jestem wdzięczny. Wyjaśnienie może być całkiem proste. Wiemy, że Zwierzchnicy interesowali się Kolonią i z pewnością obserwowali nas za pomocą swoich urządzeń mimo obietnic, jakie uczynili ludzkości. Załóżmy, że któryś z nich zerkał na nas za pomocą swoich skanerów i zobaczył zbliżającą się falę. Ostrzeżenie wszystkich, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie, byłoby czymś naturalnym.

— Nie zapominaj, że znał imię Jeffa. Nie, musimy być obserwowani. Jest w nas coś szczególnego, coś co przyciąga ich uwagę. Czułam to od przyjęcia u Ruperta. Zabawne, jak zmieniło ono nasze życie.

George spojrzał na nią z sympatią, lecz to było wszystko, co do niej teraz czuł. Dziwne, jak bardzo ktoś może się zmienić w tak krótkim czasie. Kiedyś dałby się za nią posiekać; urodziła mu dzieci i stała się częścią jego życia. Lecz ile pozostało z miłości, jaką czuł niezbyt dziś dobrze pamiętany przez niego facet nazywający się George Greggsori do ulotnego marzenia zwanego Jean Morrel? Teraz dzielił swoją miłość między Jeffa, Jennifer i Carolle. Nie sądził, aby Jean wiedziała o Carolle i zamierzał jej o wszystkim powiedzieć, zanim zrobi to ktoś inny. Tylko jakoś nigdy się nie składało.

— No więc dobrze; Jeff jest obserwowany, a właściwie chroniony. Czy nie sądzisz, że to powód do dumy? Może Zwierzchnicy planują dla niego świetlaną przyszłość? Zastanawiam się, co też mają dla niego w planie?

Wiedział, że mówi tak, aby dodać Jean nieco otuchy. Sam nie był zbytnio zaniepokojony, ale raczej zbity z tropu i zaintrygowany. Całkiem nieoczekiwanie przyszła mu do głowy pewna myśl; coś, na co powinien wpaść wcześniej. Spojrzał w kierunku pokoju małej.

— Zastanawiam się, czy chodzi im tylko o Jeffa — rzekł.

W odpowiednim czasie Inspektor złożył raport. Wyspiarze daliby wiele, żeby go zobaczyć. Wszystkie dane statystyczne i wyniki wprowadzono do nienasyconej pamięci komputerów, które były

jednym, choć nie jedynym, źródłem potęgi Karellena. Jednak nim te bezcielesne, elektroniczne umysły doszły do swoich wniosków, Inspektor wydał własną opinię. Wyrażona w słowach i pojęciach jakiejkolwiek ludzkiej rasy miałaby następujący sens:

— Nie musimy podejmować żadnej akcji przeciw Kolonii. To interesujący eksperyment, ale żadną miarą nie wpłynie na przyszłość. Ich przedsięwzięcia artystyczne nie dotyczą nas; nie ma też dowodów, że badania naukowe zdążają w niebezpiecznym kierunku. Tak jak zaplanowałem, udało mi się, nie budząc podejrzeń, zobaczyć wyniki nauczania Obiektu Zero. Interesujące nas dane dołączyłem do raportu i można stwierdzić, że nadal nie ma nadzwyczajnych osiągnięć. Jednak, jak wiemy, Przebicie rzadko jest poprzedzone sygnałami ostrzegawczymi. Spotkałem też ojca Obiektu i odniosłem wrażenie, że chciał ze mną porozmawiać. Na szczęście udało mi się tego uniknąć.

Z pewnością czegoś się domyśla, lecz nigdy nie odgadnie prawdy i nie ma wpływu na bieg wydarzeń. Coraz bardziej żal mi tych ludzi.

George Greggson podpisałby się oburącz pod werdyktem Inspektora, że Jeff jest całkowicie normalnym chłopcem. Tylko ten jeden niezwykły wypadek, zaskakujący jak uderzenie gromu w długi, pogodny dzień.

Jedno zdarzenie i nic poza tym.

Jeff wykazywał energię i dociekliwość typowego siedmiolatka. Był inteligentny, kiedy mu na tym zależało, ale daleko mu było do geniusza. Czasami Jean myślała ze zniechęceniem, że doskonale określa go klasyczna definicja małego chłopca: Hałas otoczony brudem. Chociaż jeśli chodzi o brud, to trudno dawał się sprawdzić, bowiem warstewki musiały nakładać się na siebie przez dłuższy czas, aby można je było odróżnić od normalnej opalenizny.

Jeff potrafił być niezwykle podniecony, a zaraz potem przygnębiony, zachowywać rezerwę i za chwilę działać impulsywnie. Nie wykazywał nadmiernego przywiązania do żadnego z rodziców i przyjście na świat siostrzyczki przyjął bez żadnych oznak zazdrości. Jego karta choroby była idealnie czysta; nie chorował nawet przez jeden dzień. Jednak w tych czasach i w tym klimacie nie było w tym niczego niezwykłego.

Inaczej niż to bywa u niektórych chłopców, towarzystwo ojca nigdy nie nudziło Jeffa i nie szukał każdej sposobności, aby znaleźć się w towarzystwie rówieśników. Było rzeczą oczywistą, że odziedziczył po George'u uzdolnienia artystyczne i ledwie nauczył się chodzić, został stałym gościem za kulisami teatru Kolonii. Zespół traktował go jako swoją maskotkę i chłopiec nabrał niezwykłej wprawy we wręczaniu bukietów gościnnie występującym znakomitościom sceny i ekranu.

Tak, Jeff był zupełnie przeciętnym chłopcem.

To właśnie powtarzał sobie George, uspokajając sam siebie, kiedy spacerowali lub jeździli rowerami po niezbyt rozległej wyspie. Rozmawiali ze sobą, tak jak to czynili ojcowie i synowie od niepamiętnych czasów, jeśli pominąć fakt, że ten wiek dostarczał znacznie więcej tematów do rozmowy. Chociaż Jeff nigdy nie postawił stopy poza wyspą, mógł do woli oglądać świat oczyma wszędobylskiej telewizji. Jak wszyscy Koloniści czuł lekką pogardę dla reszty rodzaju ludzkiego. Oni byli elitą, forpocztą postępu. Doprowadzą ludzkość do wyżyn, które osiągnęli Zwierzchnicy, a może jeszcze wyżej. Nie jutro, rzecz jasna, ale pewnego dnia…

Nawet nie przeczuwali, że ten dzień nadejdzie aż nazbyt szybko.

Sześć tygodni później zaczęły się sny.

W mroku tropikalnej nocy George Greggson powoli wypływał na powierzchnię świadomości. Nie wiedział, co go obudziło i przez chwilę leżał otępiały. Potem zdał sobie sprawę z tego, że jest sam. Jean wstała i poszła na palcach do pokoju dziecinnego. Mówiła coś do Jeffa, zbyt cicho, by George mógł zrozumieć, o co chodzi.

Ospale podniósł się z łóżka i poszedł do żony. Ich Maleństwo dość często robiło im nocne alarmy, ale w takim wypadku hałas był taki, że nie było mowy o spaniu. Teraz rzecz miała się zupełnie inaczej i George zastanawiał się, co obudziło Jean.

Jedynym źródłem światła w pokoju były fosforyzujące wzory na ścianach. W tym słabym blasku George ujrzał Jean siedzącą przy łóżku Jeffa. Gdy wszedł, obróciła się do niego i szepnęła:

— Nie budź Maleństwa. Wiedziałam, że Jeff mnie potrzebuje i to mnie obudziło.

Rzeczowość tego stwierdzenia spowodowała, że George zadrżał, przeczuwając coś niedobrego. „Wiedziałam, że Jeff mnie potrzebuje. Skąd wiedziała?” — pomyślał. Jednak zapytał tylko:

— Czy ma złe sny?

— Nie jestem pewna — powiedziała Jean. — Wydaje się, że teraz wszystko jest w porządku. Ale kiedy tu weszłam, był przerażony.

— Nie byłem przerażony, mamusiu — George usłyszał cichy, urażony głosik. — Ale to było takie dziwne miejsce.

— Jakie miejsce? — zapytał George. — Opowiedz mi o nim.

— Tam były góry — powiedział sennie Jeff. — Były takie wysokie i nie leżał na nich śnieg tak jak na innych górach, które już widziałem. A niektóre z nich paliły się.

— Chcesz powiedzieć, że to były wulkany?

— Niezupełnie. One całe się paliły, takimi błękitnymi płomieniami. A jak patrzyłem na to wszystko, to wzeszło słońce…

— Mów dalej, dlaczego przerwałeś? Zaskoczony i zdziwiony Jeff spojrzał na ojca.

— Bo to jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem. Ono bardzo

szybko poszło w górę i było o wiele za duże. I nie miało właściwego koloru. Było śliczne i niebieskie.

Nastąpiła długa, mrożąca krew w żyłach chwila ciszy. Potem George zapytał łagodnie:

— Czy to wszystko?

— No. Poczułem się trochę samotnie i wtedy przyszła mamusia i obudziła mnie.

George jedną ręką pogładził zmierzwione włosy synka, a drugą zapiął szlafrok. Nagle poczuł się mały i zziębnięty. Jednak gdy znów odezwał się do Jeffa, w jego głosie nie było śladu tych uczuć.

— To po prostu głupi sen; za dużo zjadłeś na kolację. Bądź rozsądnym chłopcem; zapomnij o tym i śpij.

— Dobrze, tato — odparł Jeff. Przez chwilę milczał, a potem dodał w zadumie: — Chyba spróbuję pójść tam jeszcze raz.

— Błękitne słońce? — zapytał Karellen po kilku godzinach. — To musi bardzo ułatwiać identyfikację.

— Tak — odparł Rashaverak. — Niewątpliwie to Alphanidon 2. Góry Siarczane są potwierdzeniem tego faktu. Interesująca jest także różnica w upływie czasu. Planeta bardzo wolno obraca się wokół swej osi. Chłopak musiał w ciągu kilku minut zaobserwować to, co w rzeczywistości trwało wiele godzin.

— I to wszystko, co zdołałeś odkryć?

— Tak, chyba że zapytam chłopca wprost.

— Tego nie wolno nam uczynić. Wydarzenia muszą biec swoim naturalnym trybem, bez naszej ingerencji. Kiedy rodzice nas poproszą, wtedy, być może, wypytamy go.

— Mogą wcale się do nas nie zwrócić. A nawet jeśli to zrobią, może już być za późno.

— Obawiam się, że nic na to nie możemy poradzić. Nie wolno nam zapominać, że nasza ciekawość nie ma znaczenia. Teraz liczy się jedynie szczęście rodzaju ludzkiego. — Sięgnął ręką do wyłącznika. — Oczywiście, nie przerywajcie obserwacji i meldujcie mi o wszystkim. Jednak w żaden sposób nie ingerujcie.

Kiedy Jeff obudził się, nadal był tym samym chłopcem. „Przynajmniej za to — pomyślał George — możemy dziękować losowi". Jednak w głębi serca był coraz bardziej przerażony.

Dla Jeffa była to tylko zabawa; jeszcze nie zaczął się bać. Sen to po prostu sen — jakkolwiek dziwny mógł się wydawać. I chłopiec nie czuł się już samotny w światach, które otwierały się przed nim we śnie. Tylko tej pierwszej nocy jego umysł wzywał Jean przez te nieprzebyte otchłanie, jakie ich dzieliły. Teraz bez obawy ruszał samotnie we wszechświat, który się przed nim otwierał.

Każdego ranka rodzice wypytywali go, a on opowiadał, co zdołał zapamiętać. Czasami brakowało mu słów i milkł, nie potrafiąc opisać

scen, które przekraczały nie tylko jego doświadczenie, ale i ludzką wyobraźnię.

Podpowiadali mu nowe słowa, pokazywali barwy i obrazy, usiłując odświeżyć mu pamięć i odnaleźć jakiś sens w jego odpowiedziach. Często nic z tego nie wychodziło, chociaż wyglądało na to, że w umyśle Jeffa te światy ze snów są jasne i wyraziste. Po prostu nie potrafił przekazać swoich wrażeń rodzicom. Jednak niektóre były dość proste…

Przestrzeń — żadnego krajobrazu, żadnej planety ni świata pod stopami. Jedynie gwiazdy otoczone aksamitnym mrokiem i zawieszone w głębi wielkie, czerwone słońce, kurczące się i powiększające jak serce. Ogromne i zamglone w jednej chwili, w następnej zaczynało się kurczyć i jaśnieć, jakby w piekielne ognisko dorzucano nowego opału. Wspinało się po skali widmowej aż do granicy żółci i bieli, a potem cykl się powtarzał; gwiazda powiększała się i stygła, zmieniając się w poszarpaną, czerwoną chmurę płomieni.

(— Typowy pulsar o przemiennym cyklu — szybko określił Rashaverak. — Również oglądany ze straszliwym przyspieszeniem. Nie mogę dokładnie tego umiejscowić, ale najbliższą gwiazdą takiego typu jest Rhamsandron 9. Może to też być Pharanidon 12.

— Gdziekolwiek to jest — odparł Karellen — chłopak sięga coraz dalej od domu.

— O wiele dalej — przytaknął Rashaverak.)

Mogłaby to być Ziemia. Na błękitnym niebie usianym uciekającymi przed burzą chmurami wisiało białe słońce. Zbocze góry łagodnie opadało ku oceanowi rozpylanemu przez szalejący wiatr. Jednak nic się nie poruszało; cała scena zamarła jak utrwalona nagłym błyskiem piorunu. A daleko, daleko na horyzoncie było coś, co nie istniało na Ziemi: szereg ledwie widocznych słupów wznoszących się z morza, lekko zwężających się ku górze i ginących w podstawie chmur. Z idealną precyzją były rozmieszczone na obwodzie planety, zbyt ogromne jak na sztuczne twory i zbyt regularne jak na naturalne.

(— Sideneus 4 i Kolumny Świtu — powiedział Rashaverak z niepokojem w głosie. — Dotarł do centrum wszechświata…

— A przecież dopiero co rozpoczął swoją podróż — odparł Karellen.)

Planeta była przeraźliwie płaska. Straszliwa grawitacja już dawno skruszyła w proch góry wypiętrzone w czasach bujnej młodości globu — szczyty, z których najwyższe nie miały więcej niż kilka metrów wysokości. Jednak i tu kwitło życie, ponieważ powierzchnię planety pokrywały miliardy geometrycznych wzorów pełzających, poruszających się i zmieniających jak w kalejdoskopie. To był

dwuwymiarowy świat zamieszkany przez istoty, których grubość nie przekraczała ułamków centymetra.

Zaś na niebie płonęło słońce, którego nie wyobraziłby sobie w najdzikszych snach żaden palacz opium. Zbyt jasne, by określić je jako białe, było zimnym widmem na granicy ultrafioletu, palącym planety promieniowaniem zabójczym dla wszelkich ziemskich form życia. Na cztery miliony kilometrów rozpościerało wielkie chmury gazów i pyłu, a zasłona ta jarzyła się fosforescencją niezliczonych barw, gdy przebijały się przez nią rozbłyski ultrafioletu. W porównaniu z tą gwiazdą Słońce było zaledwie błyskiem świetlika w samo południe.

(— Hexanerax 2; w znanym nam wszechświecie jest tylko jedno takie miejsce — powiedział Rashaverak. — Kilku naszym statkom udało się tam dotrzeć, ale nigdy nie zaryzykowano lądowania, bo któż mógł przypuszczać, że na takiej planecie istnieje życie.

— Wygląda na to — odparł Karellen — że wy, naukowcy, nie byliście tak dokładni jak sądziliście. Jeśli te wzory to inteligentne istoty, to porozumienie się z nimi może być niezwykle interesującym problemem. Zastanawiam się, czy one wiedzą cokolwiek o trzecim wymiarze?)

Był to świat, który nigdy nie poznał znaczenia nocy i dnia, lat i pór roku. Na jego niebie krążyło sześć kolorowych słońc, tak że następowała jedynie zmiana barwy światła i planeta nie znała, co to mrok. Szarpana i popychana przeciwstawnymi polami grawitacji, wirowała po swojej skomplikowanej orbicie, nigdy nie odbywając dwukrotnie tej samej drogi. Każdy punkt tej orbity był niepowtarzalny: konfiguracja, jaką w danej chwili tworzyło sześć słońc, miała się już nigdy nie powtórzyć po tej stronie wieczności.

Jednak nawet i tam było życie. Chociaż planeta mogła być osmalona płomieniami w jednej — a skuta lodem na zewnętrznej orbicie w drugiej epoce, ona również była siedliskiem rozumu. Wielkie, wielopłaszczyznowe kryształy tworzące skomplikowane bryły, nieruchome w erach chłodnych, rozrastały się wolno wzdłuż żył minerałów, gdy powracało ciepło. To nieważne, że dokończenie rozpoczętej myśli zajmowało im tysiąc lat. Świat był wciąż młody, a przed sobą miał niezmierzone obszary czasu…

(— Przejrzałem wszystkie nasze zapisy — powiedział Rashaverak. — Nic nie wiemy o takim świecie ani o kombinacji takich gwiazd. Gdyby istniał gdzieś w naszym wszechświecie, odkryliby go astronomowie, nawet jeśliby leżał poza zasięgiem naszych statków.

— A więc chłopak sięgnął poza Galaktykę.

— Tak. Teraz to już długo nie potrwa.

— Co możemy o tym wiedzieć? On tylko śni. Kiedy się budzi,

pozostaje nadal zwyczajnym chłopcem. To wciąż pierwsze stadium. Jednak kiedy zaczną się zmiany, dowiemy się o tym wcześniej…)

— Spotkaliśmy się już kiedyś, panie Greggson — powiedział poważnie Zwierzchnik. — Nazywam się Rashaverak. Na pewno mnie pan pamięta.

— Tak — odparł George. — Na przyjęciu u Ruperta Boyce'a. Mało prawdopodobne, żebym zapomniał. Tak myślałem, że jeszcze się spotkamy.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego prosił pan o spotkanie.

— Myślę, że pan już wie…

— Być może, ale dla nas obu będzie lepiej, jeśli pan sam mi to powie. Może to pana zdziwi, ale ja także próbuję coś z tego zrozumieć i w niektórych sprawach moja niewiedza jest równie wielka, jak pańska.

George spojrzał na Zwierzchnika ze zdumieniem. Taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. Podświadomie zakładał, że Zwierzchnicy posiedli całą wiedzę i dysponują absolutną potęgą i dlatego doskonale wiedzą, co się dzieje z Jeffem, a może nawet są za to odpowiedzialni.

— Zakładam — powiedział — że widzieliście raporty, które przedłożyłem psychologowi Kolonii, a więc wiecie o tych snach.

— Tak, wiemy o nich.

— Nigdy nie uważałem ich za wytwór dziecięcej wyobraźni. Były tak niewiarygodne, że chociaż wiem, iż to brzmi śmiesznie, muszą mieć oparcie w rzeczywistości.

Popatrzył niespokojnie na Rashaveraka, nie wiedząc, czy spodziewać się zaprzeczenia, czy potwierdzenia. Zwierzchnik nic nie powiedział; po prostu spoglądał na niego swoimi wielkimi, spokojnymi oczyma.'Siedzieli niemal twarzą w twarz, bowiem pokój, najwidoczniej zaprojektowany dla takich spotkań, miał dwa poziomy i solidne krzesło Zwierzchnika stało o metr niżej niż fotel George'a. To był przyjazny gest, poprawiający samopoczucie ludzi, którzy prosili o takie spotkanie i rzadko byli w beztroskim nastroju.

— Początkowo trochę się martwiliśmy, ale uważaliśmy, że to nic poważnego. Jeff po przebudzeniu zachowywał się zupełnie normalnie i wcale nie przejmowa! się tymi snami. Jednak potem przyszła taka noc… — Zawahał się i popatrzył na Zwierzchnika, jakby szukając u niego pomocy. — Nigdy nie wierzyłem w rzeczy i zjawiska nadprzyrodzone; nie jestem naukowcem, ale myślę, że wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć.

— Oczywiście — powiedział Rashaverak. — Wiem, co pan zobaczył; obserwowałem was.

— Zawsze to podejrzewałem. Przecież Karellen obiecywał, że nie będziecie nas szpiegować swoimi instrumentami. Dlaczego złamał pan tę obietnicę?

— Nie złamałem jej. Karellen powiedział, że rodzaj ludzki nie będzie już więcej śledzony. To obietnica, której musimy dotrzymać. Obserwowałem wasze dzieci, nie was.

Minęło kilka sekund, zanim George w pełni zrozumiał znaczenie słów Rashaveraka. Potem krew odpłynęła mu z twarzy.

— Chce pan powiedzieć… — szepnął. Głos go zawiódł i musiał zacząć jeszcze raz. — Na miłość boską, czymże więc są moje dzieci?

— To właśnie — odparł poważnie Rashaverak — próbujemy ustalić.

Jennifer Annę Greggson, dawniej znana jako Maleństwo, leżała na plecach i mocno zaciskała powieki. Od dawna ich nie otwierała i już nigdy ich nie otworzy, ponieważ były jej zbyteczne, tak jak byłyby niepotrzebne mieszkańcowi morskich głębin posiadającemu wiele innych zmysłów. Wiedziała, co się dzieje w otaczającym ją świecie; prawdę mówiąc, wiedziała dużo więcej.

W wyniku dziwnego kaprysu przeistoczenia, z krótkiego dzieciństwa pozostał jej jeden odruch. Cieszący ją niegdyś dźwięk grzechotki rozbrzmiewał teraz bez końca w skomplikowanym, wciąż zmieniającym się rytmie. Właśnie te niezwykłe synkopy obudziły Jean i kazały jej przybiec do pokoju dzieci. Jednak nie sam dźwięk był powodem tego, że zaczęła głośno wołać George'a.

Sprawił to widok zwykłej, jaskrawo malowanej grzechotki drgającej samoistnie w powietrzu pół metra od podłogi, podczas gdy zadowolona Jennłfer Annę leżała na plecach z mocno zaciśniętymi tłuściutkimi rączkami, uśmiechając się spokojnie.

Zaczęła później, ale robiła szybkie postępy. Wkrótce miała wyprzedzić swojego brata, ponieważ musiała zapomnieć o wiele mniej niż on.

— Mądrze postąpiliście — powiedział Rashaverak — nie próbując dotykać jej zabawki. Nie sądzę, żeby udało wam się ją ruszyć. Jednak gdyby wam się powiodło, dziewczynka mogłaby się zirytować. A wtedy nie wiadomo co mogłoby się stać.

— Czy chce pan powiedzieć — powiedział ponuro George — że nic nie możecie zrobić?

— Nie będę pana oszukiwał. Możemy badać i obserwować, tak jak to właśnie czynimy. Jednak nie możemy ingerować, bo nie rozumiemy tego zjawiska.

— Cóż więc mamy robić? I dlaczego to wszystko przydarzyło się właśnie nam?

— Komuś musiało się przytrafić. W waszej rodzinie nie było nic szczególnego, podobnie jak w pierwszym neutronie rozpoczynającym reakcję łańcuchową w bombie atomowej. On jest po prostu pierwszy. Mógłby to być każdy inny neutron, tak jak zamiast na miejscu Jeffreya mógłby być każdy inny siedmiolatek na świecie. Obserwowane

zjawisko nazywamy Przebiciem Totalnym. Teraz nie ma już powodu, aby trzymać wszystko w tajemnicy i bardzo mnie to cieszy. Czekaliśmy na to od chwili, gdy dotarliśmy do Ziemi. W żaden sposób nie mogliśmy przewidzieć, gdzie i kiedy do tego dojdzie, dopóki nie spotkaliśmy się przypadkowo na przyjęciu u Ruperta Boyce'a. Od tamtej pory wiedziałem, byłem prawie pewien, że pańskie dzieci będą pierwszymi.

— Przecież wtedy jeszcze nie byliśmy małżeństwem. My nawet nie…

— Tak, wiem. Jednak umysł panny Morrel był tym kanałem, przez który dotarła do nas wiadomość, której nie mógł posiadać żaden z żyjących w owym czasie ludzi. Ta wiedza mogła pochodzić jedynie z innego umysłu pozostającego z nią w bliskim kontakcie. Fakt, że ten umysł jeszcze się nie narodził, nie był tak bardzo istotny, bowiem czas jest czymś o wiele dziwniejszym niż pan sądzi.

— Zaczynam pojmować. Jeff to widzi, dostrzega inne światy i może powiedzieć, skąd przybyliście. A Jean w jakiś sposób przechwyciła jego myśli, mimo że chłopak jeszcze się nie narodził.

— Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana niż pan myśli, lecz nie przypuszczam, aby kiedykolwiek był pan bliższy prawdy niż w tej chwili. W całej historii ludzkości pojawiali się osobnicy dysponujący niewytłumaczalnymi siłami, które zdawały się niezależne od czasu i przestrzeni. Oni sami nigdy tego nie rozumieli, a wszyscy usiłowali tłumaczyć to zjawisko i prawie zawsze wychodził z tego bezsensowny bełkot. Wiem o tym aż za dobrze, bo dość się tego naczytałem! Istnieje jednak pewna analogia, która… hmm… dostarcza niejakich wskazówek i może nam się przydać. Często przewija się w waszej literaturze. Proszę sobie wyobrazić, że każdy umysł jest wyspą otoczoną oceanem. Każda jest pozornie odizolowana od innych, lecz w istocie łączy je skalne podłoże, z którego wyrosły. Gdyby ocean zniknął, byłby to koniec wysp. Wszystkie stałyby się częścią kontynentu, chociaż zatraciłyby swą indywidualność.

— Telapatia, jak ją nazywacie, jest czymś w tym rodzaju. W odpowiednich warunkach umysły mogą łączyć się i dzielić swoją zawartością, a kiedy ponownie odizolują się od siebie, są bogatsze o nowe doświadczenia i wspomnienia. W swojej najdoskonalszej formie te siły nie podlegają zwykłym ograniczeniom czasu i przestrzeni. Właśnie dlatego Jean mogła przejąć tę wiedzę od jej nie narodzonego jeszcze syna.

Nastąpiła długa cisza, w czasie której George borykał się z tymi zdumiewającymi myślami. Powoli wszystko zaczęło się układać. Prawda wynikająca z owych informacji zdawała się niewiarygodna, ale miała swoją wewnętrzną logikę. Wyjaśniała także, jeśli w ogóle można użyć tego słowa wobec spraw tak niepojętych, wszystko, co

wydarzyło się od tamtegfo przyjęcia u Boyce'ów. Nagle George zrozumiał także, że to wyjaśnia również ciekawość Jean dla zjawisk nadprzyrodzonych.

— Co zapoczątkowało ten proces? — zapytał. — I do czego to zaprowadzi?

— Na te pytania nie potrafimy odpowiedzieć. We wszechświecie jest wiele ras i niektóre z nich odkryły tę siłę na długo przed tym, zanim na scenie pojawiliście się wy lub my. One czekają na was; czekają, aż przyłączycie się do nich i teraz nadeszła ta chwila.

— A jaka jest wasza rola w tym wszystkim?

— Jak większość ludzi, pan zapewne uważał nas za swoich władców. To nie jest tak. Nigdy nie byliśmy niczym więcej jak strażnikami wykonującymi obowiązki narzucone nam przez kogoś stojącego nad nami. Ten obowiązek czy służbę niełatwo zdefiniować; może najlepszym porównaniem byłyby pielęgniarki asystujące przy trudnym porodzie. Pomagamy w narodzinach czegoś nowego i niezwykłego. — Rashaverak zawahał się. — Tak, jesteśmy pielęgniarkami. Jednak sami jesteśmy rasą bezpłodną.

W tym momencie George zrozumiał, że stoi w obliczu tragedii okropniejszej od jego własnej. To było nieprawdopodobne i w pewnym sensie sprawiedliwe. Mimo całej swej potęgi i świetności Zwierzchnicy utknęli w ewolucyjnym ślepym zaułku. Oto miał przed sobą przedstawiciela wielkiej i szlachetnej rasy, pod każdym niemal względem górującej nad ludźmi, lecz nie mającej przed sobą żadnej przyszłości i świadomej tego faktu. W obliczu takiej tragedii problemy George'a wydawały się trywialne i błahe.

— Teraz już wiem — powiedział — dlaczego obserwowaliście Jeffreya. Pełnił rolę świnki morskiej w tym eksperymencie.

— Dokładnie tak, chociaż nie mieliśmy żadnego wpływu na ten eksperyment. Nie my go rozpoczęliśmy, po prostu próbujemy go obserwować. Nie mieszamy się do niczego, chyba że jesteśmy do tego zmuszeni.

„Tak — pomyślał George. — Ta wielka fala. Nie mogli pozwolić, aby cenny okaz został zniszczony".

Lecz zaraz poczuł wstyd, czując, że jego rozgoryczenie i gniew były nie na miejscu.

— Mam tylko jeszcze jedno pytanie — powiedział. — Co mamy robić z naszymi dziećmi?

— Dopóki możecie, cieszcie się nimi — odparł łagodnie Rashaverak. — Nie zostaną z wami długo.

Taką radę można było dać rodzicom wszystkich dzieci w ciągu minionych wieków, lecz teraz kryła się w niej groźba i strach, których nigdy przedtem w niej nie było.

I nadszedł czas, kiedy sny Jeffreya nie oddzielały się już od

rzeczywistości. Przestał chodzić do szkoły i życie rodzinne Jean i George'a całkowicie się zmieniło; wkrótce zresztą tak samo stało się na całym świecie.

Unikali wszystkich znajomych, jakby już teraz zdawali sobie sprawę, że niebawem nikt nie będzie ich darzył sympatią. Czasami, w mroku nocy, kiedy wiedzieli, że nie spotkają zbyt wielu ludzi, wychodzili razem na spacer. Byli sobie teraz bardziej bliscy niż kiedykolwiek od czasu miodowego miesiąca. Zjednoczeni w obliczu wielkiego nieszczęścia, które wkrótce miało na nich spaść.

Z początku zostawiali śpiące w domu dzieci, mając poczucie winy, ale wkrótce wiedzieli, że Jeff i Jenny potrafią sami zadbać o siebie w niezrozumiały dla otoczenia sposób. A ponadto byli pod obserwacją Zwierzchników. Ta myśl dodawała Greggsonom otuchy; czuli, że nie są osamotnieni w obliczu swojego problemu i że ich czuwanie dzielą z nimi mądre, współczujące oczy.

Jennifer spala; nie można było trafniej opisać stanu, w jakim się znajdowała. Zewnętrznie pozostała niemowlęciem, lecz wyczuwało się otaczającą ją moc i uczucie to było tak przerażające, że Jean nie potrafiła się zmusić, by wejść do pokoju dziecinnego.

Nie było już zresztą takiej potrzeby. Istota, która kiedyś była Jennłfer Annę Greggson, jeszcze nie ukształtowała się w pełni, lecz nawet w tym larwalnym stadium posiadała taką władzę nad otoczeniem, że sama umiała zatroszczyć się o swoje sprawy. Jean tylko raz próbowała ją nakarmić — bezskutecznie. Jennifer Annę wolała odżywiać się w wybranym przez siebie czasie i na swój sposób.

Żywność znikała z lodówki wolnym i regularnym strumieniem, chociaż mała nigdy nie opuszczała łóżeczka.

Grzechotanie ustało i porzucona zabawka leżała teraz na podłodze dziecinnego pokoju, jednak nikt, nie ośmielił się jej dotknąć. Jennifer Annę mogła przecież znów jej zapragnąć. Czasami sprawiała, że meble same ustawiały się w dziwaczne wzory i George'owi wydawało się, że fosforyzująca farba na ścianach pokoju świeciła teraz dużo jaśniej niż przedtem.

Jennłfer Annę nie sprawiała żadnych kłopotów; trwała poza ich obecnością i miłością. To było nie do zniesienia i w czasie, jaki im pozostał, rozpaczliwie lgnęli do Jeffa.

On także się zmieniał, ale nadal ich rozpoznawał. Chłopiec, którego rozwój obserwowali od niemowlęcia, tracił swoją osobowość zanikającą na ich oczach z godziny na godzinę. A jednak czasem rozmawiał z nimi tak jak przedtem, opowiadając o swoich zabawkach i przyjaciołach, jakby nieświadomy tego, co go oczekiwało. Lecz przeważnie nie dostrzegał ich i nic nie wskazywało na to, że zdaje sobie sprawę z ich obecności. W ogóle przestał sypiać, ale oni czasem

musieli trochę się zdrzemnąć, mimo iż z całych sił próbowali jak najlepiej wykorzystać tych niewiele pozostałych im chwil.

W przeciwieństwie do Jenny chłopiec chyba nie posiadał niezwykłej władzy nad przedmiotami — może dlatego, że był już na tyle duży, iż nie potrzebował jej tak bardzo. Jego niezwykłość ograniczała się do życia wewnętrznego, którego sny były teraz tylko niewielką częścią. Potrafił całymi godzinami stać bez ruchu, z zamkniętymi oczami, jakby słuchał dźwięków, które nie docierały do nikogo poza nim. Jego umysł czerpał wiedzę — nie wiadomo jak i kiedy — która wkrótce miała zawładnąć i zniszczyć na pół sformowane stworzenie, które kiedyś było Jeffreyem Greggsonem.

A Fey będzie siadywała, spoglądając na niego smutnymi i zdziwionymi ślepiami, zastanawiając się, dokąd odszedł jej pan i kiedy do niej wróci.

Jeff ł Jenny byli pierwszymi, ale niebawem nie byli już sami. Jak epidemia przenosząca się błyskawicznie z kraju do kraju, metamorfoza objęła cały rodzaj ludzki. Praktycznie dotknęła wszystkie dzieci w wieku do dziesięciu lat i nikogo ze starszych.

To był koniec cywilizacji, kres wszystkiego, ku czemu ludzie dążyli od niepamiętnych czasów. W ciągu kilku dni ludzkość utraciła przyszłość, bo gdy się traci wszystkie swoje dzieci, ten cios łamie serce i odbiera chęć do życia.

Nie było paniki, jaka mogłaby wybuchnąć sto lat wcześniej. Świat pogrążył się w otępieniu, a wielkie miasta pozostały ciche i milczące. Działały tylko służby niezbędne dla ich istnienia i zaspokajające podstawowe ludzkie potrzeby. Planeta pogrążyła się w żałobie, opłakując wszystko to, co odeszło na zawsze.

A wtedy, tak jak uczynił to w dawno zapomnianych czasach, Karellen po raz ostatni przemówił do ludzkości.

— Moja praca tutaj dobiega końca — powiedział Karellen z milionów radioodbiorników. — A teraz, po stu latach, nareszcie mogę wam powiedzieć, na czym polegała. Wiele musieliśmy przed wami ukrywać, także my sami przez połowę naszego pobytu na Ziemi kryliśmy się przed Człowiekiem. Wiem, że niektórzy z was uważali, że nie było to potrzebne. Przywykliście do naszej obecności i nie możecie już sobie wyobrazić, jak zareagowaliby na nasz widok wasi przodkowie. Jednak teraz możecie zrozumieć przesłanki takiego postępowania i wiedzcie, że były to ważne powody. Największym sekretem jaki ukryliśmy przed wami, był cel naszego przybycia na Ziemię — cel, który wywoływał nie kończące się spekulacje. Aż do tej pory nie mogliśmy go wam wyjawić, ponieważ ta tajemnica nie należała do nas. Sto lat temu przybyliśmy do waszego świata, ratując was przed samozagładą. Nie sądzę, aby ktoś chciał temu zaprzeczyć, chociaż nikt nie podejrzewał, pod jaką postacią przyszłaby ta zagłada.

Groźba fizycznego unicestwienia zniknęła, ponieważ zakazaliśmy posiadania broni jądrowej i wszystkich tych śmiercionośnych zabawek, jakie zgromadziliście w swoich arsenałach. Myśleliście, że było to jedyne niebezpieczeństwo. Chcieliśmy, abyście tak uważali, lecz nie było to prawdą. Największe zagrożenie, w obliczu którego stanęliście, było zupełnie innej natury i nie wy jedni znaleźliście się w jego cieniu. Wiele ras docierało do skrzyżowania dróg z napisem „potęga jądrowa", unikało samozagłady i zaczynało budować pokojowe, wspaniałe cywilizacje, które zostawały doszczętnie zniszczone przez siły, o jakich nie zdążyły się niczego dowiedzieć. W dwudziestym wieku i wy coraz częściej zaczęliście stykać się z tymi siłami. Z tego właśnie powodu nasza ingerencja stała się konieczna. Przez cały ten wiek ludzkość powoli dryfowała ku przepaści, nawet nie podejrzewając jej istnienia. Nad tą przepaścią przerzucono tylko jeden most. Niewiele ras odnalazło go samodzielnie. Niektóre cofnęły się w porę, unikając niebezpieczeństwa, ale i tracąc szansę zwycięstwa. Ich światy stały się elizejskimi wyspami spokoju i nie odgrywają już żadnej roli we wszechświecie. Nie taki byłby wasz los. Wasza rasa miała w sobie zbyt wiele witalności. Runęłaby w przepaść, zabierając ze sobą inne, bo wy nigdy nie znaleźlibyście mostu. Obawiam się, że prawie wszystko co mam wam do powiedzenia, muszę przekazywać za pomocą analogii. W waszej mowie brakuje wielu słów i pojęć dla rzeczy, o których chciałbym wam powiedzieć, a i nasza wiedza o nich jest żałośnie nikła i niezadowalająca. Aby to zrozumieć, musicie wrócić do przeszłości i odnaleźć wiele z tego, co było rzeczywistością waszych przódków, a o czym my pomogliśmy wam zapomnieć. Bowiem cały nasz pobyt tutaj był oparty na wielkim oszustwie i ukrywaniu prawdy, na której przyjęcie nie byliście jeszcze gotowi. W stuleciach poprzedzających nasze przybycie wasi naukowcy odkryli tajemnice świata materialnego i poprowadzili was od energii parowej do atomowej. Pozbyliście się przesądów, zabobonów — jedyną religią ludzkości stała się nauka. To był prezent, jaki mniejszość Zachodu podarowała rodzajowi ludzkiemu, niszcząc wszystkie religie. Te, które istniały jeszcze w chwili naszego przybycia, były już w agonii. W powszechnym przekonaniu nauka mogła wyjaśnić wszystko i nie istniały żadne siły, do których nie mogła przyłożyć swej miary ani wydarzenia, których rozum nie jest w stanie pojąć. Pochodzenie i początki wszechświata mogły pozostać niewiadomą, lecz wszystko to, co zdarzyło się potem, podlegało prawom fizyki. Jednak wasi mistycy, chociaż pogubili się w swoich złudzeniach, dostrzegli część prawdy. Istnieją siły umysłu i poza nim, których nauka z całym swym aparatem badawczym nie była w stanie zgłębić. Przez wszystkie wieki notowano niezliczone, dziwne zjawiska: telekinezy, telepatii, prekognicji, które potrafiliście nazwać, ale nie

umieliście ich wyjaśnić. Początkowo nauka ignorowała je, potem przeczyła ich istnieniu, wbrew dowodom zebranym przez pięć tysięcy lat. Jednak one istnieją i jeśli jakakolwiek teoria dotycząca wszechświata ma być kompletna, musi je uwzględniać. W pierwszej połowie dwudziestego wieku kilku waszych naukowców zaczęło badać te zjawiska. Nie zdawali sobie sprawy, że majstrowali przy zamku „puszki Pandory". Siły, jakie mogli w ten sposób wyzwolić, przewyższały wszelkie zagrożenia ze strony arsenałów atomowych. Albowiem fizycy mogli jedynie spopielić Ziemię, zaś parapsychologowie mogli płomień zniszczenia roznieść na gwiazdy. Nie można było do tego dopuścić. Nie potrafię w pełni wyjaśnić istoty zagrożenia, jakie sobą przedstawialiście. Dla nas nie byliście groźni, może dlatego nie rozumiemy tego niebezpieczeństwa. Zatem powiedzmy, że stalibyście się czymś w rodzaju psychicznego i telepatycznego nowotworu, złowrogą umysłowością, która swoim nieuniknionym rozkładem zatrułaby inne, większe umysły. I tak przybyliśmy, zostaliśmy przysłani, na Ziemię. Przerwaliśmy wasz rozwój na wszystkich płaszczyznach kulturalnych, ale co najważniejsze, położyliśmy kres wszystkim poważnym badaniom nad zjawiskami nadprzyrodzonymi. Doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że kontrast między poziomem naszych cywilizacji zahamował również wszystkie wasze osiągnięcia twórcze. To był efekt uboczny i nie miał żadnego znaczenia. A teraz muszę wam powiedzieć coś, co może uznacie za zdumiewające i niewiarygodne. Nie dysponujemy wszystkimi tymi możliwościami, tą uśpioną mocaj nawet jej nie rozumiemy. Nasze mózgi niepomiernie dominują nad waszymi, lecz w ludzkich umysłach jest coś, co zawsze nam umykało. Prowadzimy badania nad tym od chwili, gdy przybyliśmy na Ziemię. Wiele się dowiedzieliśmy i dowiemy się jeszcze więcej, ale wątpię, abyśmy kiedykolwiek odkryli całą prawdę. Nasze rasy mają ze sobą wiele wspólnego — oto powód, dla którego właśnie nam powierzono to zadanie. Jednak pod pewnymi względami stanowimy końcowe stadia dwóch różnych ewolucji. My osiągnęliśmy pułap naszych możliwości. Podobnie, w obecnej postaci, jest z wami. Jednak wy możecie przejść na wyższy poziom, i na tym polega różnica między nami. Nasz potencjał jest już na wyczerpaniu, podczas gdy wasz jest jeszcze nietknięty. W sposób, jakiego nie pojmujemy, wiąże się to z siłami, o których wspomniałem — z potęgami budzącymi się w waszym świecie. Zatrzymaliśmy wasz zegar, daliśmy wam czas na opanowanie tych sił, skierowanie ich w kanały, jakie dla nich przygotowano. To, co zrobiliśmy dla waszej planety, podnosząc poziom życia, przynosząc pokój i sprawiedliwość, to wszystko zrobilibyśmy i tak, skoro zmuszono nas, żebyśmy wmieszali się w nie swoje sprawy. A wszystkie te ogromne zmiany odwróciły uwagę ludzi od prawdy i w

ten sposób pomogły nam osiągnąć cel. Jesteśmy waszymi strażnikami — i niczym więcej. Często musieliście zastanawiać się, jaka jest pozycja mojej rasy w hierarchii wszechświata. Tak jak my górujemy nad wami, tak i my mamy nad sobą kogoś, kto posługuje się nami do osiągnięcia swoich celów. Nigdy nie udało nam się odkryć, kim oni są i nie ośmielamy się sprzeciwiać ich poleceniom. Wielokrotnie otrzymywaliśmy rozkaz udania się do jakiegoś świata, którego cywilizacja dopiero rozkwitała i poprowadzenia go drogą, którą my nigdy nie podążymy, a którą wy idziecie teraz. Wiele razy obserwowaliśmy proces, który kazano nam pielęgnować i żywiliśmy nadzieję, iż nauczymy się uwalniać od naszych ograniczeń. Jednak dostrzegamy jedynie ogólny charakter zjawiska. Nazwaliście nas Zwierzchnikami, nie zdając sobie sprawy z ironicznego wydźwięku tej nazwy. Powiedzmy więc, że nad nami jest Nadzwierzchnik, używający nas jak garncarz używa swego koła. A wasza rasa jest gliną formowaną na tym kole. Wierzymy, chociaż jest to jedynie teoria, że Nadzwierzchnik próbuje rozrosnąć się, aby zwiększyć swoją potęgę i swoją świadomość wszechświata. Teraz musi już być sumą wielu ras, od dawna wolną od wladzy materii. Zdaje sobie sprawę z istnienia każdego rozumu, gdziekolwiek by się on nie znajdował. Kiedy pojął, że jesteście prawie gotowi, przysłał nas z poleceniem przygotowania was do przemiany, która jest już teraz bardzo bliska. Wszystkie poprzednie zmiany waszej rasy trwały całe wieki. Jednak ta obecna jest przemianą intelektu, nie ciała. W skali ewolucji będzie to kataklizm trwający mgnienie oka. On już się zaczął. Musicie spojrzeć prawdzie w oczy: jesteście ostatnim pokoleniem homo sapiens. O naturze tej przemiany możemy powiedzieć bardzo niewiele. Nie mamy pojęcia, jak przebiega ani co kieruje impulsem, którego używa Nadzwierzchnik, gdy uzna, że nadszedł już czas. Zauważyliśmy tylko, że proces zaczyna się od pojedynczego osobnika — zawsze jest nim dziecko — i rozprzestrzenia się łańcuchowo jak kryształ rosnący w przesyconym roztworze. Dorośli pozostają nietknięci, ponieważ ich umysły zastygły w niemożliwej do zmienienia formie. Za parę lat ten proces sę zakończy i rasa ludzka ulegnie podziałowi. Nie ma już powrotu ani przyszłości dla świata, jaki znacie. Wszystkie nadzieje ł marzenia waszej rasy okażą się płonne. Z was zrodzili się wasi spadkobiercy i następcy, a waszą tragedią jest to, że nigdy ich nie pojmiecie, nigdy nawet nie zdołacie skomunikować się z ich umysłami. Zresztą w rzeczywistości oni nie będą posiadali takich umysłów, do jakich przywykliście. Będą jedną całością, tak jak wy jesteście sumą miliardów komórek waszego ciała. Dojdziecie do wniosku, że nie są już ludźmi i będziecie mieli rację. Powiedziałem wam to wszystko, abyście wiedzieli, czego oczekiwać. Za kilka godzin nadejdzie krytyczna chwila. Moim zadaniem i obowiązkiem jest

chronić tych, których mi kazano. Mimo budzącej się potęgi mogą zostać zniszczeni przez otaczające ich masy — tak, nawet przez własnych rodziców, kiedy ci pojmą, co w istocie się stało. Muszę zabrać ich stąd i izolować — zrobię to dla waszego i ich dobra. Nie będę was winił, jeśli spróbujecie mi przeszkodzić, chociaż to nic nie da. Budzi się potęga większa od mojej, a ja jestem tylko jednym z jej narzędzi. A potem… Co mam zrobić z wami, z tymi, którzy pozostaną przy życiu, kiedy dopełni się wasze przeznaczenie? Najprostsze, a może i najbardziej miłosierne, byłoby zabić was, jak dobija się śmiertelnie rannego konia. Jednak nie mogę tego zrobić. Sami wybierzecie swoją przyszłość na pozostałe wam lata. Mam nadzieję, że ludzkość w pokoju odejdzie na spoczynek, ze świadomością, że nie istniała nadaremnie. To, co daliście światu, może być wam całkowicie obce, może nie dzielić waszych pragnień i nadziei, może uznać wasze największe osiągnięcia za dziecinadę — a jednak jest to coś wspaniałego ł pozostanie waszym dziełem. Kiedy nasza rasa zostanie zapomniana, część waszej nadal będzie istniała. Nie przeklinajcie więc nas za to, co musieliśmy wam uczynić. I pamiętajcie — zawsze będziemy wam zazdrościć.

Jean przedtem płakała, teraz już nie. Gdy statek powoli nadleciał nad bliźniacze szczyty Sparty, wyspa kąpała się w promieniach bezdusznego słońca. Nie tak dawno temu na tej skalistej wysepce jej syn cudem uszedł śmierci, cudem, który teraz rozumiała aż za dobrze. Czasami zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby Zwierzchnicy powstrzymali się od interwencji i pozostawili go samemu sobie. Śmierć była czymś, czemu umiałaby stawić czoła, bo robiła to już wcześniej, taki był naturalny bieg rzeczy. Jednak to było dziwniejsze niż śmierć i bardziej nieodwołalne. Dotychczas ludzie umierali, ale ludzkość trwała.

Dzieci nie wydawały dźwięków i nie poruszały się. Stały w niewielkich grupkach na piasku, nie okazując sobie większego zainteresowania niż domom, które opuszczały na zawsze. Niektóre niosły niemowlęta, zbyt małe aby chodzić — lub nie chcące przyzywać sił czyniących chodzenie zbędnym. „Bo przecież — pomyślał George — jeśli potrafią przenosić w czasie i przestrzeni nieożywioną materię, to tym bardziej mogą robić to z własnymi ciałami. Po co w ogóle Zwierzchnicy zabierali je na statki?”

Jednak nie miało to większego znaczenia. Odchodziły i wybrały taki właśnie sposób. Nagle George zrozumiał, z czym kojarzyła mu się oglądana scena. Kiedyś, dawno temu, widział starą, dwudziestowieczną kronikę filmową przedstawiającą podobny exodus. Musiał to być początek pierwszej, a może drugiej wojny światowej. Długie sznury pociągów pełnych dzieci opuszczających zagrożone miasta i rodziców, których wiele z nich miało już nigdy nie ujrzeć.

Niektóre płakały, inne były zaskoczone tym co się działo i nerwowo zaciskały w rączkach swoje małe bagaże, ale większość patrzyła w przyszłość, czekając na wielką przygodę.

A jednak w tej analogii krył się jakiś fałsz. Historia nie powtarza się..Czymkolwiek były istoty, które odchodziły, z pewnością nie były już dziećmi. I tym razem nie będzie powrotów.

Statek wylądował na brzegu morza i osiadł głęboko w miękkim piasku. Rząd wielkich, wygiętych płyt jednocześnie odchylił się w dół i na plażę opuściły się trapy podobne do metalowych języków. Rozproszone, niewypowiedzianie samotne postacie zaczęły podchodzić i gromadzić się w tłum, który poruszał się jak zwykły tłum złożony z ludzi.

Samotne? George zastanawiał się, dlaczego przyszło mu do głowy właśnie takie określenie. Przecież było to jedyne uczucie, jakiego tamci nie mogli zaznać. Samotny może być tylko pojedynczy osobnik, tylko człowiek. Kiecfy opadną ostatnie bariery, sąmotność zniknie wraz z osobowością. Niezliczone, pojedyncze krople deszczu wpadną do oceanu.

Poczul, jak Jean w gwałtownym przypływie emocji coraz mocniej ściska jego dłoń.

— Spójrz — szepnęła. — Widzę Jeffa. Przy tamtych drugich drzwiach.

Patrzyli z dużej odległości i trudno było mieć pewność. Niełatwo było coś dostrzec przez mgłę zasnuwającą oczy. Jednak to był Jeff — George nie miał wątpliwości. Rozpoznał syna, który jedną nogą wszedł już na trap.

Jeff odwrócił się i spojrzał za siebie. Jego twarz widziana z tej odległości stanowiła jedynie jasną plamkę i nie sposób było stwierdzić, czy pojawił się na niej choćby cień rozpoznania lub pamięci o tym, co pozostawiał za sobą. George nie miał się nigdy dowiedzieć, czy Jeff odwrócił się zupełnie przypadkowo, i czy w tych ostatnich sekundach, kiedy był jeszcze ich synem, wiedział, że patrzą, jak wkracza w świat, do którego oni nie mieli wstępu.

Wielkie drzwi zaczęły się zamykać. A wtedy Fey podniosła pysk do góry i zaskowyczała cicho i rozpaczliwie. Spojrzała swymi pięknymi, przejrzystymi ślepiami na George'a i ten zrozumiał, że zwierzę straciło swojego pana. Teraz już nie miał rywala.

Przed tymi, którzy pozostali, otwierało się wiele dróg, lecz wszystkie prowadziły do jednego nieuniknionego końca. Byli tacy, którzy powiadali: „Świat nadal jest piękny. Pewnego dnia będziemy musieli go opuścić, ale nie ma powodu, aby to przyspieszać".

Jednak ci, którzy więcej uwagi poświęcali przyszłości niż przeszłości, stracili wszystko, co nadawało życiu sens i nie chcieli pozostać. Odchodzili samotnie lub z przyjaciółmi, zależnie od

usposobienia.

Tak stało się z Atenami. Wyspa narodziła się w płomieniach i wybrano ogień, aby towarzyszył jej śmierci. Ci, którzy zechcieli ją opuścić, uczynili to, ale większość mieszkańców pozostała, aby spotkać koniec wśród strzaskanych szczątków swoich marzeń.

Nikt nie miał wiedzieć, kiedy nadejdzie czas. Jednak Jean obudziła się w środku nocy i przez chwilę patrzyła na upiorny odblask na suficie. Potem sięgnęła ręką i ujęła dłoń George'a. Zazwyczaj spał głęboko, ale tym razem obudził się natychmiast. Nie mówili nic, bo nie istniały słowa, które by mogły wyrazić, co czuli.

Jean nie bała się już niczego, nawet nie byia smutna. Dotarła już do spokojnej przystani i była ponad emocjami. Jednak pozostała jej do zrobienia jeszcze jedna rzecz i wiedziała, że miała na to już niewiele czasu.

Nadal nie mówiąc słowa, George poszedł za żoną przez pogrążony w ciszy dom. Przeszli przez smugę księżycowego światła padającego przez okno w dachu i cicho jak rzucane przezeń cienie weszli do pustego pokoju dziecinnego.

Nic się tu nie zmieniło. Świecące wzory, które George tak pracowicie malował na ścianach, lśniły jak dawniej. Grzechotka należąca kiedyś do Jennifer Annę leżała tam, gdzie ją porzuciła, kiedy umysł dziewczynki zwrócił się ku niezgłębionym przestrzeniom, jakie teraz zamieszkiwał.

„Zostawiła swoje zabawki — pomyślał George — ale nasze odejdą razem z nami". Pomyślał o dzieciach faraonów sprzed pięciu tysięcy lat, zabierających ze sobą do grobu lalki i paciorki. Tak stanie się i teraz. „Nikt oprócz nas — powiedział sobie — nie potrzebuje naszych skarbów; zabierzemy je ze sobą i nie rozstaniemy się z nimi".

Jean powoli odwróciła się ku niemu i oparła głowę na jego ramieniu. Objął ją i dawna miłość powróciła jak słabe, ale wyraźne echo donośnego okrzyku wysłanego ku odległym wzgórzom. Było za późno, aby powiedzieć jej to, co chciał wyrazić i żal, jaki odczuwał, był spowodowany raczej minioną obojętnością niż drobnymi zdradami.

Jean powiedziała łagodnie: „Żegnaj, mój kochany!" i objęła go ramionami. George już nie zdążył odpowiedzieć, lecz nawet w tym ostatnim momencie poczuł przelotne zdziwienie na myśl o tym, skąd wiedziała, że to właśnie ta chwila.

Daleko w głębi skał cząsteczki uranu pobiegły ku sobie, próbując połączyć się w związek, którego nigdy nie dano im utworzyć.

I wyspa wstała na spotkanie świtu.

Statek Zwierzchników kończył swój długi lśniący jak ślad meteoru szlak zaczynający się w sercu gwiazdozbioru Cariny. Straszliwie wydłużone hamowanie rozpoczął już przy zewnętrznych planetach,

lecz jeszcze mijając Marsa, leciał z prędkością bliską prędkości światła. Ogromne pole siłowe otaczające Słońce powoli pochłaniało jego pęd, a miliony kilometrów za nim płomienie dysz gwiezdnego silnika malowały niebiosa.

Jan Rodericks, starszy o sześć miesięcy, wracał do domu, który opuścił osiemdziesiąt lat temu.

Tym razem nie był już pasażerem na gapę kryjącym się w sekretnym schowku. Stał obok trzech pilotów (dlaczego — zastanawiał się — potrzeba aż tylu?) i patrzył, jak na wielkim ekranie dominującym nad całym pomieszczeniem pojawiają się i znikają jakieś wzory. Kolory i kształty nic mu nie mówiły; przypuszczał, że przekazują informacje, jakie na statkach konstruowanych przez człowieka pojawiałyby się na skalach liczników i przyrządów pomiarowych. Jednak chwilami ekran ukazywał otaczające ich pola gwiazd i Jan miał nadzieję, że niebawem ujrzy na nim Ziemię.

Rad wracał do domu, mimo trudu włożonego w ucieczkę. W ciągu tych paru miesięcy dojrzał wewnętrznie. Widział tak wiele, podróżował tak daleko, że tęsknił teraz za ojczystym światem. Teraz rozumiał, dlaczego Zwierzchnicy zatrzasnęli przed Ziemią drzwi do gwiazd. Ludzkość ma jeszcze przed sobą długą drogę, zanim będzie mogła odegrać jakąkolwiek rolę w cywilizacji, którą dano mu ujrzeć.

Może być i tak, chociaż nigdy by się z tym nie pogodził, że ludzkość na zawsze pozostanie tylko niższym gatunkiem, zamkniętym w zapomnianym rezerwacie, w którym Zwierzchnikom wyznaczono rolę nadzorców i strażników. Może to właśnie miał na myśli Vindarten, dając mu tuż przed odlotem to dwuznaczne ostrzeżenie:

— W czasie, jaki minął na pańskiej planecie — powiedział Zwierzchnik — wiele mogło się wydarzyć. Może pan nie poznać teraz swego świata.

Może i tak — myślał Jan. Osiemdziesiąt lat to szmat czasu i choć był młody i potrafił się przystosować, niełatwo mu przyjdzie zrozumieć wszystkie zmiany, które zaszły w czasie, jaki upłynął. Jednego był pewien: ludzie zechcą wysłuchać jego opowieści i dowiedzieć się czegoś o cywilizacji Zwierzchników.

Traktowali go dobrze, zresztą przypuszczał, że tak właśnie będzie. O podróży w tamtą stronę nie wiedział nic; kiedy minął efekt działania zastrzyku i opuścił kryjówkę, statek wchodził już do systemu słonecznego Zwierzchników. Jan wylazł ze swego niezwykłego schowka i stwierdził z ulgą, że nie potrzebuje maski tlenowej. Powietrze było gęste i ciężkie, ale mógł nim oddychać bez trudu. Znajdował się w ogromnej, pomalowanej na czerwono ładowni, między niezliczonymi pakunkami i całym tym kramem, jakiego można oczekiwać na pokładzie statku oceanicznego czy kosmicznego. Zanim dotarł do kabiny pilotów i przedstawił się załodze, minęła prawie

godzina.

Zaskoczył go brak reakcji z ich strony; wiedział, że Zwierzchnicy rzadko okazywali uczucia, ale coś przecież musieli czuć. A oni po prostu zajmowali się swoimi sprawami, obserwując wielki ekran i naciskając niezliczone przyciski na pulpitach sterowniczych. Wtedy zrozumiał, że lądują, bo od czasu do czasu na ekranie pojawiał się obraz planety — za każdym razem większy. Jednak Jan nie odczuwał wrażenia ruchu czy hamowania, tylko stabilną grawitację, którą oceniał na jedną piątą ziemskiej. Ogromne siły poruszające statkiem musiały być skompensowane z wyjątkową precyzją.

Nagle trzej Zwierzchnicy jednocześnie podnieśli się ze swoich miejsc i Jan zrozumiał, że podróż dobiegła końca. Nie słyszał, by rozmawiali między sobą i do niego też żaden się nie odezwał, a kiedy jeden z nich gestem kazał mu iść za nimi, Jan pojął coś, o czym powinien pomyśleć wcześniej. Przecież z tej strony niesamowicie długiej linii zaopatrzeniowej Karellena mogło nie być nikogo, kto znałby choć jedno słowo po angielsku.

Spoglądali na niego bacznie, gdy ogromne drzwi otworzyły się przed jego złaknionymi wrażeń oczyma. Oto szczytowy moment jego życia; miał zostać pierwszym człowiekiem, który kiedykolwiek ujrzał świat w promieniach obcego słońca. Blask NGS 549672 zalał statek i oto leżała przed Janem planeta Zwierzchników.

Czego oczekiwał? Nie był pewien. Ogromne budowle, miasta z wieżowcami, których dachy giną w chmurach, maszyny przekraczające wszelkie wyobrażenie — to by go nie zdziwiło. Lecz ujrzał jedynie monotonną równinę rozpościerającą się aż po nienaturalnie bliski horyzont, na której dotrzegł tylko trzy inne statki Zwierzchników, kilka kilometrów dalej.

Przez chwilę poczuł ogromne rozczarowanie. Potem wzruszył ramionami, pomyślawszy rozsądnie, iż należało oczekiwać, że port kosmiczny będzie się znajdował w takim odległym i nie zamieszkanym zakątku planety.

Było zimno, choć nie tak bardzo, aby mu to doskwierało. Światło wielkiego, czerwonego słońca wiszącego nad horyzontem było zupełnie wystarczające dla ludzkich oczu, lecz Jan przelotnie pomyślał o tym, ile czasu upłynie, zanim zatęskni za zielenią i błękitem. I wtedy zobaczył ogromny, cieniutki jak opłatek sierp księżyca wspinający się na niebo obok słońca. Długo patrzył, zanim dotarło do niego, że podróż jeszcze się nie skończyła. To tam znajdował się świat Zwierzchników. Miejsce, w którym był teraz, musiało być bazą satelitarną, z której startowały gwiazdoloty.

Zabrali go na pokład statku nie większego od zwykłego ziemskiego samolotu. Czując się jak Pigmej, wdrapał się na jeden z wielkich foteli, próbując dojrzeć przez panoramiczne okno zbliżającą

się planetę.

Podróż trwała tak krótko, że zaledwie zdążył dostrzec kilka szczegółów na globie, który szybko powiększał się w oczach. Nawet tak blisko domu Zwierzchnicy używali czegoś w rodzaju gwiezdnego silnika, bowiem już po paru minutach opadali w dół przez grubą, pełną chmur atmosferę. Kiedy otworzyły się drzwi, przeszli do wysokiego, zamkniętego pomieszczenia.

Dopiero po dwóch dniach Jan opuścił ten budynek. Był nie zaplanowaną przesyłką i nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić. Co gorsza, żaden z tutejszych Zwierzchników nie znał angielskiego. Porozumiewanie się było praktycznie niemożliwe i Jan z goryczą zdał sobie sprawę z tego, że kontakt z obcą rasą nie był rzeczą tak prostą jak opisywano to w powieściach. Język gestów okazał się całkowicie nieprzydatny, ponieważ mimikę kształtowały nastroje, które nie były wspólne Zwierzchnikom i ludziom.

„Byłoby jeszcze gorzej — myślał Jan — gdyby jedyni Zwierzchnicy mówiący moim językiem pozostali na Ziemi". Mógł tylko czekać i liczyć na to, że sytuacja się wyjaśni. Na pewno przybędą jacyś naukowcy, może eksperci specjalizujący się w kontaktach z innymi rasami i zajmą się nim. A może był tak mało ważną postacią, że nikt nie chciał zawracać sobie nim głowy?

Nie był w stanie wydostać się z budynku, ponieważ wielkie drzwi nie miały żadnych urządzeń otwierających. Kiedy podchodził do nich któryś ze Zwierzchników, po prostu otwierały się. Jan próbował tego samego: machał przedmiotami wysoko w powietrzu, aby przeciąć ewentualny promień kontrolny, próbował wszystkiego, co tylko przyszło mu do głowy — bez skutku. Zdał sobie sprawę z tego, że był równie bezradny, jak byłby człowiek z epoki kamiennej zagubiony we współczesnym budynku. Raz próbował wyjść razem z jakimś Zwierzchnikiem, ale łagodnie choć stanowczo dano mu do zrozumienia, że powinien pozostać. Ponieważ bardzo zależało mu na tym, by nie irytować gospodarzy, nie upierał się.

Jednak zanim popadł w rozpacz, przybył Vindarten. Zwierzchnik mówił bardzo złą angielszczyzną i o wiele za szybko, ale z godziny na godzinę robił postępy. Po kilku dniach mogli bez problemu rozmawiać o wszystkim, co nie wymagało specjalistycznego słownictwa.

Kiedy Vindarten zajął się Janem, kłopoty Ziemianina skończyły się i o nic nie musiał się martwić. Nie mógł jednak robić tego, co chciał, gdyż większość czasu spędzał z naukowcami Zwierzchników, poddając się niezrozumiałym testom na skomplikowanych przyrządach. Te maszyny bardzo mu się nie podobały, a po kolejnej sesji z jakimś urządzeniem hipnotyzującym, przez kilka godzin okropnie bolała go głowa. Chętnie godził się na współpracę, ale nie był pewien, czy badający go zdają sobie sprawę z jego ograniczeń

psychicznych i fizycznych. Na przykład, dość długo trwało, zanim zdołał ich przekonać, że w regularnych odstępach czasu potrzebuje snu.

W przerwach między tymi eksperymentami miewał okazję popatrzeć na miasto i zaczął rozumieć, jak trudna a zarazem niebezpieczna byłaby przechadzka samopas. Ulice właściwie nie istniały i wydawało się, że to samo dotyczy lokalnego transportu. To była planeta istot latających, nie obawiających się grawitacji. Nie było żadnych zabezpieczeń przed upadkiem w kilkudziesięciometrową przepaść, a jedyne wyjście z pokoju często znajdowało się wysoko w ścianie. Jan zaczął zdawać sobie sprawę z tego, o czym zaświadczało setki dowodów, a mianowicie z faktu, że psychika rasy wyposażonej w skrzydła musi różnić się zasadniczo od psychiki istot przykutych do ziemi. Przelatujący między wieżami miasta Zwierzchnicy, poruszający się jak wielkie ptaki potężnymi uderzeniami skrzydeł, stanowili niezwykły widok. Wiązał się z tym pewien problem naukowy. Planeta była dużo większa od Ziemi. A jednak grawitację miała niewielką; Jan zastanawiał się, dlaczego więc posiadała tak gęstą atmosferę? Zapytał o to Vindartena i dowiedział się — czego właściwie się spodziewał — że nie była to rodzinna planeta Zwierzchników. Pochodzili z dużo mniejszego świata, a potem podbili ten, zmieniając nie tylko atmosferę, ale i grawitację.

Architektura Zwierzchników była posępna i funkcjonalna. Jan nie widział żadnych ozdób, niczego co nie służyłoby wygodzie i użyteczności, nawet jeśli ta wygoda i użyteczność przekraczały jego zdolność pojmowania. Gdyby to oblane czerwienią miasto i jego mieszkańców ujrzał człowiek ze średniowiecza, z pewnością uwierzyłby, że znalazł się w piekle. Nawet Jan, mimo całej swej ciekawości i naukowego obiektywizmu, czasami bywał bliski szaleństwa. Brak jakiegokolwiek punktu odniesienia mógł rozstroić najchłodniejszy 5 najbardziej zrównoważony umysł.

Wielu rzeczy nie rozumiał, a Vindarten nie mógł albo nie chciał ich wyjaśnić. Czym były te błyskające światła i zmienne kształty przemykające w powietrzu tak szybko, że nie był nawet pewny, czy istniały naprawdę? Mogły być czymś wstrząsającym i budzącym grozę — albo widokiem tak zwyczajnym jak neony Broadwayu.

Jan ”wyczuwał również, iż świat Zwierzchników był pełen dźwięków niesłyszalnych dla jego uszu. Od czasu do czasu odbierał ciąg rytmicznych odgłosów przebiegających skalę totalną od końca do końca, by zniknąć wśród najwyższych lub najniższych tonów, Vindarten zdawał się nie pojmować tego, co Jan rozumie przez muzykę i przybyszowi z Ziemi nie udało się rozwikłać tej zagadki.

Miasto nie było zbyt duże, na pewno dużo mniejsze od Londynu czy Nowego Jorku w pełni rozkwitu. Zgodnie z tym, co mówił

Vindarten, na planecie było kilka tysięcy takich miast, a każde z nich zbudowano w pewnym określonym celu. Na Ziemi najbliższym ich odpowiednikiem były miasteczka uniwersyteckie, z tą różnicą, że tutaj specjalizacja zaszła o wiele dalej. Jan niebawem odkrył, że właśnie to miasto zajmowało się badaniami nad obcymi kulturami.

Podczas jednej z pierwszych wycieczek na zewnątrz celi, w której Jan mieszkał, Vindarten zabrał go do muzeum. Znalezienie miejsca, którego rolę pojmował, dodało Janowi otuchy, bardzo mu teraz potrzebnej. Gdyby nie rozmach, z jakim zostało wybudowane, muzeum mogłoby znajdować się gdzieś na Ziemi. Dotarcie do niego zajęło mu sporo czasu, mimo iż korzystali z wielkiej platformy opadającej jak wielki tłok w cylindrze niewiadomej długości. Jan nigdzie nie dostrzegł żadnych urządzeń sterujących, a wrażenie przyspieszania na początku i hamowania na końcu podróży było mocno odczuwalne. Przypuszczalnie Zwierzchnicy nie zawracali sobie głowy urządzeniami kompensującymi do użytku domowego. Jan zastanawiał się, czy całe wnętrze planety było pocięte siecią korytarzy i dlaczego jej mieszkańcy ograniczyli rozmiary miast na powierzchni, powiększając je w głąb. Była to kolejna z zagadek, których nigdy nie rozwiązał.

Na badaniu zawartości tych ogromnych komnat można było strawić życie. Znajdował się tu łup z wielu planet oraz osiągnięcia większej liczby cywilizacji i kultur niż Jan potrafił objąć umysłem. Jednak nie dano mu dość czasu, by mógł wszystko obejrzeć. Vindarten ostrożnie ustawił go na czymś, co wydawało się pasem ornamentowanej posadzki. Jan zdążył tylko pomyśleć, że przecież na tej planecie nie uznawano żadnych ornamentów i w tej samej chwili niewidzialna siła objęła go łagodnie i popchnęła naprzód. Z szybkością dwudziestu czy trzydziestu metrów na sekundę jechał obok wielkich ekranów ukazujących niewyobrażalne światy.

Zwierzchnicy rozwiązali problem znużenia muzealnego. Nikt nie musiał chodzić wzdłuż eksponatów.

Przejechali mniej więcej kilkanaście kilometrów, gdy przewodnik Jana ponownie objął go i potężnie bijąc skrzydłami, uniósł poza zasięg popychającej ich siły. Przed nimi leżała ogromna, ledwie do połowy zapełniona sala, wypełniona blaskiem, jakiego Jan nie widział od chwili opuszczenia Ziemi. Światło było na tyle słabe, że nie raziło wrażliwych oczu Zwierzchników, ale nie można się było pomylić — to był blask Słońca. Jan nigdy nie uwierzyłby, że coś tak zwykłego i pospolitego mogło obudzić w jego sercu tak wielką tęsknotę.

W sali mieściła się ekspozycja Ziemi. Przez kilka metrów jechali wzdłuż pięknego modelu Paryża, potem obok dzieł sztuki rozmieszczonych zupełnie przypadkowo, chociaż nieraz dzieliło je kilkanaście stuleci, obok nowoczesnych kalkulatorów i toporów z

paleolitu, obok odbiorników telewizyjnych i turbiny parowej Herona z Aleksandrii. Potem otworzyły się przed nimi wielkie drzwi i znaleźli się w biurze kustosza Ziemi. Czy ten Zwierzchnik po raz pierwszy widział człowieka? — zastanawiał się Jan. Czy kiedykolwiek odwiedził Ziemię, czy też była ona jedynie jedną z wielu planet oddanych jego pieczy, których położenia nawet nie znał? Z pewnością nie znał angielskiego i Vindarten musiał podjąć się roli tłumacza.

Jan spędził te kilka godzin, mówiąc do urządzenia zapisującego dźwięk, podczas gdy Zwierzchnicy pokazywali mu różne przedmioty. Ku swemu zawstydzeniu, wielu z nich nie potrafił zidentyfikować. Jego nieznajomość własnej rasy i jej osiągnięć okazała się ogromna; zastanawiał się, czy Zwierzchnicy mimo ich niezwykłych zdolności umysłowych są w stanie pojąć całą złożoność kultury Człowieka.

Vindarten wyprowadził go z muzeum inną drogą. Raz jeszcze bez wysiłku sunęli wysoko sklepionym korytarzem, ale teraz mijali twory natury, nie umysłu.

Jan pomyślał, że Sullivan oddałby życie, aby znaleźć się tu i zobaczyć cuda, jakie stworzyła ewolucja na setkach światów. Przypomniał sobie, że Sullivan prawdopodobnie już nie żyje.

A potem niespodziewanie znaleźli się na galerii, wysoko nad ogromną komnatą mającą ze sto metrów średnicy. Jak zwykle nie było ochronnej balustrady, Jan przez chwilę wahał się, czy podejść do brzegu. Jednak Vindarten stał na samej krawędzi, patrząc spokojnie w dół i Jan ostrożnie podszedł i przyłączył się do niego.

Podłoga znajdowała się dwadzieścia metrów niżej. Później Jan był pewien, że przewodnik wcale nie zamierzał go nastraszyć i reakcja Ziemianina zupełnie go zaskoczyła. Jan wydał bowiem okropny wrzask i odskoczył w tył, instynktownie usiłując ukryć się przed tym, co znajdowało się na dole. Dopiero gdy stłumione echo jego krzyku zamarło w gęstej atmosferze, zmusił się, by znów podejść do krawędzi.

Oczywiście było martwe i nie patrzyło na niego, tak jak wydawało mu się w pierwszej chwili. Wypełniało niemal całą owalną przestrzeń sali, a w jego głębi lśniło i wirowało rubinowe światło.

To było jedno gigantyczne oko.

— Dlaczego narobiłeś tyle hałasu? — spytał Vindarten.

— Przestraszyłem się — wyznał Jan z oniemiałym wyrazem twarzy.

— Ale dlaczego? Chyba nie wyobrażasz sobie, że tu może ci grozić jakieś niebezpieczeństwo?

Jan przez chwilę zastanawiał się, czy potrafi wyjaśnić, na czym polega odruch bezwarunkowy, ale postanowił nie próbować.

— Wszystko co jest zupełnie nieoczekiwane, jest również niepokojące. Dopóki nie przeanalizuje się nowej sytuacji, bezpieczniej jest oczekiwać najgorszego.

Serce waliło mu jeszcze jak młot, gdy ponownie spojrzał w dół na monstrualne oko. Oczywiście, mógł to być model powiększony do niezwykłych rozmiarów, tak jak mikroby i owady w ziemskich muzeach. Jednak pytając o to, Jan z zapierającą dech w piersi pewnością wiedział, że oko nie było większe niż u żywego organizmu.

Vindarten nie powiedział mu wiele; rzecz nie leżała w polu jego zainteresowań, a nie był szczególnie ciekawski. Na podstawie otrzymanego opisu Jan stworzył w wyobraźni wizję jednookiej bestii żyjącej wśród ławic asteroidów jakiegoś odległego słońca, której rozwój nie był skrępowany więzami grawitacji, a życie i możliwości zdobycia pożywienia zależały od zasięgu i zdolności postrzegania tego jedynego oka.

Wydawało się, że nie ma rzeczy, której nie mogła stworzyć przyparta do muru staruszka Natura i Jan poczuł irracjonalną przyjemność, odkrywając coś, czemu nawet Zwierzchnicy nie próbowali sprostać. Z Ziemi zabrali dorodnego wieloryba, ale z tego zrobili tylko częściowy model.

A pewnego razu pojechał w górę i trwało to niezmiernie długo, aż ściany windy z opalizujących stały się kryształowo przejrzyste. Wydawało mu się, że stoi bez żadnego punktu oparcia między najwyższymi kopułami miasta i nic nie chroni go przed upadkiem w przepaść. Jednak nie kręciło mu się w głowie bardziej niż pasażerowi samolotu, ponieważ tak samo nie odczuwał kontaktu z odległą Ziemią.

Znajdował się nad chmurami, dzieląc niebo z paroma kolumnami z metalu i kamienia. Pod nim falowało leniwie różowoczerwone morze obłoków. Opodal posępnego słońca odnalazł na niebie dwa blade, cienkie księżyce. Tuż przy środku nadętego, czerwonego dysku widniała mała, idealnie okrągła plamka czerni. Mogła to być plama na słońcu lub jeszcze jeden księżyc.

Jan powoli powiódł spojrzeniem po linii horyzontu. Pokrywa chmur rozciągała się równomiernie aż po krańce tego ogromnego świata, lecz z jednej strony, w odległości, której nie potrafił określić, dostrzegł plamistą wstęgę czegoś, co mogło być wieżami innego miasta. Patrzył na nie przez dłuższą chwilę, a potem zajął się dalszą obserwacją.

Kiedy obrócił się w prawo, ujrzał górę. Nie znajdowała się na horyzoncie, ale poza nim — pojedynczy, poszarpany szczyt dźwigający się zza skraju świata, którego niższe partie były ukryte, jak masyw góry lodowej skryty w wodzie. Próbował oszacować jej wielkość, ale wyobraźnia go zawiodła. Nawet w świecie o tak niskiej grawitacji niełatwo było uwierzyć, że może istnieć taka góra. Zastanawiał się, czy Zwierzchnicy uprawiają sport na jej zboczach lub krążą jak orły wokół tego potężnego masywu?

I wtedy góra powoli zaczęła się zmieniać. Z początku była

ciemna, niemal złowieszczo czerwona, z kilkoma niewyraźnymi plamami w pobliżu wierzchołka, których nie potrafił zidentyfikować. Próbował skupić na nich wzrok, gdy nagle uświadomił sobie, że one się poruszają.

W pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom. Potem zmusił się, by przypomnieć sobie, że wszystkie dotychczasowe poglądy były tu bezwartościowe; nie mógł pozwolić na to, aby umysł odrzucił choć jedno przesłanie dostarczane przez zmysły. Nie powinien starać się rozumieć, lecz skupić się wyłącznie na obserwacji. Zrozumienie, jeśli w ogóle nastąpi, przyjdzie później.

Góra — wciąż myślał o niej w tych kategoriach, bo nie miał żadnego innego określenia — wydawała się żywą istotą. Jan przypomniał sobie gigantyczne oko w muzeum, ale nie, to było absolutnie nieporównywalne. To, co widział, nie było formą organicznego życia, a nawet, jak podejrzewał, nie była to materia taka, jaką znał.

Ponura purpura rozjarzyła się wściekłą czerwienią. Pojawiły się w niej także pasma intensywnej żółci, tak że przez chwilę Jan sądził, że widzi wulkan wylewający strumienie lawy na tereny leżące niżej. Lecz spostrzegł, że te strumienie poruszają się do góry.

Teraz jeszcze coś unosiło się z rubinowych obłoków u podnóża góry. Był to potężny pierścień, doskonale poziomy i doskonale okrągły — i była w nim cała barwa, jaką Jan zostawił daleko stąd, ponieważ całe niebo Ziemi nie miało piękniejszego błękitu. Nigdzie w świecie Zwierzchników nie widział takiego koloru i gardło ścisnęła mu tęsknota i uczucie samotności, wywołane tym widokiem.

Pierścień powiększał się, w miarę jak przesuwał się w górę. Teraz był już ponad szczytem ł jego bliższa krawędź szybko zbliżała się do Jana. Ziemianin pomyślał, że musi to być rodzaj wiru — pierścień dymu o średnicy wielu kilometrów. Jednak nie dostrzegł żadnych oznak ruchu obrotowego, czego należałoby spodziewać się w takim przypadku. Wydawało się, że ze wzrostem rozmiarów gęstość pierścienia wcale nie maleje.

Cień pierścienia przemknął nad nim dużo wcześniej, niż sam kształt majestatycznie przepłynął mu nad głową, wciąż unosząc się wyżej i wyżej. Jan patrzył, aż pierścień zmienił się w cieniutką nić błękitu, na której trudno było skupić wzrok z powodu intensywnej czerwieni otaczającego ją nieba. Gdy w końcu zniknął, musiał mieć już średnicę wielu tysięcy kilometrów. I wciąż rósł.

Jan ponownie spojrzał na górę. Teraz była złota i pozbawiona jakichkolwiek plam. Może była to jedynie gra wyobraźni — bo teraz uwierzyłby we wszystko — lecz wydawała się wyższa i węższa i wirowała jak trąba powietrzna. Dopiero wtedy oszołomiony widz przypomniał sobie o kamerze. Przyłożył ją do oka i skierował na to

niesamowite, wstrząsające zjawisko.

Na linii jego wzroku powoli pojawił się Vindarten. Z nieodpartym spokojem wielkie dłonie zakryły soczewkę i zmusiły go do opuszczenia aparatu. Jan nawet nie podjął próby sprzeciwu, który i tak nie miałby żadnego znaczenia, gdyż nagle poczuł śmiertelny lęk przed tym czymś na krańcu świata i nie chciał mieć z nim już więcej do czynienia.

W czasie wszystkich jego wędrówek tylko ten jeden raz zdarzyło się, że nie pozwolono mu czegoś sfotografować, lecz Vindarten nie udzielił mu żadnych wyjaśnień. Zamiast tego kazał Janowi szczegółowo opowiedzieć, co widział i spędził dużo czasu, słuchając jego relacji.

Wtedy właśnie Jan zrozumiał, że oczy Vindartena widziały coś zupełnie innego; i dopiero wówczas pojął, że Zwierzchnicy też mieli swoich panów.

Teraz wracał do domu, zostawiwszy za sobą zachwyty, obawy i tajemnice. Był przekonany, że leci tym samym statkiem, chociaż z inną załogą. Mimo iż Zwierzchnicy byli długowieczni, trudno przypuścić, że chętnie odrywaliby się od domów na całe dziesięciolecia trwania międzygwiezdnych podróży.

Efekt opóźnienia czasowego działał bowiem w obie strony. Podróżując tam i z powrotem Zwierzchnicy zestarzeją się tylko o cztery miesiące, ale gdy wrócą, ich przyjaciele będą starsi o osiemdziesiąt lat.

Gdyby tylko chciał, niewątpliwie mógłby zostać tam na zawsze. Jednak Vindarten ostrzegł go, że w ciągu kilku następnych lat nie będzie żadnego statku w kierunku Ziemi i radził skorzystać z okazji. Może Zwierzchnicy pojęli, że w tym stosunkowo krótkim czasie umysł Jana osiągnął niemal granice swych możliwości. A może po prostu zaczął być kłopotliwym gościem i nie chcieli poświęcać mu więcej czasu.

Jednak obecnie nie miało to żadnego znaczenia, bo przed nim leżała Ziemia. Taką jak teraz widział ją już setki razy, ale zawsze za pośrednictwem mechanicznych oczu telewizyjnych kamer. W tej chwili natomiast sam znajdował się w Kosmosie, odgrywając ostatni akt swoich marzeń, a Ziemia obracała się przed nim na swej odwiecznej orbicie.

Wielki, zielonobłękitny półksiężyc był w pierwszej kwadrze; ponad połowę jego tarczy krył mrok. Nie było też widać zbyt wiele chmur: ot, kilka pasm rozsianych wzdłuż linii pasatów. Lodowa czapa Arktyki lśniła jasno, ale przyćmiewał ją oślepiający odblask Słońca w północnym Pacyfiku.

Można by pomyśleć, że to planeta wód — oglądana półkula była prawie pozbawiona lądów. Jedynym widocznym kontynentem pozostała Australia — ciemniejsza plama w atmosferycznej mgle na

skraju globu.

Statek wlatywał w wielki stożek cienia Ziemi; lśniący półksiężyc skurczył się, zamienił w cienki łuk ognia i zniknął. Poniżej był mrok i ciemność. Świat spał.

Właśnie wtedy Jan zrozumiał, że coś jest nie tak. Tam w dole był teraz ląd, ale gdzie podziały się błyszczące naszyjniki świateł, lśniące iluminacje ludzkich miast? Na całej mrocznej półkuli nie było ani jednej iskierki rozjaśniającej ciemność. Bez śladu przepadły miliony kilowatów, które kiedyś beztrosko wysyłano ku gwiazdom. Równie dobrze mógł patrzeć na Ziemię taką, jaka była przed pojawieniem się człowieka.

Nie takiego powitania oczekiwał. Nie mógł nic zrobić, więc patrzył 5 czuł narastający lęk przed nieznanym. Na Ziemi coś się stało, coś niepojętego. A jednak statek opadał w dół po wydłużonym, łagodnym łuku, który ponownie wyniósł go nad oświetloną słońcem półkulę.

Jan nie widział momentu lądowania, bowiem obraz Ziemi znikł nagle, zastąpiony nic mu nie mówiącą plątaniną linii i świateł. Kiedy wizja wróciła, byli już na ziemi. Opodal widać było kilka wielkich budynków, wokół krzątały się maszyny, a w pobliżu stała czekająca na nich grupka Zwierzchników.

Usłyszał stłumiony ryk.powietrza, gdy statek wyrównywał ciśnienie zewnętrzne i wewnętrzne, a potem odgłos otwieranych drzwi. Nie czekał dłużej, a milczący giganci patrzyli nań wyrozumiale, a może obojętnie, gdy wybiegał ze sterówki.

Był w domu, znów mrużył oczy przed oślepiającym blaskiem własnego, znajomego Słońca, oddychał powietrzem, które napełniło mu płuca, gdy po raz pierwszy w życiu nabrał w nie tchu. Trap był już spuszczony, ale Jan musiał zaczekać jeszcze chwilę, zanim jego oczy oswoiły się z dziennym światłem.

W pewnym oddaleniu od reszty Zwierzchników, obok wielkiego transportera załadowanego skrzyniami stał Karellen. Jan nie zastanawiał się, w jaki sposób rozpoznał Kontrolera, nie zdziwiło go też, że tamten wcale się nie zmienił. To była bodaj jedyna rzecz, która okazała się zgodna z jego oczekiwaniami.

— Czekałem na pana — powiedział Karellen.

— Dawniej — mówił Karellen — mogliśmy bezpiecznie chodzić między nimi. Jednak już nas nie potrzebują; nasza praca zakończyła się, kiedy zgromadziliśmy ich razem i oddaliśmy im ten kontynent we władanie. Niech pan patrzy.

Ściana przed Janem zniknęła. Zamiast niej widział teraz z wysokości kilkuset metrów piękny, lesisty krajobraz. Złudzenie było tak doskonałe, że musiał zwalczyć chwilowy zawrót głowy.

— A to po pięciu latach, kiedy zaczęła się druga faza.

W dole poruszały się jakieś postacie i kamera spadła na nie jak drapieżny ptak.

— To pana przygnębi — powiedział Karellen. — Jednak proszę pamiętać, że dawne normy nie mają tu zastosowania. Nie patrzy pan na ludzkie dzieci.

Jednak takie było pierwsze wrażenie Jana i żadne logiczne rozumowanie nie mogło tego zmienić. Równie dobrze mogły być dzikusami zajętymi jakimś skomplikowanym, rytualnym tańcem. Były nagie i brudne, o zmierzwionych włosach opadających na oczy.

Na ile mógł to ocenić, były w wieku od pięciu do piętnastu lat, ale wszystkie poruszały się z tą samą szybkością, precyzją i absolutną obojętnością na otoczenie.

Wtedy ujrzał ich rysy. Z trudem przełknął ślinę, zmuszając się, by nie odwrócić oczu. Ich twarze były bardziej puste niż twarze trupów, ponieważ nawet twarz nieboszczyka ma jakąś historię wyrytą na niej dłutem czasu, opowiadaną, gdy znieruchomieją usta. Te nie wyrażały więcej emocji czy uczuć niż rysy gada albo owada. Nawet Zwierzchnicy byli bliżsi ludziom niż one.

— Szuka pan czegoś, czego już nie ma — powiedział Karellen. — Proszę pamiętać, że one nie mają własnej osobowości tak samo jak nie mają jej komórki pańskiego ciała. Jednak połączone razem są czymś o wiele większym niż pan.

— Dlaczego one tak się kręcą?

— Nazywamy to długim tańcem — odparł Karellen. — Wie pan, one w ogóle nie śpią i to trwa już od roku. Trzy miliony, poruszające się w określonym rytmie na całym kontynencie. Analizowaliśmy to niezliczoną liczbę razy, lecz nie znaleźliśmy żadnego sensu, może dlatego, że widzimy tylko fizyczną stronę zjawiska, tę małą część, która odbywa się tu, na Ziemi. Możliwe też, że to, co nazywamy Nadzwierzchnikiem nadal je ćwiczy i ugniata w jedną jaźń, zanim je wchłonie w swoją świadomość.

— A jak się odżywiają? I co się dzieje, kiedy natrafiają na przeszkody: drzewa, skały czy wodę?

— Woda nie jest przeszkodą, oni nie toną. Kiedy zderzają się z czymś, czasem doznają obrażeń ciała, ale nawet tego nie zauważają. Co do żywności… Cóż, mieli tu tyle owoców i zwierzyny, ile chcieli. Jednak teraz nie odczuwają już tej potrzeby tak samo jak wielu innych. Przecież zasadniczo żywność jest źródłem energii, a oni nauczyli się pobierać ją z większych zasobów.

Obraz zamigotał, jakby przeleciał po nim podmuch gorącego powietrza. Kiedy ekran wrócił do normy, wszelki ruch na nim ustał.

— Proszę spojrzeć teraz — powiedział Karellen. — Trzy lata później.

Małe figurki, które komuś nie znającemu prawdy wydałyby się wzruszająco bezbronne, stały zastygłe w dziwacznych pozach na polanach wśród drzew. Kamera szybko przesuwała się od jednej twarzy do drugiej i Jan pomyślał, że już zaczynały przybierać jednakową formę. Kiedyś widział fotografię zrobioną przez nałożenie na siebie kilku negatywów, tak aby wyszła jedna „przeciętna" twarz. Rezultatem była pusta, pozbawiona charakteru maska — taka jak te, które widział teraz.

Zdawali się być pogrążeni we śnie lub w transie. Wszyscy mieli mocno zaciśnięte powieki i nie wykazywali większego zainteresowania otoczeniem niż drzewa, pod którymi stali. Jakie myśli — zastanawiał się Jan — krążą w tej skomplikowanej sieci, w której ich mózgi nie były teraz niczym więcej, ale i niczym mniej niż oddzielnymi supełkami jakiejś wielkiej tkaniny? Tkaniny, która, jak wiedział, spowijała już wiele światów i wiele ras i wciąż się rozrastała.

Stało się to z szybkością, która oślepiała oczy i mąciła rozum. W jednej chwili Jan widział w dole piękną, kipiącą życiem krainę, w której nie było nic niezwykłego z wyjątkiem niezliczonych, maleńkich postaci rozrzuconych — jednak nieprzypadkowo — po całym jej obszarze. A potem, w mgnieniu oka, wszystkie drzewa i trawy, wszystkie żywe istoty zamieszkujące tę ziemię zamigotały i zniknęły. Pozostały jedynie ciche jeziora, kręte rzeki i pofalowane, brązowe wzgórza odarte z dywanu zieleni oraz milczące, obojętne na wszystko figurki, które spowodowały całe to zniszczenie.

— Dlaczego to zrobili? — jęknął Jan.

— Może przeszkadzała im obecność innych umysłów, nawet tak prymitywnych jak zwierzęta i rośliny. Jesteśmy przekonani, iż pewnego dnia stwierdzą, że świat materialny — również im przeszkadza. A kto wie, co stanie się wtedy? Teraz rozumie pan, dlaczego wycofaliśmy się po spełnieniu naszego zadania? Nadal próbujemy ich badać, ale nigdy nie wchodzimy na ich ziemię ani nie wysyłamy tam naszych urządzeń. Odważamy się jedynie obserwować ich z kosmosu.

— Ale to stało się wiele lat temu — powiedział Jan. — A co się działo potem?

— Niewiele. Przez cały ten czas w ogóle nie poruszali się, nie reagowali na pory dnia i roku. Nadal próbują swoich sił. Niektóre z rzek zmieniły koryta, a jedna nawet płynie pod górę. Jednak nie zrobili nic, co miałoby jakikolwiek sens.

— I całkowicie was ignorowali?

— Tak, chociaż akurat to wcale nas nie dziwi. Ta istota, której są częścią, wie o nas wszystko. Kiedy zechce, abyśmy opuścili to miejsce, albo gdy znajdzie dla nas nowe zadanie gdzie indziej, wyrazi swoje życzenie w sposób nie budzący wątpliwości. Do tego czasu

pozostaniemy tutaj, aby nasi naukowcy mogli zebrać tyle informacji, ile zdołają.

, A więc taki — pomyślał Jan z rezygnacją wypraną z wszelkiego żalu — był koniec Człowieka". To był koniec, jakiego nie przewidział żaden prorok, koniec wymykający się zarówno pesymistycznej, jak i optymistycznej ocenie.

A jednak miało to swój sens i subtelną nieuchronność wielkiego dzieła sztuki. Jan widział wszechświat i jego straszliwy bezmiar i wiedział, że nie jest to miejsce, w którym człowiek czułby się u siebie. W końcu zrozumiał, jak bezsensowne były marzenia, które wabiły go ku gwiazdom.

Droga do gwiazd rozchodziła się bowiem w dwie strony i na końcu obu tych szlaków ludzkie nadzieje czy obawy nie znaczyły nic.

Końcem jednej ścieżki byli Zwierzchnicy. Każdy z nich zachował swoją indywidualność, swoje niezależne ego, każdy posiadał własną świadomość i słowo „ja" w ich języku nie było pustym dźwiękiem. Wiedzieli, czym są emocje i niektóre z nich dzielili z ludźmi. Jednak teraz pojmował, że wpadli w pułapkę, w ślepy zaułek bez wyjścia. Ich umysły były potężniejsze — może setki razy — od ludzkich, lecz w ostatecznym rozrachunku nie miało to żadnego znaczenia. Wobec Galaktyki liczącej sto miliardów gwiazd i Kosmosu liczącego sto miliardów galaktyk musieli być równie bezsilni i bezradni.

A koniec drugiej ścieżki? To Nadzwierzchnik — cokolwiek to oznaczało — pozostający w stosunku do człowieka tym samym, czym był człowiek w stosunku do ameby. Potencjalnie nieskończony i nieśmiertelny, od jak dawna wchłaniał rasę po rasie, rozprzestrzeniając się wśród gwiazd? Czy także miał swe pragnienia, swoje cele, które niejasno wyczuwał, obawiając się, że nigdy ich nie osiągnie? Teraz wchłonął wszystko, czego kiedykolwiek dokonała rasa ludzka. Nie była to tragedia, lecz spełnienie. Miliardy ulotnych iskier świadomości składające się na ludzkość nie będą już migotać niczym świetliki w ciemności. Jednak nie błyskały na próżno.

Jan wiedział, że ostatni akt dopiero nastąpi. Mogło to stać się jutro, a mogło i za sto lat. Nawet Zwierzchnicy nie wiedzieli tego na pewno.

Teraz pojmował ich zadanie, to co uczynili z Człowiekiem i dlaczego tak długo zwlekali z odlotem. Odczuwał wobec nich wielką pokorę i podziw dla ich nieugiętej cierpliwości, która kazała im czekać tu tak długo.

Nigdy nie dowiedział się wszystkiego o dziwnej symbiozie między Nadzwierzchnikiem a jego sługami. Jeśli prawdą było to, co mówił Rashaverak, Zwierzchnicy nie pamiętali czasów, gdy nie mieli pana, chociaż ten zaczął się nimi posługiwać dopiero wtedy, gdy osiągnęli odpowiedni poziom rozwoju i mogli podróżować w Kosmosie,

wypełniając jego polecenia.

— A do czego jesteście mu potrzebni? — dociekał Jan. — Przecież posiadając tak straszliwą władzę, na pewno może robić wszystko, co zechce.

— Nie — odparł Rashaverak. — On także ma swoje ograniczenia. Wiemy, że kiedyś próbował działać wprost na umysły innych ras i wpływać na kierunek ich rozwoju. Nigdy się to nie udało; może szok był zbyt wielki. My jesteśmy jego pośrednikami i strażnikami. Albo, gdyby użyć jednej z waszych metafor, uprawiamy pole, aż plon dojrzeje. On zbiera plon, a my ruszamy do następnej pracy. Jesteście piątą rasą, której towarzyszymy we wniebowstąpieniu. Za każdym razem dowiadujemy się czegoś nowego.

— I nie macie nic przeciw temu, że jesteście narzędziami Nadzwierzchnika?

— Taka relacja ma swoje zalety; a ponadto nikt rozumny nie sprzeciwia się temu, co nieuniknione.

Taka propozycja, rozmyślał ponuro Jan, nigdy nie zostałaby zaakceptowana przez ludzkość. Są rzeczy wymykające się logice, których Zwierzchnicy nigdy nie zrozumieją.

— Wydaje się dziwne — powiedział Jan — że Nadzwierzchnik wybrał was, abyście dla niego pracowali, mimo iż nie wykazujecie żadnych zdolności parapsychicznych, jakie drzemały w Człowieku. Jak on się z wami komunikuje i jak oznajmia wam swoje życzenia?

— To jedyne pytanie, na jakie nie mogę odpowiedzieć i nie mogę nawet podać panu powodów, dla których muszę to przed panem ukryć. Może kiedyś pozna pan część prawdy.

Jan zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale wiedział, że to bezcelowe. Musi zmienić temat rozmowy i mieć nadzieję, że później uda mu się czegoś dowiedzieć.

— Zatem proszę mi odpowiedzieć na inne pytanie — rzekł. — Bo jest coś jeszcze, czego nigdy nie wyjaśniliście. Kiedy wasza rasa po raz pierwszy dotarła na Ziemię w przeszłości, kto wtedy popełnił błąd? Dlaczego staliście się dla nas symbolem strachu i zła?

Rashaverak uśmiechnął się. Nie robił tego tak dobrze jak Karellen, ale i tak wypadło nieźle.

— Nikt się tego nie domyślił, a teraz widzi pan, dlaczego nie mogliśmy tego wyjaśnić. Tylko jedno wydarzenie mogło wywrzeć taki wpływ na ludzkość. I wydarzenie to nie miało miejsca u zarania dziejów, lecz u ich kresu.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — wyszeptał Jan.

— Kiedy nasze statki pojawiły się na waszym niebie sto pięćdziesiąt lat temu, było to pierwsze spotkanie naszych ras, choć oczywiście już wcześniej obserwowaliśmy was z daleka. A jednak rozpoznaliście nas i baliście się, a my wiedzieliśmy, że tak będzie. To

nie były wspomnienia w ścisłym znaczeniu tego słowa. Miał pan już dowód na to, że czas jest czymś daleko bardziej skomplikowanym niż wyobrażali sobie wasi naukowcy. Wspomnienia te pochodziły nie z przeszłości, ale z przyszłości dotyczyły tych ostatnich lat, gdy wasza rasa zrozumiała, że wszystko się skończyło. Zrobiliśmy, co się dało, ale nie był to spokojny koniec. A ponieważ byliśmy jego świadkami, obwiniano nas o zagładę waszej rasy. Tak było, nawet dziesięć tysięcy lat temu! Tak jakby zniekształcone echo niosło się w zamkniętym kręgu czasu z przyszłości w przeszłość. Niech pan to nazwie nie wspomnieniem, lecz przeczuciem.

Trudno było to pojąć i Jan przez chwilę w milczeniu borykał się z myślami. Jednak powinien być przygotowany na coś takiego; miał już przecież dowód, że przyczyna i skutek mogą się zamienić miejscami.

Musi istnieć coś takiego jak zbiorowa pamięć, która jest niezależna od czasu. Dla niej przeszłość i przyszłość są jednym. Oto dlaczego już przed tysiącami lat ludzie dostrzegali wizerunki Zwierzchników, mimo iż zasnute mgłą strachu i przerażenia.

— Teraz rozumiem — powiedział ostatni człowiek.

Ostatni z ludzi! Jan odkrył, że niełatwo myśleć o sobie w ten sposób. Kiedy wyruszył w Kosmos, pogodził się z możliwością zostania wiecznym wygnańcem i nie doskwierała mu samotność. Być może, w miarę upływu lat tęsknota za widokiem ludzkiej twarzy będzie w nim rosła i załamie go, ale na razie towarzystwo Zwierzchników sprawiało, że nie czuł się zupełnie osamotniony.

Jeszcze dziesięć lat temu na Ziemi znajdowali się ludzie, ale były to istoty zdegenerowane i Jan nic nie stracił, nie spotykając ich. Z powodów, których Zwierzchnicy nie potrafili wyjaśnić, a które — jak Jan podejrzewał — były czysto psychologiczne, w miejsce dzieci, które odeszły, nie narodziły się nowe. Gatunek homo sapiens wymarł.

Być może, zagubiony w jednym z nietkniętych jeszcze miast, leżał rękopis jakiegoś współczesnego Gibbona, opisujący ostatnie dni ludzkiej rasy. Jeśli nawet tak było, Jan nie był pewien, czy chciałby go przeczytać; Rashaverak powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Ci, którzy nie zginęli z własnej ręki, szukali zapomnienia w coraz bardziej gorączkowej aktywności, w dzikich i samobójczych sportach, często nie różniących się od pomniejszych wojen. Kiedy liczebność populacji gwałtownie zmalała, postarzałe resztki zebrały się razem jak pobita armia zwierająca szyki w ostatnim odwrocie.

Końcowy akt, tuż przed opadnięciem kurtyny, musiały rozjaśniać błyski heroizmu i poświęcenia powtarzające się wśród powszechnego zdziczenia i samolubstwa. Jan nigdy nie dowiedział się, czy końcowi towarzyszyła rozpacz czy rezygnacja.

Tyle było rzeczy, którymi mógł się zająć. Baza Zwierzchników znajdowała się w odległości kilometra od opuszczonej willi i Jan przez

długie miesiące doprowadzał ją do użytku za pomocą narzędzi, które znalazł w oddalonym o jakieś trzydzieści kilometrów miasteczku. Poleciał tam z Rashaverakiem, którego przyjaźń nie wypływała wyłącznie z pobudek altruistycznych. Psycholog Zwierzchników nadal badał ostatniego przedstawiciela gatunku homo sapiens.

Miasto musiało zostać ewakuowane, zanim nastąpił koniec, ponieważ budynki i wiele urządzeń użyteczności publicznej było jeszcze w dobrym stanie. Uruchomienie generatorów nie wymagało wielkiego wysiłku i szerokie ulice jeszcze raz rozbłysłyby iluzją życia. Jan przez jakiś czas zastanawiał się nad realizacją tego pomysłu, ale potem zrezygnował, uznając go za nazbyt ponury. Jedyne czego nie chciał, to rozpamiętywania przeszłości.

Miał wszystko, czego potrzebował, aby urządzić się na resztę życia, ale najbardziej pragnął mieć organy elektryczne i transkrypcje niektórych dzieł Bacha.

Dawniej nigdy nie mógł znaleźć czasu na muzykę, a teraz nareszcie miał go pod dostatkiem. Kiedy sam nie grał, słuchał nagrań wielkich symfonii i koncertów, tak że w domku bez przerwy rozbrzmiewała muzyka. Stała się ona jego bronią i talizmanem przeciwko samotności, która pewnego dnia go pokona.

Często wyprawiał się na długie spacery po wzgórzach, rozmyślając o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu tych kilku miesięcy, od kiedy ostatni raz widział Ziemię. Żegnając się z Sullivanem osiemdziesiąt ziemskich lat temu, nigdy nie przypuszczał, że ostatnie pokolenie ludzi jest już w łonach matek.

Ależ był z niego głupiec! A jednak nie był pewien, czy żałuje tego, co zrobił; gdyby pozostał na Ziemi, byłby świadkiem wydarzeń tych ostatnich lat, nad którymi czas zaciągnął już swoją zasłonę. Zamiast tego przeskoczył nad nimi w przyszłość i poznał odpowiedzi na pytania, których nikt inny nie zada. Jego ciekawość została zaspokojona prawie do końca i tylko czasami zastanawiał się, na co czekają Zwierzchnicy i co się stanie, kiedy ich cierpliwość zostanie w końcu wynagrodzona.

Lecz większość czasu spędzał nad klawiaturą. Cechowała go spokojna rezygnacją, jaka zazwyczaj staje się udziałem człowieka pod koniec długiego i burzliwego życia. Może sam siebie oszukiwał, może był to jakiś litościwy wybieg umysłu, ale teraz wydawało mu się, że zawsze pragnął tak żyć. Jego skrywane ambicje mogły się wreszcie ujawnić w całej okazałości.

Jan zawsze był dobrym pianistą, a teraz był najlepszym na świecie.

To Rashaverak przywiózł Janowi te wieści, ale on już wcześniej domyślił się wszystkiego. Nad ranem obudził go jakiś koszmarny sen i nie udało mu się znów zasnąć. Nie mógł przypomnieć sobie, co mu się

śniło i było to bardzo dziwne, bo uważał, że każdy sen można odtworzyć z pamięci, jeśli tylko człowiek mocno się na nim skupi zaraz po przebudzeniu. Jednak tym razem zapamiętał tylko, że był ponownie małym chłopcem i stał na jakiejś rozległej i pustej równinie, słuchając potężnego głosu wzywającego go w nieznanym języku.

Ten sen popsuł mu humor; zastanawiał się, czy nie jest to pierwszy atak samotności na jego umysł. Zaniepokojony wyszedł z domku, aby pospacerować po zapuszczonym trawniku.

Księżyc w pełni skąpał krajobraz w tak jasnym, złotym blasku, że wszystko widać było jak na dłoni. Ogromny, lśniący walec statku Karellena spoczywał za budynkami bazy Zwierzchników, przytłaczając je swoim ogromem i redukując do ludzkich proporcji. Jan patrzył na gwiazdolot, usiłując przypomnieć sobie, jakie uczucia budził w nim niegdyś ten kolos. Swego czasu ten lśniący ogrom był dlań nieosiągalnym marzeniem, symbolem czegoś, czego nie spodziewał się osiągnąć. A teraz nie znaczył już nic.

Jakże było cicho i spokojnie! Zwierzchnicy, oczywiście, działali jak zawsze, ale w tej chwili żadnego nie było widać. Jan czuł się tak, jakby był na Ziemi zupełnie sam, co też właściwie było prawdą. Spojrzał na Księżyc, szukając znajomego widoku, na którym mógłby przez chwilę skupić myśli.

Były tam te stare, dobrze znane morza. Poleciał w Kosmos na odległość czterdziestu lat świetlnych, ale nigdy nie wędrował po tamtych milczących, pylistych równinach, odległych mniej niż o dwie świetlne sekundy. Przez chwilę zabawiał się, próbując odnaleźć krater Tycho. Kiedy go wreszcie znalazł, zdumiało go, że ten punkt znajdował się dalej w bok od środkowego południka, niż tego oczekiwał. I dopiero wtedy zauważył, że ciemny owal Marę Crisium zniknął zupełnie.

Oblicze, które satelita kierował ku Ziemi, nie było tym, którym od niepamiętnych czasów patrzył na świat. Księżyc zaczął obracać się wokół swojej osi.

Mogło to oznaczać tylko jedno. Po drugiej stronie globu, na Ziemi, którą tak gwałtownie odarli z wszelkiego życia, oni budzili się ze swego długiego transu. Tak jak budzące się dziecko wyciąga ręce na powitanie dnia, tak i oni napinali mięśnie i próbowali swoich nowo odkrytych sił…

— Pańskie domysły są słuszne — powiedział Rashaverak. — Dłuższe pozostawanie tutaj nie jest już dla nas bezpieczne. Może nadal będą nas ignorowali, ale wolimy nie ryzykować. Odlatujemy, jak tylko załadujemy nasze wyposażenie, co prawdopodobnie zajmie nie więcej niż dwie lub trzy godziny.

Spojrzał w niebo, jakby obawiał się, że zaraz ujrzy jakiś nowy cud. Jednak wokół panowała cisza i spokój, księżyc świecił i tylko z

zachodu wiatr gnał wysoko kilka chmur.

— To, że bawią się Księżycem nie ma zbyt wielkiego znaczenia — dodał — ale jeśli zechcą igrać ze Słońcem? Oczywiście, zostawimy tu nasze przyrządy, tak że będziemy wiedzieli, co się stanie.

— Ja zostaję — przerwał mu Jan. — Dość napatrzyłem się już na wszechświat. Jedyne co mnie jeszcze interesuje, to los mojej własnej planety! — Ziemia pod ich stopami lekko zadrżała. — Spodziewałem się tego — mówił dalej. — Jeżeli zmienili moment obrotowy Księżyca, prędkość kątowa też musi się zmienić. A więc Ziemia zwalnia swój obrót. Nie wiem, co interesuje mnie bardziej: jak to zrobili czy dlaczego.

— Nadal się bawią — powiedział Rashaverak. — Czy jest jakaś logika w tym, co robi dziecko? A pod wieloma względami to jestestwo, którym stała się pańska rasa, pozostaje dzieckiem. Jeszcze nie jest gotowe połączyć się z Nadumysłem. Jednak już niedługo to się zmieni, a wtedy będzie pan miał całą Ziemię dla siebie…

Nie dokończył zdania i Jan zrobił to za niego.

— Jeśli, oczywiście, pozostanie jeszcze jakaś Ziemia.

— Zdaje pan sobie sprawę z niebezpieczeństwa, a jednak chce pan pozostać?

— Tak. Przez ostatnie pięć a może to już sześć lat byłem w domu. Cokolwiek się stanie, nie będę się skarżył.

— Mieliśmy nadzieję — powiedział powoli Rashaverak — że zechce pan tu pozostać. Jest coś, co mógłby pan dla nas zrobić…

Błysk gwiezdnego silnika przygasł i znikł gdzieś za orbitą Marsa. Jan pomyślał, że udało mu się przebyć tę drogę jako jedynemu z miliardów ludzi, jacy kiedykolwiek żyli i umarli na Ziemi. I nikt już nie poleci tam po nim.

Świat należał do niego. Czegokolwiek by nie zapragnął — wszystkie dobra materialne, jakich ktokolwiek mógłby sobie życzyć — były jego. Jednak już go to nie interesowało. Nie obawiał się samotności na opuszczonej planecie ani obecności tego, co wciąż jeszcze pozostawało tutaj, szykując się do drogi w poszukiwaniu swego nieznanego dziedzictwa. Zresztą Jan nie spodziewał się, by on i jego problemy przetrwały długo w nieuniknionym huraganie tego exodusu.

I tak powinno być. Zrobił już wszystko, czego chciał dokonać i przedłużanie bezsensownej egzystencji na opustoszałym globie byłoby nieznośnym brzemieniem. Mógłby odlecieć ze Zwierzchnikami, ale po co? Jak nikt inny na świecie wiedział, że Karellen mówił prawdę, gdy powiedział: „Gwiazdy nie są dla Człowieka”.

Pozostawiając noc za plecami, odwrócił się i wszedł w ogromne drzwi bazy Zwierzchników. Jej rozmiary nie robiły na nim wrażenia; ogrom nie wywierał już żadnego wpływu na jego umysł. Światełka

jarzyły się czerwono zasilane energią, której mogło starczyć jeszcze na wieki. Obok porzucone przez odlatujących Zwierzchników stały maszyny, których tajemnic już nigdy nie zgłębi. Przeszedł obok nich i niezdarnie wspiął się po wielkich schodach, aż dotarł do sterowni.

W pomieszczeniu nadal unosił się duch Zwierzchników; ich machiny pracowały, wykonując rozkazy panów. Co można jeszcze dodać — zastanawiał się Jan — do informacji, jakie przesyłały w kosmos?

Wdrapał się na wysoki fotel i usadowił najwygodniej, jak potrafił. Mikrofon, już włączony, czekał na jego słowa, a coś, co było odpowiednikiem kamery TV, z całą pewnością śledziło jego gesty, chociaż nie mógł zlokalizować tego urządzenia.

Za tablicą kontrolną i jej nic mu nie mówiącymi wskaźnikami otwierało się szerokie okno na gwiaździstą noc; widział przez nie dolinę śpiącą w blasku pyzatego księżyca i odległy łańcuch gór. Wzdłuż doliny wiła się rzeka, lśniąc na zakrętach, gdzie srebrne promienie odbijały się od wzburzonego nurtu. Było tak spokojnie. Może świat przed narodzinami Człowieka wyglądał tak jak teraz — przed jego końcem.

Tam, miliony kilometrów dalej w Kosmosie, czekał Karellen. Dziwnie było pomyśleć, że statek Zwierzchników oddalał się od Ziemi prawie tak szybko jak sygnał, który pomknie jego śladem. Prawie, ale niezupełnie. Pościg potrwa długo, ale jego słowa dotrą do Kontrolera i zwrócą zaciągnięty dług.

Jan zastanawiał się, ile z tego wszystkiego stanowiło część planu Karellena, a ile było mistrzowską improwizacją? Czyżby Zwierzchnik celowo pozwolił rnu ruszyć w przestrzeń przed blisko wiekiem, aby mógł wrócić i odegrać obecną rolę? Nie, to zdawało się zbyt nieprawdopodobne. Jednak teraz Jan był pewien, że Karellen prowadził jakąś własną skomplikowaną grę. Służąc swemu panu, jednocześnie badał go wszelkimi dostępnymi środkami i Jan podejrzewał, że nie powodowała nim jedynie ciekawość. Może Zwierzchnicy marzyli, że pewnego dnia uda im się wyzwolić z tej dziwnej zależności, jeśli dowiedzą się wystarczająco wiele o potędze, której służą.

Janowi trudno było uwierzyć, że to, co teraz robi, może przyczynić się do powiększenia tej wiedzy.

— Powie nam pan, co pan zobaczy — rzekł mu Rashaverak. — Ten obraz przekażą nam też nasze kamery. Jednak wiadomość, jaka dotrze do pańskiego mózgu, może być zupełnie inna, a to może nam się bardzo przydać.

No cóż, spróbuje sprawić się jak najlepiej.

— Nadal nic do przekazania — zaczął. — Kilka minut temu widziałem, jak znikł na niebie ślad waszego statku. Księżyc przeszedł

już pełnię i prawie połowa jego niegdyś zawsze widocznej strony odwróciła się od Ziemi, ale przypuszczam, że już to wiecie.

Urwał, czując się trochę głupio. W tym co robił, było coś niestosownego, nawet lekko absurdalnego. Oto nadchodził kres historii Człowieka, a on zachowywał się niczym sprawozdawca radiowy na wyścigach ciężarówek lub na meczu bokserskim. Potem wzruszył ramionami i przestał o tym myśleć. Podejrzewał, że wielkim chwilom często towarzyszył fałszywy patos, a już na pewno wyczuwał go teraz.

— W ciągu ostatniej godziny nastąpiły trzy lekkie wstrząsy — kontynuował. — Ich kontrola nad momentem obrotowym Ziemi jest naprawdę niezwykła, chociaż nie całkowita. Wie pan co, Karellen, okazuje się, że trudno powiedzieć coś, o czym nie poinformowałyby już was instrumenty. Łatwiej by mi było, gdyby powiedział mi pan, czego mniej więcej mam się spodziewać i uprzedził mnie, jak długo jeszcze mam czekać. Jeśli nic się nie stanie, zgłoszę się za sześć godzin, tak jak się u… Hej! Musieli czekać, aż się stąd wyniesiecie. Coś zaczyna się dziać. Gwiazdy przygasają. Wygląda to tak, jakby całe niebo szybko przesłaniała wielka chmura. Jednak to nie jest prawdziwa chmura. Wydaje się, że ma jakąś strukturę… Dostrzegam niewyraźną sieć linii i pasów, które wciąż zmieniając położenie, pozostają jednak nieruchome względem siebie. Wygląda to prawie tak, jakby gwiazdy ugrzęzły w upiornej, pajęczej sieci. Ta sieć zaczyna teraz płonąć, pulsować światłem, jakby była żywą istotą. I przypuszczam, że tak jest; a może to coś w takim samym stopniu przewyższa życie, co świat nieorganiczny? Blask wydaje się przemieszczać na jedną część nieba… Poczekajcie chwilę, to przejdę do drugiego okna. Tak, powinienem się domyśleć. To wielka, płonąca kolumna jak ogniste drzewo unosząca się nad zachodnim horyzontem. To bardzo daleko stąd, po drugiej stronie globu. Wiem, skąd się wzięła: oni w końcu wyruszyli, by stać się częścią Nadumysłu. Ich nowicjat dobiegł końca; pozostawiają za sobą resztki cielesnej powłoki. Gdy ogień wznosi się coraz wyżej, widzę, że świetlista sieć staje się wyrazniejsza i jaśniejsza. W niektórych miejscach wydaje się już ciałem stałym, chociaż nadal słabo prześwitują przez nią gwiazdy. Teraz już wiem. To nie jest dokładnie to samo, ale to, co widziałem wznoszące się nad waszym światem, było bardzo do tego podobne. Czy była to część Nadumysłu? Przypuszczam, że ukrywaliście przede mną prawdę, aby nie narzucać mi pewnych idei, abym mógł być bezstronnym obserwatorem. Chciałbym teraz zobaczyć, co pokazują wam kamery, abym mógł porównać to z obrazem, jaki postrzegam swoimi zmysłami! Czy tak właśnie przemawia to do was, Karellen: kolorami i kształtami takimi jak te? Pamiętam ekrany kontrolne na waszym statku i te wzory, które po nich przelatywały, przemawiając

w jakiejś wizualnej mowie zrozumiałej dla waszych oczu. Teraz wygląda dokładnie tak jak welony zorzy, tańczące ł lśniące na tle gwiazd. No cóż, jestem pewien, że to właśnie to: ogromna zorza polarna. Cały krajobraz zalało światło… Jest jaśniej niż w dzień: czerwień, złoto i zieleń ścigają się po niebie… Tego nie da się opisać słowami… To niesprawiedliwe, że tylko ja mogę to oglądać… Nie wiedziałem, że istnieją takie barwy! Burza cichnie, ale wielka, świetlista sieć pozostaje na swoim miejscu. Myślę, że zorza polarna była jedynie ubocznym produktem nieznanych energii wyzwalających się tam, na granicy kosmosu… Chwileczkę; zauważyłem coś jeszcze. Staję się lżejszy. Co to znaczy? Upuściłem ołówek, spada powoli. Coś stało się z grawitacją. Nadchodzi silny wiatr, widzę gałęzie drzew rozrzucane po całej dolinie. No tak, ucieka atmosfera. Kamienie i konary unoszą się w niebo, jakby cała Ziemia chciała iść za nimi w Kosmos. Teraz unosi się tam czarna chmura wzniesionego tym podmuchem kurzu i trudno coś zobaczyć. Może za chwilę opadnie. Tak, teraz już lepiej. Wszystko, co było ruchome, już poleciało; chmura pyłu zniknęła. Zastanawiam się, jak długo wytrzyma wasza budowla. Coraz trudniej oddychać; będę mówił wolniej. Znów widzę wyraźnie. Ta wielka, płonąca kolumna wciąż tam jest, ale już się zwęża i zmniejsza, wygląda jak trąba powietrzna tuż przed tym, zanim rozwieje się w chmurach. I… Och, to trudno opisać, ale właśnie poczułem przepływającą przeze mnie falę emocji. Nie była to radość ani smutek, lecz. poczucie spełnienia, dokonania. Czy też może tylko tak mi się zdawało? A może to przyszło z zewnątrz? Nie wiem. A teraz, to nie może być wytwór wyobraźni, świat stał się pusty. Zupełnie pusty. Jakbym słuchał radia, które nagle zamilkło. A niebo jest znowu czyste, mglista sieć zniknęła. Do jakiego świata uda się teraz, Karellenie? I czy znowu tam będziesz, aby mu służyć? Dziwne; nic wokół mnie się nie zmieniło. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że…

Jan urwał. Przez chwilę gorączkowo szukał właściwych słów, a potem zamknął oczy i wziął się w garść. Teraz nie było czasu na strach czy panikę. Miał zadanie do wykonania, obowiązek względem Człowieka i wobec Karellena.

Zaczął mówić; z początku powoli, potem coraz szybciej jak człowiek budzący się ze snu.

— Budynki dookoła mnie, ziemia, góry, wszystko jest jak ze szkła; widzę przez nie na wylot. Ziemia się rozpuszcza, prawie straciłem wagę. Mieliście rację, przestali bawić się zabawkami. Pozostało jeszcze kilka sekund. Znikają góry jak pasma dymu. Żegnajcie, Karellenie i Rashaveraku; żal mi was. Choć nie rozumiałem nic, widziałem, czym stała się moja rasa. Wszystko, co kiedykolwiek osiągnęliśmy, odeszło między gwiazdy. Może to właśnie chciały wyrazić dawne religie?

Jednak myliły się wszystkie: wtedy uważano, że człowiek jest tak ważny, a przecież byliśmy tylko jedną z wielu ras, czy zdajecie sobie sprawę z ilu? A teraz staliśmy się tym, czym wy nigdy nie będziecie. Kolej na rzekę. Na niebie nic się nie zmienia. Ledwie mogę oddychać. Dziwnie widzieć, że księżyc wciąż jeszcze tam świeci. Cieszę się, że go zostawili, ale teraz będzie samotny… Światło! Światło pode mną, wewnątrz Ziemi, świecące do góry, przez skały, ziemię, przez wszystko, coraz jaśniejsze, jaśniejsze, oślepiające…

W bezgłośnym rozbłysku skorupa ziemska uwolniła nagromadzoną energię. Przez moment fale grawitacyjne przecinały się i odbijały po całym Układzie Słonecznym, nieco wpływając nawet na orbity planet. Potem pozostałe dzieci Słońca podążyły dalej swymi odwiecznymi szlakami, podobnie jak korki unoszące się na powierzchni spokojnego jeziora poruszone kręgami od rzuconego w wodę kamienia po ich przejściu pływają niewzruszenie dalej.

Z Ziemi nie pozostało nic. Oni wyssali jej substancję do ostatniego atomu. Żywiła ich, dostarczając energii podczas raptownej i niepojętej metamorfozy, jak substancje zapasowe w ziarnie pszenicy karmią nową roślinkę, w czasie gdy wspina się ona ku słońcu.

Sześć milionów kilometrów za orbitą Plutona Karellen siedział przed pociemniałym nagle ekranem. Zapis był zakończony, misja wykonana; wracał do domu, do świata, który porzucił tak dawno temu. Przygniatał go ciężar stuleci i smutek, którego nie mogła rozproszyć żadna logiczna argumentacja. Nie opłakiwał Człowieka; żałował własnej rasy, której nieprzezwyciężone moce broniły dostępu do wielkości.

Mimo wszystkich osiągnięć — rozmyślał Karellen — pomimo panowania w materialnym wszechświecie, jego lud pozostanie zaledwie plemieniem, które cały swój byt wiedzie na płaskiej, pylistej równinie. Daleko za nią były góry, w których mieszkało piękno i moc, gdzie grom przetaczał się nad lodowcami, a powietrze było ostre i czyste. Tam wciąż jeszcze lśniło słońce zdobiące szczyty splendorem, podczas gdy niziny tonęły już w mroku. A oni mogli tylko patrzeć i podziwiać; nigdy nie osiągną tych wyżyn.

A jednak Karellen wiedział i to, że będą trwać aż do końca i nie złorzecząc losowi, przyjmą, cokolwiek im przyniesie. Będą służyć Nadumysłowi, ponieważ nie mają wyboru, lecz nawet na tej służbie pozostaną sobą.

Wielki ekran kontrolny rozbłysnął na moment ponurym, rubinowym światłem. Karellen odruchowo przeczytał wiadomość, którą niosły zmieniające się wzory. Statek opuszczał granice Układu Słonecznego; energia napędzająca gwiezdny silnik szybko wyczerpywała się, ale wykonali swoje zadanie.

Podniósł rękę i obraz na ekranie zmienił się raz jeszcze. W jego

środku płonęła jasna, pojedyncza gwiazda; z tej odległości nikt nie odgadłby, że Słońce w ogóle ma jakieś planety, i że jedna z nich właśnie zniknęła. Przez długą chwilę Karellen spoglądał w tę szybko powiększającą się przepaść, a w jego potężnym, skomplikowanym mózgu kłębiło się wiele wspomnień. W milczeniu uczcił pamięć ludzi, których znał, zarówno tych, którzy mu pomagali, jak i tych utrudniających mu wykonanie zadania.

Nikt nie ośmielił się mu przeszkodzić i przerwać te rozmyślania; w końcu odwrócił się plecami do znikającego Słońca.